

Twórczość Ludowa

R. XVII Nr 3 (52) 2002

Cena 3 zł

Nr ind. 37976X

PL ISSN 0860-4126

KWARTALNIK STOWARZYSZENIA TWÓRCÓW LUDOWYCH



Twórczość Ludowa

KWARTALNIK
STOWARZYSZENIA
TWÓRCÓW LUDOWYCH

RADA REDAKCYJNA:

Jan Adamowski, Andrzej Ciota,
Piotr Dahlig, Alfred Gauda,
Zygmunt Kłodnicki, Wiktor
Lickiewicz, Zdzisław Podkański, Wła-
dysław Sitkowski, Teresa Smolińska,
Józef Styk, Edmund Zieliński

KOLEGIUM REDAKCYJNE:

Józef Styk - redaktor naczelny, Jan
Adamowski, Alfred Gauda - zastępcy
redaktora naczelnego, Wiktor Lickie-
wicz - sekretarz redakcji

ADRES REDAKCJI:

20-112 Lublin, ul. Grodzka 14
tel. 532-49-74, 532-37-45

Redakcja nie zwraca materiałów
nie zamawianych oraz zastrzega
sobie prawo dokonywania skrótów,
zmiany tytułów i poprawek
stylistyczno-językowych

Publikowane w „Twórczości Lu-
dowej” artykuły i opracowania me-
rytoryczne (począwszy od nr.
15/1990) są recenzowane.

WYDAWCA:

Zarząd Główny
Stowarzyszenia Twórców Ludowych
Wydano ze środków finansowych
Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa
Narodowego

PROJEKT WINIETY:

Zbigniew Strzałkowski

SKŁAD:

Elżbieta Łukasik

ŁAMANIE:

Grzegorz Jusiak

SAMPOL DRUK:
DRUKARNIA

SAMPOL, Lublin, ul. Bursaki 15

W NUMERZE

Utrwalanie głębokich więzi środowiskowych. Protokół jury XXXI Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. Jana Pocha - 1

WIERSZE

Zygmunt Bukowski, Józef Chojnacki, Bronisława Fastowiec, Hanna Florek, Florianna Kiszczak, Mieczysław Kościński, Jan Kowalski, Zofia Kwiatosz, Wanda Łomnicka-Dulak, Franciszka Ogonowska, Zdzisław Purchała, Władysław Sitkowski, Sabina Szymbor, Wiesława Szymoniak, Grzegorz Szewczyk.

PROZA

Waleria Prochownik: *Zylone Śfiontki* - 5
Jadwiga Solińska: *Wianuszki* - 6
Zygmunt Bukowski: *Z porami roku* - 7
Władysław Szepelak: *Jako to downij strasyło* - 10
Cecylia Słapek: *Sprawiedliwość* - 10

SZKICE I OPRACOWANIA

Beata Wałęciuk-Dejneka: *O chlebie w obrzędach rodzinnych* - 11
Katarzyna Smyk: *Z małych ojczyzn, z korzeni, z prowincji, z Nadrzeczca* - 16
Teresa Marcinkowska: *Do Danii - za chlebem. Komentarz historyczny do jednej z pieśni emigracyjnych* - 18

ARCHIWUM FOLKLORU

Jan Adamowski, Katarzyna Smyk, Mariola Tymochowicz: *Lecznictwo ludowe - ze wspomnień Czesława Maja z Motycza, woj. lubelskie* - 20
Mariola Tymochowicz: *Kusaki, czyli świat na opak. Mazowiecki przegląd zespołów obrzędowych* - 24
XXXV Ogólnopolskie Targi Sztuki Ludowej - Kazimierz, 29-30 czerwca 2002. *Skromny jubileusz* - 28
Bogata reprezentacja tradycyjnego repertuaru. XXXVI Ogólnopolski Festiwal Kapel i Śpiewaków Ludowych - 29

SYLWETKI

Krystyna Pawłowska: *Samotnik z wyboru. Tadeusz Frąckowiak (1927-2001)* - 31
Słomiane „cacka” Władysławy Stelmach - 33

GINĄCE ZAWODY

Mariola Tymochowicz: *Wiślane łodzie z okolic Sandomierza* - 34
Aneta Derkacz: *Życie na wodzie* - 37

PRZEDSTAWIAMY INSTYTUCJE

Łucja Kondratowicz-Miliszkievicz, Mieczysław Kseniak, Grzegorz Miliszkievicz: *Ekspozycja kultury wiejskiej na Lubelszczyźnie. Dwór z Żyrzyna i ogród dworski w Muzeum Wsi Lubelskiej* - 38

RECENZJE

Marta Wójcicka: *Misja „Wólczanek”* - 42
Zbigniew Jerzy Przerembski: *Katalog słowackich pieśni narracyjnych* - 42
Dariusz Kubinowski: *Folklor Kujaw - opracowanie naukowe z walorami edukacyjnymi* - 44
Agnieszka Kuczyńska: *Święta Rodzina z lamą. Jeszcze o wystawie „Szopki świata”* - 45

INFORMACJE

Laureaci Nagrody im. Oskara Kolberga - 47
Współtwórczyni janowskiego zagłębia folkloru - 47
W 20. rocznicę śmierci Stanisława Buczyńskiego - 48
Poetyckie „Wrzeczono” w Nowej Sarzynie - 48
Rzeźby wzbudziły podziw jury. 59 rzeźbiarzy - 353 prace - 49
Kolędowanie wiosenne z „Konopielką” - 50
Twórcy ludowi prowadzą zajęcia - 50
Uczniowie recytowali poezję ludową - 51
Ludoznawcy obradowali i zwiedzali - 51
Międzynarodowe Warsztaty Garncarskie - 52
Folklor wyróżnia i łączy narody. XVII Międzynarodowe Spotkania Folklorystyczne - Lublin 2002 - 53
Wiece żniwne i inne. Dożynki Wojewódzkie Ziemi Lubelskiej '2002 - 54

ODESZLI OD NAS

Wojciech Błaszowski - nestor etnografów pomorskich - 55

ZAPROSILI NAS - 56

KSIĄŻKI NADEŚLANE - 56

NA OKŁADCE

I str.: Andrzej Kozłowski - rzeźbiarz z Ostrowca Świętokrzyskiego na XXXV Targi Sztuki Ludowej w Kazimierzu przyjechał z córką.

IV str.: Wieńce nagrodzone podczas Dożynek Wojewódzkich - Gościeradów 2002. Od góry: wieńiec ze wsi Zdziłowice (gm. Godziszów) - I miejsce w kategorii współczesnej; wieńiec Zespołu Szkół w Sobieszynie (gm. Ułęż) - I miejsce w kategorii tradycyjnej; dzieło gminy Firlej k. Lubartowa - II nagroda w kategorii wieńców współczesnych.

Fot. Alfred Gauda



Utrwalanie głębokich więzi środowiskowych



Laureaci XXXI Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. Jana Pocka na scenie Festiwalu Kapel i Śpiewaków Ludowych w Kazimierzu. Od lewej: Czesław Maj, Jadwiga Solińska, Janina Radomska, Wanda Łomnicka-Dulak i Hanna Florek.

Fot. Alfred Gauda

Jury obradowało w składzie: dr hab. Jan Adamowski, dr Donat Niewiadomski, mgr Halina Kosienkowska.

W tym roku na konkurs wpłynęły ogółem 53 zestawy w dziedzinie poezji i 23 zestawy w dziedzinie prozy. Jury po wnikliwym rozpatrzeniu nadesłanych prac postanowiło przyznać następujące nagrody i wyróżnienia:

W KATEGORII POEZJI

I – Wanda Łomnicka-Dulak (godło „Rosa”) z Piwnicznej, woj. małopolskie – 350 zł;

II – Florianna Kiszczak („Kalina”) z Radzięcina, woj. lubelskie – 200 zł; Sabina Szymbor („Małwa I”) z Lublina – 200 zł; Hanna Florek („Niezapominajka II”) z Wiercin, woj. pomorskie – 200 zł;

III – Mieczysław Kościński („Polny”) z Krasnego, woj. lubelskie – 150 zł; Franciszka Ogonowska („Podbiał”) z Dóbużka, woj. lubelskie – 150 zł; Władysław Sitkowski („Świerszcz”) ze Zwierzyńca, woj. lubelskie – 150 zł.

Wyróżnienia po 100 zł każde, otrzymują: Jan Kowalski („Ajer”) z Iławy, woj. warmińsko-mazurskie; Bronisława Fastowiec („Arnika”) z Kamienia, woj. lubelskie; Zofia Kwiatosz („Choina”) z Częstoborowic, woj. lubelskie; Grzegorz Szewczyk („Grzech”) z Kozienic, woj. mazowieckie; Marzena Kwiatosz („Ptasie wino”) z Częstoborowic, woj. lubelskie; Władysław Koczot („Świtez”) z Czarnegostoku, woj. lubelskie; Alfreda Magdziak („Waga”) z Zamościa, woj. lubelskie; Józef Chojnacki („Zimowit”) z Gultaw, woj. wielkopolskie; Maria Suchowa („Wilga”) ze Starej Wiśniewski, woj. wielkopolskie; Barbara Krajewska („Róża”) z Iwan, woj. warmińsko-mazurskie.

W KATEGORII PROZY

I – Waleria Prochownik („Wrzos”) z Żywca, woj. śląskie – 350 zł;

II – Zygmunt Bukowski („Żyto”) z Mierzeszyna, woj. pomorskie – 200 zł; Zdzisław Purchała („Jaśmin”) z Kosowa, woj. śląskie – 200 zł; Jadwiga Solińska („Akacja”) z Wąsosz, woj. podlaskie – 200 zł;

III – Janina Radomska („Mrówka”) z Radzięcina, woj. lubelskie – 150 zł; Władysław Szepelak („Właz”) z Bielanki, woj. małopolskie – 150 zł; Cecylia Słapek („Jagoda”) z Baszowic, woj. świętokrzyskie – 150 zł.

Wyróżnienia, po 100 zł każde, otrzymują: Maria Gleń („Jarzębina”) z Krasnegostawu, woj. lubelskie; Leon Szabluk („Baranica”) z Małowej Góry, woj. lubelskie; Florianna Kiszczak („Kalina”) z Radzięcina, woj. lubelskie; Anna Waluś („Liście”) z Szaflar, woj. małopolskie; Czesław Maj („Tęcza”) z Motycza, woj. lubelskie.

Nagrody ufundowali: Centrum Kultury Ludowej Polskiego Radia, Polskie Radio Lublin SA, Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Marszałkowskiego w Lublinie, Zarząd Główny Stowarzyszenia Twórców Ludowych. Nagrody dla twórców pochodzących z woj. lubelskiego ufundowane są ze środków Urzędu Marszałkowskiego.

Jury dziękuje sponsorom i organizatorom konkursu za to, że w tak trudnym dla kultury czasie potrafili podtrzymać ideę Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. Jana Pocka, a nawet znaleźć środki finansowe na skromne nagrody i wyróżnienia.

Jury stwierdza, że pewną nowością w stosunku do poprzednich edycji konkursu były wiersze poświęcone pamięci zmarłych twórców ludowych, co jest wyrazem utrwalania głębokich więzi środowiskowych.

Lublin, 18 czerwca 2002 roku

**WANDA
ŁOMNICKA-DULAK**
Tren III

*Pamięci poetki
Kazimierzy Wiśniewskiej*

Jak wonne kwiaty w ogródku
świata
sadziłaś w rządku piękne słowa
z delikatnojaśminowym uśmiechem
Poetko Niezapominajkowa

Dziś bladość pada na fotografię
choć z bieli kartki znowu Twe
wiersze
wracają cieniem echem wracają
niosąc wyznania z głębi
najszersze

Wraca przez mgnienie blask
Twoich oczu
a pajak przemijania tak zamyślony
Ty z wiekuiestej ślesz galaktyki
jak pieśń tęsknoty wiersz
nieskończony

A potem słowa na jawie we śnie
gasną jak echo toną w półcieniach
dobrze że wraca w białym
szeleście
bukieciak wierszy ciepło spojżenia

WANDA ŁOMNICKA-DULAK
Tren IV

*Pamięci gawędziarza i poety
Kazimierza Maurera*

Oddawałeś ziemi siebie po cząstce
ręce myśli wielki kawał serca
teraz Cię z macierzyństwem wzięła
grudka ziemi – żałobnica najwierniejsza

Ale myśl o Tobie nie piołunem
lecz rumiankiem i chabrem wyrasta
makiem polnym pszennochlebny zapachem
synu łanów następcu Piasta

Choć się cierniem znaczyła Twa droga
gdy tarniną miedza polna bielala
niosłeś ludziom srebrne dzbany śmiechu
smutnym oczom zmęczeniu ciała

W mej pamięci rzykiem odchodzisz
by wsiąć w ziemię gwiazd metafory
może spotkamy się i pójdziemy
wonną miedzą na niebieskie nieszpory

FLORIANNA KISZCZAK **SABINA SZYMBOR**
Moja modlitwa *Trudna sztuka*

A ja się modłę gorąco –
O zmierzchu i w zór świtanie,
Czy deszcze dzwonią po szybach,
Czy słońce świeci na nie.

Modłę się chlebny ziarnem,
Zapachem dzikiej róży.
I wierzę w ciszę i spokój
Po szalejącej burzy.

Blaskiem księżycy się modłę,
Co mgły wysrebrza z cienia.
I wierzę w potęgę światła,
I w nieskończoność ziemi.

Modłę się śpiewem słowika,
bo cudne są ptasie pienia.
I wierzę w świt, co rzesze
Rozbudzi ze zwątpienia.

Wierzę w kwiaty nadziei,
Co na mogiłach wschodzą.
I wierzę, że z drobnych iskiek
Wielkie ogniska się rodzą.

W niezłomną moc ducha wierzę,
Gwiazdami biję się w piersi.
I pragnę, by Orzeł Biały
Latał na skrzydłach pieśni.

lato przynosi
pogodny nastrój
i do popisu
szerokie pole
chłopski atrybut
srebrem błyska
gotów odegrać
wielką rolę

trudna to sztuka bez monologu
cała esencja
w mocnych dłoniach
harmonia gestów
nad pokosem
wyciska słony
pot na skroniach

ponad ścierniskiem
dźwięk miarowy
w pyłe słonecznym
odpływa z wiatrem
brzemiennych snopów
sążniste mendle
zwieńczają dzieło
ostatnim aktem

gaśnie podniebny
blask jupitera
wśród plenerowych
dekoracji
opada szara
mgieł kurtyna

zabrakło widzów
i... owacji

**FRANCISZKA
OGONOWSKA**
Podarki Wiary

Majowy świt jak cudny sen
Nadziei dłoń podaje
I przed ołtarzem
rozmodlonych pól
Do ślubu staje
A Wiara im
W podarku ślubnym
Daje marzeń naręcze
A na dodatek
Złudzeń garść
Pooplatanych w tęczę
Z posagiem Wiary
Garścią złudzeń
Całym naręczem marzeń
Ruszają ufni w otchłani dnia
Niepomni losu zdarzeń

Maj 2001

**WŁADYSŁAW
SITKOWSKI**
Dola chłopska

Nie zaorze, nie zasieje,
bo zachodni wiatr wieje.
Ostatniego sprzedał kunia,
teraz orać będzie Unia.
Zamiast zboża las wyrośnie –
krzyczą w rządzie jednołośnie.
Co zasieje, co zaorze
i tak wolki zeżrą zboże.
Wnuczek pyta: – Dziadku, dziadku
toć żyjemy w niedostatku,
trza obrony, na sztorc kosę,
Bartoszewym ruszyć ciosem.
Polska ziemia, chłopskie niwy –
tu z pradziejów chłop prawdziwy,
– by nie skuto go w kajdany –
Targowicy los nam znany.
Dolo chłopska z pługiem w dłoni,
niech cię Bóg od wichrów chroni,
by na stole bochen święty
ojcowizną był poczęty.

**ZDZISŁAW
PURCHAŁA**
Cztery pory roku

Zimą
Stada wron
Czarnych jak rozpacz
Zerwały się do lotu
By trwać tak
Aż do chwili
Gdy głos dzwonów zamilknie
Na zawsze
I nikt już umierał nie będzie
Wiosną
Znów usiądą jak co roku
Na bezlistnych jeszcze drzewach
By z niczego
Budować nowe gniazda
Latem
Będą rosły jak na drożdżach
Karmione czymkolwiek
Z pobliskich wysypisk
Bo o pędraka
Coraz to trudniej
Zresztą komu by się chciało
Nawet wrona swój rozum ma
I wiochę gardzi
Jesienią
Nawet te młode
Wykraczą wszystkim
Nie to co trzeba
Tobie i mnie
I innym

**MIECZYŚLAW
KOŚCIŃSKI**
Jak spłoszony ptak

Nie wiadomo kiedy
Nie wiadomo jak
Przeleciało życie
Jak spłoszony ptak

Wczoraj byłem mały
Matka mnie tuliła
Dzisiaj jestem stary
Twarz się pobruździła

Jestem gruby łysy
Cała postać zbrzydła
Przesypało się życie
Jak piasek w klepsydrach

Przeplęnęło życie
Jak wiosenna woda
Przeminęła młodość
Znikła gdzieś uroda

Serce słabo bije
Niedługo już stanie
Pora się szykować
Czas na umieranie

Życie miałem nędzne
Było moim wrogiem
Bez żalu wyruszę
Na spotkanie z Bogiem

Może po cierpieniach
Uśmiechnę się w niebie
Może znów mnie matka
Przytuli do siebie

Może brat kochany
Weźmie mnie w ramiona
Będziemy żyć wiecznie
Nikt więcej nie skona

maj 2002

**GRZEGORZ
SZEWCZYK**
Do św. Krzysztofa

Zapalaj zielone światła
i każ jechać według prawideł
Tym na wprost
i tym z przeciwnej strony
Usuń z drogi wyboje i złe myśli
Ludzką ręką w czyn wprowadzone
Pozwól
Jak niegdyś Ty niosłeś słodki ciężar
bezpiecznie po łąkach i morzach
Tak i ja
Pragnę dojechać do celu
ze swym bagażem życia

**SABINA
SZYMBOR**
Jesień życia

płyną tygodnie
mijają lata
nowe zmartwienia
dzień znużony niesie
pewnego ranka
na progu stanęła
zgarbiona trudem
smutna życia jesień

gdyby tak zebrać resztki siły
choć na ławeczkę
do ogródka
tu się wspomnienia
ze snu budzą
w błękitnookich niezabudkach

nadejdzie srogi
czas grudniowy
obruszem białym
błat ziemi zaściele
miłości okruczem
starość się pożywi
czy to aż tak dużo –
czy aż tak niewiele...

**WŁADYSŁAW
SITKOWSKI**
Moja chata

Stała sobie
przy gościńcu
moich marzeń
pod baldachimem
słomianej strzechy
ściany malowane
srebrem księżycowej nocy
a w środku izby
płonęło wieczne ognisko
na którym mama
warzyła strawę
rodzinnej miłości

Szerokim gościńcem
szli żeńcy od pół
składając pieśni chwalebne
przydrożnym kapliczkom
po mojej chacie
zostały wspomnienia
archiwalna fotografia
z dymiącym kominem
babcię kołysanki
do nieba gdzie poszły
może tam
sieroce serca weselą

HANNA FLOREK***Matusz moja***

Matusz moja matusz droga
Gdzieś za piecem Pana Boga
Kącik w niebie masz
Siedzisz sobie cichuteńko
Szepczesz pacierz ma mateńko
Wszystkich świętych znasz
Już nie jesteś przygarbiona
Nad Madonną z gwiazd korona
Księżyc u jej nóg
Przepelniona jej promieniem
Za niebiańskim pieca cieniem
Widzi Ciebie Bóg
Tu na ziemi złote lany
Dom przez Ciebie ukochany
Leśnych kwiatów czar
I zawiłce i przyłaszczki
I słoneczka te igraszki
Bożej ręki dar
I słowika cudne trele
Białe bzy przyrody zieleń
Cały świata cud
Tylko ciebie nigdzie nie ma
Twoje życie skradła ziemia
Wśród żalobnych nut
Matusz moja najmilejsza
Całe życie najpiękniejsza
Gdzie jest tamten świat
Gdzieś mi rąbek serca dała
I z miłością kołysała
Mój dziecinny świat
Matusz moja matusz droga
Gdzieś za piecem Pana Boga
Cały życia świat
Anioł Stróż wśród skrzydeł tuli
Siwą głowę mej matuli
Pośród białych szat

29 stycznia 2002 roku

JÓZEF CHOJNACKI***W zaduszkowy wieczór******Pamięci Matki***

Skrzypiąc furta zaświatów
Mówi że przyjdiesz do mnie
Ze wyrwiesz drzazgę bólu
Wbitą w tren wspomnień

Jak dawniej zakrzątniesz się w kuchni
Przygotujesz wiececzkę
Jak dawniej zło nazwiesz złem
i umocnisz w wierze

W strofach to stać się może
Poezja próśb wysłucha
i spełni najskrytsze marzenia
jeśli jej się zaufa

Zaduszki 2001

WIESŁAWA SZYMONIAK

* * *

Trzeba mieć serce, aby kochać ludzi.
Trzeba mieć oczy, by widzieć ich troski.
Trzeba mieć uszy, by słyszeć płacz sierot.
Trzeba mieć duszę, a w niej obraz boski.

Trzeba mieć humor, aby żyć bez skazy
I rozum ludzki i myśli niepłocze.
Trzeba człękowi trapienemu bólem
Dać okruch siły, wiarę i otuchę.

Trzeba być dobrym w każdej chwili życia.
Mówić zawsze prawdę, mieć czyste sumienie.
Trzeba mocno wierzyć, że jest sprawiedliwość.
Trzeba wierzyć w Boga i duszy zbawienie.

ZYGMUNT BUKOWSKI***Lano-strofy***

Wiedz, pieszczona wibrując
Od słoneczka grzejącego,
Że nie wsiewam w twoje łono
Byle jakich, ulegliwych,
Sklonnych rodzić gorzki sporysz ziaren.
Jeno słowa wyszukane,
Korzeniające się głęboko,
Co przetrwają wrogie susze
I wichury napastliwe,
Aby moje lano-strofy
Wciąż się chwiały po słowiańsku
I szumiały ciągle polsko,
Choćby przyszło trwać w niewoli.

ZOFIA KWIATOSZ***Przed żniwami***

Lekko dmucha wiatru powiew
odcieniami świat się mieni
falujące lany zboża
chylą kłosa swe ku ziemi

Cudem boskim z drobnych ziaren
z rosy wzrosło i ze słonka
przeogromne chlebne morze
wielbione pieśnią skowronka

Złoto pszenic srebro żyta
co przedsmakiem kuszą chleba
raz się skłonią w dziękczynieniu
raz ku chwale wznoszą nieba.

Wszystkie wiersze i opowiadania publikowane w tym
nr. „TL” zostały nagrodzone w tegorocznym Konkursie
Literackim im. Jana Pocka

WALERIA PROCHOWNIK

Ziylone Śfiontki

Po Wielkanocy kozdy broł się wartko za robote. Kto jesce niy zdonzył zasioć jak śfijnta fcas przy-padły, to się śpiechoł, furmana mołyndził, zeby ziorko jak nojpryndzyj po zymie trefilo. Wjadomo, że kiedy był mokry kawolek, to trzeba było lotcekać jaze podesknie. Ino ze po tym to zaś była loscuda, bo fselejako gowidz na tym siedziała. Które ziorko za bronom głym-bij do zymie niy spadło, to jus go tes wrony, kafki a nawet gołymbie wydziubowały. Niy pomogły strasydła, bo się ptactfo tego niy boło. Potym narzykało się na furma-na, ze za rzotko posioł zboze. Ziomnioki to niy musiały tak fcas być sadzone, jak trefila psota to i do maja się sadziny łodwleko.

Siedym tydni po Wielkanocy som zaśe Ziylone Śfiontki. Na tyn cos jus gospodorz musioł f kozdy kawolek za-loranego pola wbić krzyżeczek s głowiyki zrobiony. We Wielgom Sobote przy kościele łopalowali chłopcy kawolek drewna mjynkigo na ty krzyżecy. Miały uny strzyc uprawy. Zeby się zboze niy zwaliło, ani grot do niy wybil, cy inkse jesce nisyecynści łominyć.

Ludzie ryktowali się tak jak na kozde śfijnta. Tym bardzyj ze jus po tym do samego Bozego Narodzynio przes dwa dni się niy śfijntuje. Kozdo chałpa musiała być kole dzwirzy na zielono łumojono. F chałpak wysprzontane i koloce napjecone.

Łocios, ci co to nami rzondzom, jus downo jedno śfijnto łodjyni, ludzie na fsi do teraznia drugi dziyj nojwyincyj uwazjom.

Jak ino pogoda na to pozwołała, śli na nojblyzsy gronicek. Kozdy cosik niós ze sobom: gospodorzo łokecek slomy do łognia, zaś jedne nalbo ji dwie flaski gorzołki. Wia-domo, kjedy się niy ino rodzina, nale tes sonsiady ześli, to bes wypitki ani rus. Nawet śpiywunka jes do tego: „Jak się rodzina z drugom razym zyjdzie, to się kfaterreckom nigdy niy łobyjdzie”. Gospodynice f kosolkak mjaly pokrote koloce, a przede wszystkim słonine wyndzonom ji jajka na jajeńnice. Zeby telowne jajka łusmazyć, to musioł być wielgi kastrol. Starsi to daleko niy chłodzowa-li, bo potym po ćmoku byda było nazot ku chałpie się przytadra-cyć. Tym gorzyj jak się jesce na plecak dziecko małe w łodziwacce nje-sło, na inkse kole nog się pyntały. Na chłopca to jus niy było co licyć, bo som ledwie seł.

Po prowdzie Ziylone Śfiontki tryfajom na przednofku. Jus ziomnioki f piwnicy na wykocyniu, f kumorze zbozo f skrzyśniak jino na dnie, f stodołak sonsieki prozne. Bydło posło jus f pole, to niy dziwota, ze potrawy zodnej niy ma. Łoko-

cek slomy na łogijj musioł być łostawiony, bo była to wzgarda dla takigo gazdy, co przyseł ku łogniu bes łokocka.

Młodzi śli łogijj polić łosobno. Przy łojcak niy przysto-ło dzyfce łoblapić, na przy takij sposobności niy wypoda-ło młodym zabroniac is polić „huty”. Tak ty łognie wiel-gie nazywali. Zaśe starsi chłodzowali polić łognie potrol-kami. Kozdy półrolek mjoł sfojom droge do pola i sfoj las. Słodzili się jak nojwyzyj, zeby s daleka łogijj było wi-dać. Dziecyska karkosek s lasa nawlekły, bo słonina ino bełknie, na przecies na cymśik trzeba jajeńnice łusmazyć. Łopkładałi mały jus łogijj kamjyniami, na wyrk kładło się kastrol cy wielgom patelnie. Łocios po chałpak tes się lot casu do casu jajeńnice jodało, nale nigdy tak niy sma-kowała, jak ta na łogniu w Ziylone Śfiontki łusmazono.

Jajeńnica downij to było niy byle jaki jodło. Jak się kro-wy na wjosne pirsy ros wyganiało, to pastyrz dostawoł jaj-ko na tfardo łuwarzone do zjedzynio, ino ze nojprzot musioł go krowie popot brzuk przekulać. Nojcyńcij da-wali jom furmanom na śniodani. Tymu tes docinali im chłopci jak się fkarcmie ześli: – No jus wjosna, zaś ci się bydzye jajeńnica po brodzie łoła.

Nale zanim się skfarki stopiły i jajka łusmazyły to pod-rostki lecieli s fakłami f pole łopalować. Fakle nazywali inacyj palmami. Na grubym drucie nalbo kiju s tfardego drewna wjonzali stare smaciska namocone naftom nalbo jakim łoliwom. Do śrotka fkladałi casym żywice. Paliło się to dugo i piyknie. Lecieli potym s tymi fakłami pola-mi tak daleko, pokiela mjeli pole s tego potrolka. Darli się przy tym na całe garło: – Łopol Boze nase zboze, zaś sonśadom jako moze!

Jak cłowjek się połozglondol nałokoło, to fsyndzie po gronickak kany jino było pole pozaśywane, to se śnury śfiatelek blysały. Strasnje piyknie to wyglondało. Jaze cłowieka cosik f śrotku lot cłkliwości gnietło.

Kjedy jus łoblecieli, ka się jino dało, to przylatowali nazot ku łogniu. Jajeńnica jus na nik cekała. Tak ta źrac hakliwie jadła, jakby nic w zyciu niy widziała. Starsi tes niy dawali się prosić. Po jodle zacyni jedyn do drugigo przepijając i coros głośnijso gotka, śmjoci nalbo tes wre-scyni dziecka njesto się daleko.

Njik się ani niy spo-strzyk, kjedy przy spo-ninaniu, wydziwjaju i breweżyniu dziecyskof cas ślecił jakby na ba-cie strzełił. Jus tes do-brze po połnoicy zacyni się roschodzić. Kozdy zbjiyroł co cyje, ino ze niejedyn niy mok z mjysca się ru-syć. Ktosik ta śpywoł na całe garło, co jedyn to na jinksom nute. Ciynsko było się łozjyś, bo na takom łuciece



Nagrody laureatom XXXI Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego wręczał dr hab. Jan Adamowski z konkursowego jury. Fot. Alfred Gauda

trzeja było pocekać jaze do przyslego roku. Zdarzało się tes, ze se jaki łojciec spomnjoł, ze ta kajsik córka (bo to chłopcysko to ta mnijsze) jesce się w lesie wałynso. Zacynoł po matce psy wjsać, jak ij to pilnuje. Bjdno matka jak potrefi to go załagodzi, ino ze na serdusko tes ij kapie. Przecies downo, bes chłopa wygadownio, myśli, co ta Marysia porobio i kjedy do chałpy przydzie.

Młodzi tymcasym jesce ani myślom brać się ku chałpie. Kajsik ta pod lasym nalbo na polanie łogijj polom i śpijwajom, na heligonka jim gro jaze niesie się po lesie. Uni nny patrzm, ko ta jest s jakigo połtroika, im ik wjyncyj to lepij. Ponjektory nny moze f mjejsu hustoć, bo nogi same do tojcynio się rwom. Nny wjedzieć s której strony zjawjom się przy nik dziecyska s fakłami. Po prowdzie to jim matki nagodały, żeby ku młodym zagłondli. Kciały wjedzieć, co ta wyrobajom, ko s kim tajuje nalbo kole kogo siedzi. Ino ze młodzi nny gupcy, dobrze wjedzom, po co ku nim przyšli. Jus przecies zařcasu łojcowje naprzykazowali, ze f tyn dziyj ani kole łognia cy tes kany indzij to nojwyzyj řadnyć. Nigdy lezeć, bo zboze tes pola-

go ji potym strasno mordynga przy kosyniu. Nojlepij by było cały cos stoć, jesce do tego prosto, to ftyncos zboze tes stoi. Starzy ta kajsik na to nny zwazowali ji byle jak siedzieli. Zdarzało się tes, ze jak ko przeholowol s pijařtkom, to bechnyl sobom i społ pokjela nny przekrzyřbjoł. Ze ta noce jesce ftyncos zimnawe, totes ji wartko s głowy sudziało.

Zeby hańniki nny peplały, to jim cukjerki dawali, kasek kołoca, a ponyktorymu wjynksymu to nawet papjyrusa. Łocios zlekřie łobjecali, ze nic nny powjedzom, to jesce nawet przycynjali wjyncyj jak widzeli. Na to przes zazdroř, ze jus uni mogom się sami łogijj polić.

Ze ta nny řszyjscy po fabrykak robowali, to siedzieli do řfitu. Nijedyn to przyseł do chałpy, jino się łumyl, przebroł i na szykte seł. Młody to strzymoł bes spanio. Na drugi dziyj, w byle ktorej chałpie, wojna była jak ko za duzo zaholořil. Gotki tes było po chałpak przes pore dni, jaze pomału řsyřko łucichło.

Dzisiej kajsik nikomu nny kce się Ziyłonyk řřfiontek łotprawiać. Tymu tes musimy to łopisać, bo ko to tym řpomni, kjedy nos zabraknie?

JADWIGA SOLIŃSKA

Wianuszki

Moja babcia Paulina wjając wianuszki na ostatnie nieszpory z okazji zakończenia oktawy Bożego Ćciała tłumaczyła:

– Wianuszków musi być trzy sztuki. Razem złączone, stanowią jeden. Wianuszki to znak Trójcy Świętej. Ten imitujący Boga Ojca powinien być największy i najpiękniejszy i znajdować się pośrodku. Dwa następne, po bokach. Każda roślina umieszczona w wianuszkach ma swoje znaczenie, przeważnie lecznicze. Bo po poświęceniu zioła, pierwociny przyrody, nabierają mocy magicznej i są bardziej pomocne jak w chorobach, tak i w obrzędach.

Chodziłam z babcją po kwiecistych łąkach, ogrodach warzywnych, sadach i lasach wyszukując potrzebnych ziół, kwiatów i liści na wianuszki. Gęsie łapki mają liście zupełnie podobne do nóg tych ptaków. Miały być pomocne w chorobach gęsi. Zegawki jařminu, to lekarstwo dla krów. Gdy krowie opuchło wymię i stawało się twarde jak kamień, a mleko miało kolor czerwony. Przyczyną tego był przelot pod wymieniem, jaskółki o purpurowym krawacie na szyi. Trzeba było wziąć z poświęconego wianuszka trzy kwiaty jařminu zaparzyć, dołać trzy krople esencji octowej i tym roztworem mocno nacierać wymię. Kwiaty rozchodnika leczyły choroby nóg. Gałazeczki jałowca połączone z nasionami kopru uřmierzały kolkę brzusznią. Liście buřrzyku bardzo pomocne przy bieguncie.

Były jeszcze takie zioła leczące chorobę francuską, ale ich nie można był używać do wianuszków. A babcia mówiła, że dlatego, bo ta choroba pochodzi od złego ducha i wianuszki nie mogą mieć z tym nic wspólnego.

Potrzebna jeszcze była do wianuszków szeroka trawka w białe paski, liście lipy, kwiaty macierzanki i inne w tym okresie kwitnące.

Wianuszki przewiązane wstążką, poświęcone w kościele, trzeba było zawieřić pod świętym obrazem i w kařdzie potrzebie korzystać z ich dobrodziejstwa.

Okadzano nimi przeraszone dzieci i małe źrebaki.

Najważniejszą rolę wianuszki spełniały i spełniają podczas pogrzebu, bo zwyczaj ten przetrwał do dziś. Kruszy się część wianuszków i posypuje wewnątrz wiecznego domu, czyli trumny. Nawet w pieśni pogrzebowej brzmią takie słowa:

„Już od was odchodzę
Nic nie biorę z sobą
Tylko co nieco wianeczków
I cztery łokcie szata
To wszelka zasługa
Z tutejszego řwiata.”

Šzłam z babcją do kořcioła na ostatnie nieszpory, trzy-mając w jednej ręce wianuszki, a w drugiej rękę babcji.

Bardzo miły zapach jařminu napełniał řwiątynię. Śpiewano nieszpory w całości. Szczególnie zwracałam uwagę na zwrotkę: „On niesie radość dla nieplodnej matki, miłe w jej domu rozmnażając dziatki”.

Zastanawiałam się wtedy, czy jestem miła? Dochodziłam do wniosku, że nie. Bo gdy ktoś na mnie spojrział, a nie uřmiechnął się, głořno płakałam.

Potem była procesja, bardzo uroczysta. Babcia nosiła chorągiew. Ubrana była w strój od wielkiego řwięta. Zielony kaftan, czyli bluzka z samodziału, babcia sama uprzedła wełnę i utkała na krosnach materiał, bluzka o bufiastych rękawach z baskinką, zapinana na małe guziczki.

Spódnica do kostek, półkloszowa, z zakładkami na dole. A na samym spodzie obszyta czarną szczořeczką. Podobno obecnie takiej szczořeczki za řadne skarby nikt nie zdobędzie. Na głowie miała biały czepek zawiązany pod brodą. Na szyi pod koszulą nosiła szkaplerz z brązowego materiału. Šzłam przy babcji i byłam z niej bardzo dumna.

Na zakończenie nieszpory, kořcioł przeistaczał się w niebiański raj. Woń kadzidla, zmieszana z zapachem jařminu odurzała. Z góry płynęły organowe dźwięki, a śpiew w języku łacińskim przyprawiał o zawrót głowy.

Takie przeżycie pozostaje w sercu na wszystkie lata. A dziś? Kořcioł unowocześnił prawie wszystko. Nie tylko nie używa się łaciny, ale zamiast nieszpory odprawiana jest msza řwięta.

Wielki to ubytek tradycji. I wielka szkoda. Przecie to korzenie... Może dlatego tak się wszystko chwije? Być może kořcioł swoją nowoczesnością pragnie przyciągać wiernych? Niechaj chociař dawne tradycje religijne ożyją w moich wspomnieniach.

12 maja 2002 r.

ZYGMUNT BUKOWSKI

Z porami roku

Po świętym Janie żyta zaczęły blaknąć i uwidaczniać brązowe kolanka na bielejącej słomie, wiadomo to znak, że żniwa tuż, tuż. Od zbóż poczęło jaśnieć, jakby ziemię nakryto wielkim słońcem. Po wróżbach ojca z gwiazd i księżycy następowała zazwyczaj piękna pogoda. Toteż wszyscy, jak i my, rozpoczęli żniwować w czwartek.

Janek wiedząc, że dzisiaj będzie pasowany na kosiarza, zbudził się wcześniej, gdy tylko słońce wstało. Otworzył okno, jakby chciał przyjąć jego blask w tym uroczystym poranku. Czepiga winogrona, zwinięta w spiralkę tuż u ramy, przypominała mu kędziorek Helki. Był szczęśliwy, a zarazem dziwnie przejęty, gdyż uświadomił sobie, że kocha tę dziewczynę. Wiedział, że za kilka godzin będzie za nim zbierać pokosy. Pomimo wczesnej godziny spoglądał w tę stronę, skąd mieli nadejść kuzynowie ze swą urodziwą siostrą. Pragnął słońce pchnąć wyżej w niebiosy, by jak najprędzej przeszły łany obficie zroszone.

O dziewiątej błysk kos zdradził idących żniwiarzy. Gdy przekroczyli most Helena w długiej spódnicy i białej bluzce zdała się Jankowi boską anielicą, niedostępną dla jego uczuć. Po przyjściu wszyscy mówili o pogodzie. Helka stojąca obok Jasia, była wyjątkowo piękna. Jej włosy rozczesane na brudkę przypominały łan pszenicy przedzielony miedzą, a kolczyki błyszczały niczym kropelki żywicy. Po ostatecznym stwierdzeniu przez gospodarza, że będzie pogoda, żeńcy ruszyli do żniwa. Poszedłem z nimi, gdyż wiedziałem, że Janek będzie pasowany na kosiarza i chciałem zobaczyć tę ceremonię.

Łan pochylony w głębokiej pokorze, jakby korzył się przed śmiercią. Gospodarz przeżegnawszy go wielkim krzyżem począł sieć. Po skoszeniu skrawka odwrócił się, dając znak nowicjuszom, by ukłękli na ściernisku. Pozostali otoczyli ich kołem, dzwoniąc w kosy na znak, że ma się wydarzyć coś wyjątkowego. Zapanowała uroczysta cisza. Wtedy ojciec podszedł do syna i oselką uderzył go w ramię, wypowiadając takie słowa:

– Od dzisiaj zostajesz przyjęty do grona kosiarzy. Znoś dzielnie wszystkie trudy znoonej pracy. Pokosy układaj starannie i nie pozwól, by kosa pobodła cię przed wieczorem.

Po wypowiedzeniu tych słów nad klęczącą dziewczyną, Janina oblała ich wodą na znak żniwnego chrztu. Kobiety wzruszone tą chwilą zaczęły dyskretnie ocierać łzy. Kosiarze natomiast zaczęli kolejno wkszać się w zboże. Miarowy chrzest kos i cichy pobrząk cofającego się ostrza kładł łan zgodnie na dziurbę ściernika. Tuż za nimi żniwiarki zgięte w pałąk podbierały pokosy i wiązały je w zgrabne snopki.

Mijały godziny, lipcowy dzień wolno toczył słońce na pagór, lekki wiatr zupełnie ustał. Upał nasilał się z każdą chwilą. Nowicjusze już nie dotrzymywali kroku wprawnym kosiarzom. Janek często zamierzony kęs żyta brał na dwa razy. Pot zalewał mu czoło, koszula kleiła się do ciała. Helena coraz częściej boleśnie syczała za jego plecami, kałęcząc palce o ściernisko. Młodzi, widząc płynące obłoki, ludzili się, że może choć jeden na chwilę przysłoni to nieznośne źródło żaru, ale one jak na złość płynęły

obok w bezkresnym błękitcie, rzucając tylko dalej niewielkie plachty cienia na rozległe majątkowe pola.

Słońce paliło jeszcze okrutniej. Dziewczyna czerwona jak purpura skarżyła się cicho:

– Boże, jak ja wytrzymam do wieczora.

Ojciec jakby słysząc jej narzekanie ogłosił pokurkę. Wszyscy usiedli w cieniu przydrożnej lipy. Tylko młodzi zauważyli, że najmłodszy Henio przyniósł na pole dzban z napojem ze świętojanki. Pobiegli tam trzymając się za ręce. Na przeciwnym krańcu pola kucnęli koło dzbana i patrzyli na swoje odbicia, chwijące się w rubinowym napoju. Chociaż pragnienie dokuczało, nie chcieli niszczyć tego zwierciadła, w którym niebo w pokłonie dało mieszkanie tej cudownej chwili, temu pierwszemu przytuleni się zakochanych istot. Gdy tak trwali objęci swym szczęściem, ciocia Bronia szykująca obiad zadzwoniła w wiszącą u gałęzi odkładnię, ogłaszając południe.

Po obiedzie kobiety usiadły w cieniu przydomowych klonów. Mężczyźni pokładli się obok na murawie przerosniętej dzikim rumiankiem. Wandzia jak zwykle zaczęła



Odpust, fragment płaskorzeźby wykonanej przez Zygmunta Bukowskiego.

Fot. Piotr Zabłocki

opowiadać dowcipy. Jak miejska dziewczyna wyszła za gospodarza, a potem biła kwokę za to, że nie chciała kurczętom dać piersi. Albo jak to dziewczynki bogatsze przechwalały się przed biedniejszą. Jedna mówi: – Ja mam nową sukienkę – che, a ty nie! Druga rzecze: – Ja mam nowe sandaalki – che, a ty nie! A biedna mówi: – Moja babka umarła, che, a twoja nie!

Janek przez sen usłyszał klepnie kos. Poszedł do ogrodu, by i swoją wyklepać. Zobaczył, że za niego robi to ojciec. Był mu wdzięczny. Patrzył z podziwem na mistrzowskie uderzenia młotka, wyklepującego równiuteńką ryńienkę na krawędzi ostrza. Czuł, że kocha go bardziej niż kiedykolwiek. Może z tej przyczyny, że dzisiaj wprzęgnięty w jarzmo, dopiero umiał docenić trud rodzica.

Po południu ruch powietrza zupełnie zamarł, słońce prażyło ze zdwojoną siłą.

Jasio słabł. Piekące dłonie nie chciały służyć młodzieńczej ambicji. Kosa coraz częściej szpicem wchodziła w ziemię. Z zalem patrzył za oddalającymi się żeńcami. Zerkał na słońce, a ono jakby w miejscu stało na niebie. Gospodarz idący na czele wracających żniwiarzy spojrział na twarz syna ubiczowaną mozołem. Zdjął z ramienia kosę i wkosił się przed niego. Za jego przykładem robia to wszyscy i znów razem żniwowali od początku, kładąc na ściernie dorodne żyto. Mianowany tego dnia ponownie został w tyle, gdyż nieznośnie dokuczwały mu krwawe pęcherze na dłoniach, a Helka dopiero zaczynała wiązać na przeciwnym końcu pola źle już układany pokos Janka. Ojciec, co wiele lanów pokonał, znów ogłosił pokurkę, by dać wytchnąć żniwującym. Tym razem usiedli na miedzy, gdzie bliżej był cień rozłożystego dębu. Chłopi przeginali się przez miedzę, by złagodzić ból w plecach od ciągłego skrętu kręgosłupa. Kobiety jak zwykle usiadły w kółko.

Pogłos dzwonów z przywidzkiego kościoła przypomniał Urszuli, narzeczonej Jana Herbasza, przypowieść o dzwonach. Powiedziała:

– Słuchajta! Była sobie piękna szczodrowianka, na imię miała Kasia. Kochała na raz dwóch młodzieńców, a każdy chciał ją za żonę. Nie wiedząc co począć, poszła ze swym kłopotem do proboszcza. On jej rzecze: – Wyjdź w południe na pagórek i posłuchaj dzwonów, gdy będą wydzwaniać Anioł Pański, a one najlepiej ci powiedzą kogo wybrać. Dziewczyna, jak jej powiedziano, tak zrobiła. W południe wsłuchuje się w ich uroczysty ton, a każde uderzenie nieomylnie powiada: – Wyjdź za Jasia, wyjdź za Jasia. Po roku, zapłakana znów idzie do księdza i opowiada o swojej krzywdzie. On mówi: – Dobrze słuchałaś? No posłuchaj teraz, gdy one grają na wieży. Dziewczyna słucha, a proboszcz pyta: – Co teraz ci mówią? – Głupia Kasia, głupia Kasia!

Mężczyźni w tym czasie wychwalali swoje kosy. Broniek, jako czeladnik kowalski znający już wszystkie tajniki, mówił jak sprawdzić, w której stal najlepsza. Wziął słomkę długości zapalki, śliną przykleił ją w poprzek na grzbiecie kosy i powiedział:

– Która prędzej ukierunkuje się wzdłuż krawędzi, w tej stal bardzo dobra.

Pozostali zrobili to samo i z zapartym tchem śledzili, która prędzej spełni to wymaganie. Zaczęły się sprzeczki, gdyż trudno było dociec, czyja była pierwsza. Ojciec słysząc te klótnie, powiedział:

– Kosa to ja w d... nosza, ale kosisko to jest nade wszystko.

Rzeczywiście jego kosisko miało pięknie wyprofilowany kształt. Od nasady aż do rączki było sześciokątne, a da-

lej okrągłe i znów schodzące w sześciokątny stożek, u nasady zwieńczony nieco spłaszczoną kopułką. Gospodarz nacinając na jednej z krawędzi kolejny znak oznajmił, że to są już jego trzydzieste żniwa.

Po przerwie upał nieco zelżał. Słońce zbywszy się ogniastej korony poczęło tonać w morzu czerwieni. Jasia wsuwnąwszy w snop dłoń powiedziała:

– Będziemy stawiać szyty, bo rosa siada na zboże.

Żeńcy utworzyli małe grupki i znów lan poległy zmarłych chwstał. Długie rzędy szyć znowu potęgą chleba wzbogaciły pole. Ludzie orzeźwieni chłodem wieczoru zaczęli prowadzić wesołe rozmowy. Janek z Heleną ujęli się za ręce i patrzyli jak słońce z wolna zbliża się do toni jeziora, jak całuje swoje odbicie, jak pochłania dwoistość, jak przez chwilę znów jest całością i tonie w purpurowej głębinie.

W czasie omłotów nie było już słychać bicia cepów w stodolach. Wyły tylko tak zwane szyftówki, dławiające się często zbyt grubym kęsem zboża i terkotały napędzające je kieraty. Jesień tego roku była wyjątkowo ciepła i pogodna, toteż wsiewka seradeli szybko rosła, pokrywając się rychło biało-różowym kwiatem. Gdy wybieraliśmy kartofle, miły jej zapach wciąż nas otulał. Pomimo że władał już październik, słońce nadal lubo grzało w plecy. Tylko klucze dzikich gęsi i żurawi płynących na zachód w osnowie gęsto snującego się babiego lata przypominały, że zbliża się koniec złotej jesieni. Ja również byłem świadom, że odbiega czas chłopięcych lat, wsłuchując się wieczorami w klangor odlatujących ptaków i skrzypienie kół chłopskich wozów jadących do Gdańska z kartoflami. Ich powolne toczenie się zdradzały tylko chybottliwe światelka u boku skrzyni i iskry spod uślizgujących się kopyt.

Po tych nieomylnych zwiastunach rychło następowała pora dżdżysta. Stawy naplakała do pełna. Struga wezbrała gwałtownie, flisując wciąż zmarłe liście do rzek. Nadal pasłem w parowie zwiększone już stado ze swą Psotką, nieodłącznym przyjacielem pastuszych lat. Przemarznięty wtulałem się w chatkę z korzenicy, a psina swym futerkiem ogrzewała moje zziębnięte stopy, rozumnie patrząc mi w oczy orzechowymi ślepkami. W takie dni utratę matki czuło się jak bolesną ranę. Daremne jednak były żale i patrzyenie w zachmurzone niebo, łudzenie się, że może zawoła przez rozwarte niebiosy. Czułem się jak skaleczone drzewko, które jednak pragnie żyć i cieszyć się cudownym darem istnienia.

Nastąpił żaloby listopad, a z nim przymrozki. Toteż w długie wieczory Janina przędała wełnę na skarpety. Nić młodej prządki często była nierówna, miała wiele zgrubień i rwała się raz po raz. Wtedy Jasia traciła cierpliwość i pogrzebaczem tłukła kołowrotek, mówiąc przez zaciśnięte zęby:

– A masz, a masz, ty wredna Marmelko! – gdyż kółko pochodziło od nazywającej się tak kobiety.

Do równowagi przychodziła jednak szybko, prosząc: – Zygmun, nareperuj kołowrotek, a nie powiem tacie, że to ty, a nie Łosiński strzeliłeś z łuku gęś w kuper.

Przy przeróżnych zajęciach, jakie mieliśmy w gospodarce, życie mknęło jak wichura, a dni mijały niczym karty księgi uwolnione spod kciuka. Jednak szczególnie widok czy przeżycie zawsze głębiej zalega w pamięci. Toteż gdy pewnego ranka po świętym Marcinie wyszedłem na próg chaty i spojrziałem w zabieleny świat, nie wiedziałem, czy to rzeczywistość, czy złuda, czy to się śni, że ktoś nagle do cudnej baśni otworzył drzwi. Sad ośnieżony zdawał się kwitnąć majem. Młode wisienki zastygły zgięte w pałak jak tancerki w balecie schylone po kwiat. Dach lśnił

uroczystą białą wigilijnego obrusa z soplami frędzli u krawędzi, gdzie słońce ledwie zrodzone odbijało swoje różowe oblicze. Pola lśniły pościelą nieba obsianą zbiorom gwiazd całego świata. W takiej to scenerii zawitała do nas adwentowa cisza. Był to czas przebierańców i chodzenia z szopką.

Przed świętami Bożego Narodzenia my również chodziliśmy przebrani od zagrody do zagrody. Broniek zawsze był muzykantem, gdyż pięknie grał na skrzypkach. Janek Herbasz, najwyższy z nas, był bocianem, Hela – cyganką, Wandzia stała pyskująca – wiejską kobietą, Józek – koziołkiem, ja kominiarzem, Heniek – diabełkiem, a Teresa – kostuchą. W takim to składzie zawitaliśmy po raz pierwszy do rodziny Worzały, gdzie były same dziewczęta – razem siedem – w wieku od 3 do 14 lat. Wpierw hałaśliwie zadzwoniłiśmy w sieni dzwonekami. Gdy weszliśmy, wszystkie bez nakazu uklękły i zaczęły odmawiać pacierz, myśląc, że to tyłu gwiazdorów przyszło na raz. Bocian wpierw począł klekotać, jak rzeczywisty, gdy po przylocie pierwszy raz usiadł na gnieździe. Potem długim dziobem zaczął pładnować po wiadrach z wodą. Kiedy zanurzył dziób w gotujące się golce na kuchni, począł nim trząść, jakby się oparzył. Dziewczynki wybuchły radosny śmiechem.

Wtedy zabawa zaczęła się na dobre. Broniek grał, niczym mistrz Paganini w swym demonicznym transie. Wszyscy usmarowani przez kominiarza sadzą wirowali jak diabliki w piekle. Helka trzęsła się w tańcu jak galareta, śpiewając cygańskie pieśni i potrząsając do taktu tamburynem zrobionym z sita, przydzwaniając jeszcze mosiężnymi kółeczkami, które miała na rękach aż po łokcie. Diabeł okrążał wszystkich tańczących, chlastając po twarzach swym zadartym puszystym ogonem, to dzwonił łańcuchami i klął na niby dziewczęta widłami. Śmierć klóciła się zawzięcie z babą, wymachując ciągle kosą i naśladowując głosem koszenie żyta. Koziołek wskakując to na ławę, to na stół, bódł dziewczęta, aż zahaczył rogami za spódnicę jednej z nich. Maską została zdarta, a my rozpoznani. Śmiechu było wiele, gdyż byliśmy ich najbliższymi sąsiadami.

Wigilia 48 roku była bardzo uroczysta. Choinka sięgała sufitu. Oszroniona tając w cieplej izbie, wydawała świeży leśny zapach żywicy. Płonące świeczki ulane z wosku pachniały rojną pasieką, stajenka wtulona w gałązki, wewnątrz wyścielona pomarszczonym pazłotkiem, skrzyła się niczym skarbczyk złoty – ołtarzyk nieba. Aniołki wystrzyżone z różowej i niebieskiej bibulki zawisły pod jej stropem, jakby w tej chwili zstąpiły z niebieskiego dworu i kłęczą, by grać narodzonemu pod tęczą glorii nasze cudowne, stare kołody. Na mchu z naszej strzechy stali w ukłonie pastuszkowie i zwierzątka ulepione z gliny, a wśród nich Malusieńki w poświacie rubinu z jarmarcznego pierścionka. Szyby w opłatku mrozu, tając od gorącego pieca, pozwalały gwiazdom wciekać do naszego Betlejem, pachnącego już tego wigilijną wieczerzą. Na dworze idealna mroźna cisza nakrywała ziemię wielkim granatowym przetakiem, przesytytym wszystkimi gwiazdami do jasności nieba.

W takiej to scenerii Wandzia zaczęła nakrywać stół białym obrusem, spływającym na blat z lekkością ducha, uwidaczniając w świetle świec wzory w misterne śnieżynki. Ojciec na garści siana położył opłatek przepasany niebieską wstążką. Terenia postawiła dziewięć talerzy ze złotą obwódką u krawędzi. Barszcz jeno postawiony, chwając się jeszcze rzucił na sufit złoty krążek, wahający się coraz wolniej. Uszka ledwie z wrzątku wyjęte parowały wonią grzybów i kapusty. Karp w galarecie leżał w sala-



Zygmunt Bukowski, *Mleczarz*, fragment płaskorzeźby.

Fot. Piotr Zabłocki

terce w asyście świecidełek odbitych z choinki. Śledzie pocięte w dzwonek skrzyły się srebrzyście niczym marszczyna na wodzie. Orzechy laskowe w ceramicznym naczyniu przypominały nas ukrytych, by w odpowiednim momencie wybiec i zaklepać się na ścianie.

Gdy wszyscy odświętnie ubrani zasiedliśmy za stołem, z sąsiedniego pokoju wyszedł ojciec w nowym garniturze w niebieskie cieniutkie prążki. Spojrzał na stół i powiedział: – To nakrycie jest dla naszego umiowanego gościa, który na tę wieczerze zapewne duchem zstąpi z nieba.

Spojrzeliliśmy po sobie, wiedząc zaraz, o kogo chodzi. Potem ojciec z nami przełamał się opłatkiem zaczynając od najstarszej Janiny. Po złożeniu wzajemnych życzeń ojciec córkę pocałował w czoło, a ona go w rękę i tak dzielił się ze wszystkimi, aż do najmłodszego. Po zaśpiewaniu kilku kołód, pod opieką kochanego rodzica zaczęliśmy spożywać wigilijną kolację. Po posiłku, kiedy trwały serdeczne rozmowy, dźwięk dzwonek obwieścił, że idzie gwiazdor. Wszyscy otrzymaliśmy prezenty. Janina, mająca już osiemnaście lat, dostała cienkie pończochy, tak zwane gazówki, Terenia – szeroką, czerwoną wstążkę do swoich długich i grubych warkoczy, chłopcy po scyzoryku, a Wanda – małą torebkę z grzebieniem i lusterkiem.

Na pasterkę posłaliśmy we czworo. Tata z najmłodszym Heńkiem został w domu, gdyż miała się cieleć nasza Krasula. Gdy wracaliśmy, światło w oborze było znakiem, że tak się stało. Poród był bardzo ciężki. Zaparci w cementową rynnę ciągnęliśmy za sznury z całej siły, aż kładąc się na ziemię, a ciele ani rusz. Siostry zaczęły płakać, że rozerwiemy krowę. Za pomocą dźwigni, jaką tata zastosował, nóżki poczęły się wolno wysuwać, ukazał się pyszczek, jednak szersze czoło nie chciało przejść. Powrozy aż grały od napięcia, a my coraz mocniej naciskaliśmy dźwignię. Stojące obok krowy zaczęły pomrukiwać, jakby czuły naszą dramatyczną walkę o zagrożone życie cielęcia. Mądre zwierze parło, ile tylko miało mocy w sobie, co chwila odwracając głowę i załzawionymi oczami błagało o ratunek. Wreszcie z bolesnym rykiem rodzicielki urodził się czarno-biały byczek. Pomimo późnej nocy nadal byliśmy w oborze. Cielę położyliśmy obok matki na miękkiej owsianej słomie. Nastąpiło staranne i długie wylizywanie mokrej sierści. Cielę zaczęło parskać i potrząsać głową, po czym odezwało się tylko matce wiadomym sygnałem, po którym łaciata podniosła się, by z narzętkiem wymienia siałą napoić byczka.

Po włożeniu przez gospodarza opłatka w siano udaliśmy się na spoczynek.

WŁADYSŁAW SZEPELAK

Jako to downij strasyło

Wnasyj wsi, odkond moja pamiynć siyngo, zawse w moju były mojówki. Odprawiały się wiecorym po robocie, było to śpiywanie litanije do Matki Boskijj i insyk pieśni pobożnyk, w cyrwcu zaś przy tyj samyj kaplicce śpiywali my litanijom do serca Pana Jezusa i inse pieśni do Pana Jezusa. Potym była przerwa bez lipiec, siyrpiyń i wrzesiyń, bo wte jes nojwicyl roboty, ale kie nadseł październik, znowa się zaczynały wiecorne nobożyństwa. Do Matki Boskijj Różańcowyj, a w listopadzie modlyli my się za zmarłyk.

Kie był listopod fajny, suchy, to po pociyrzak parobcy schodzyli się na dródze. Chodźkie to i dziywki tys ś nimi stoły i słuchały jako opowiadali różne historyje, cy tys jakie śmiysne kawoły. Ros było tak, kie zacyni godać i śpasować z dziywkami, nie dali nom słuchać, ba nos mnijsyk chłopców wyganiali do chałpy. Jo miał wte jedynoscie roków, insi moi koledzy tys mieli po 11, 13 roków. Powiadajom do nos: – Do chałpy spać, nie wolno słuchać, co starsi godajom. – Jo powiadom tymu, co się na mnie udzirol: – Co mi w chałpie godajom, ze starsyk trza słuchać. – To se słuchoj gówniorzu, ale w chałpie, a nie tu, bo tu się casem głupio godo.

A jo mu na to, ze mi wolno tu stoć, a jak on kee głupio godać, to niek se idzie dajly, bo przy kaplicce się głupio nie godo.

Tego jus było Jóskowi doś. Odpion posek, a jo kie uwiadł na co się zanosi, stanonek na drzewie, co było na składcie przy dródze. Kie on podsed do mnie, jo był troche wysyj od niego. Zacon mnie bić po kolanak, po nogak i ka popadło. Widzi, ze jo nie płacym, ani się nie drym, ani nie uciekom, obyrtnon posek sprzyncom i pocon mnie tom sprzyncom bić. Wyrznon mnie może ze dwa razy i sprzyn-

cka wpadła do spary pomiyndzy drzewo. Zklinowała się. On sarpnon ros i drugi, posek się urwoł, a sprzyncka ostała.

Syćko by było, ale kie mie biyl po nogak, to jo mu odgroziyl, ze mie jesce popamiynto i będzie przedy mnom uciekoł. Jo poseł do chałpy, ale zakiela dosedek, jus zek syćko dokumyntnie obmyśłoł. Miołek w chałpie kije, co ik to scudłami nazywajom. Chodźic na nik umiołek dobrze, trza ino biołom chuste i agrafki, coby to było dobrze zapionć. Syćko się nasło – agrafki, chusty się susyły na zyrdec.

Wzionek to syćko, ślozek ku dródze, w takie miysce co godali, ze hań strasy i cekom, kie parobcy bedom odprowadzać dziywki do góry wsiom. Zmorzek jus doś tyngo, kiek ik uslysoł. Nie śpiywali, ino śli z dziywkami, cosi opowiadali i śmioli się. Jo chuste spion pod brodom, na pierśiak i na brzuchu, odbiylek się od śkarpy, chusta zakrywała mi całe nogi, nizyj były ino kije. Dróga była twardo, kije cupkały, ale parobcy i dziywki mnie nie slyseli, bo cosi opowiadali i śmioli się. I wte jedna z dziywek zakwiciała przeraźliwie. Zrobiło się cicho, ktorosi s parobków mioł latarke (baterijom, bo tak my to wte nazywali), oświycylić mie, ale gymby mojjj nie było widać, bo była zakryto chustom biołom, ino była mało sparka na nos i ocy. Zrobił się znowa zgiełk, dziywki się darty i uciekały na dół ku kaplicce. A za nimi i parobcy, ino tyn, co świycylił po mnie, stoł i świycylił. Kiek jus był od niego może seś abo siedym kroków, strak go wzion udar się: – To śmierz!, i uciyk za insymi.

Na drugi dziyn we wsi wrzało, bo ci co śli do góry wsiom s kaplicki syćka śmierz widzieli, syćka godali, ze była bioło, ino ze jedni godali, ze miała trzy abo śtyry metry wysokości, ale zakiela godka wieś obesła, to jus ona była na siedym metrów wysoko.

CECYLIA ŚLAPEK

Sprawiedliwość

Wmałym miasteczku mieszkał człowiek ze swoją rodziną. Był uczynny dla ludzi, którzy potrzebowali jego dobrych rad. Pomimo że tak dużo ludziom pomagał, to i tak nie doznał nigdy sprawiedliwości. Postanowił wyruszyć w świat i szukać. Chodził od wsi do wsi, od miasta do miasta i nigdzie nie znalazł. Zmęczony tym szukaniem, postanowił wracać do swoich stron rodzinnych. Usiadł na górze przy drodze i spuścił głowę. W tym czasie pani nieznana zapytała go przechodząc obok:

– Człowieku, czegoś taki przygnębiony?

Podniósł szybko głowę i nic nie zwlekając odpowiedział:

– Pani nieznana, szukałem wszędzie sprawiedliwości i nie znalazłem.

– Nie martw się, człowiecze, tylko chodź za mną, a ja ci pokażę, że jest sprawiedliwość.

Szybko wstał i poszedł za panią. Doszli po długiej wędrówce do wielkiej wysokiej bramy, którą pani otworzyła dużym kluczem i tu zobaczył wielką, a wielką połaną, na której paliły się lampki oliwne. A początku i końca nie dostrzegł. Tylko niektóre lampki były pełniutkie i świeciły bardzo jasno, inne już częściowo wypaliły oliwę, a były też takie, które już dogasały, bo wypaliła się oliwa w nich

i mało dawały światła. Pyta człowiek pani, co to oznaczają te nierówno palące się lampy. Pani odpowiada:

– Tu jest ta wielka sprawiedliwość, a te lampki pełne, to są lampki dzieci, których życie zaczęło się, lampki częściowo wypalone, to tych ludzi, którzy przeżyli trochę wieku, a te dogasające należą do tych ludzi, którzy muszą kończyć swój żywot. Każdy człowiek ma tu swoją lampkę do kresu swego życia.

Zaciekawiony pyta, czy może zobaczyć swoją lampkę i swojej rodziny.

– Chodź, pokażę ci.

Poszli i pokazała mu i wytłumaczyła, czyja która.

– Synek twój ma pełno oliwy, żona tylko połowę, a ty masz lampkę, która już daje mało światła i częściowo będzie dogasać. Musisz się spieszyć, aby po tej wędrówce odpuścić, żonie opowiedzieć o wszystkim, dzieckiem trochę się nacieszyć i przygotować się na swoją ostatnią godzinę.

Począł prosić panią, czy można by odlać trochę oliwy z lampki jego synka do jego lampki.

Oburzyła się okropnie na niego owa pani i rzekła:

– To ty szukałeś sprawiedliwości, skoro jej sam nie posiadasz. Cheesz swemu dziecku skrócić życia, a sobie dołożyć. Nie podobasz mi się, człowiecze. Chodź, wyprowadzę cię, zamkam i spiesz się, abyś jeszcze mógł zrobić to, co ci mówiłam.

Wyszedł, brama się zamkła, a pani znikła. Ruszył powoli w swoje strony zdawało mu się, że leżby mu było, gdyby sprawiedliwości nie odnalazł.

BEATA WAŁĘCIUK-DEJNEKA

O chlebie w obrzędach rodzinnych

Analiza materiałów źródłowych, których podstawę stanowią *Dzieła wszystkie Oskara Kolberga* (dalej: DWOK) oraz monografie terenowe zdecydowała o strukturze tego artykułu. Podzieliłam go na dwie części: w I na wybranych przykładach prezentuję poszczególne funkcje chleba w obrzędowości rodzinnej (narodzinach, weselu i pogrzebie), zwracając uwagę na bogactwo znaczeń i uzasadnień, w części II – w obrzędowości dorocznej (w obrzędach zimowych – bożonarodzeniowych, wiosennych – wielkanocnych i letnich – dożynkowych).

W ujęciu słownikowym chleb to „upieczona w piecu bryła mąki zaczynionej”¹, to także „pożywienie, utrzymanie, u ludu najglówniejszy pokarm”². Leksem chleb „odnosił się też dawniej do «żyta, zboża», a czasownik «chlebić się» oznaczał «darzyć się, powodzić»³. Zapiski etnografów wyraźnie ilustrują stosunek do chleba jako pokarmu wyjątkowego: „najmując robotnika do roli lub do stawiania chałupy, jak niemniej do uraczenia gości przy weselu, pieką chleb” (DWOK, 5,133-134)⁴, bowiem „na zwykłe użycie pieką na blaszę jęczmieńskie placki zarobione z wodą i zaraz gorące jeszcze zjadają” (DWOK, 5,133-134), a potwierdzone zostają ludowymi przysłowiami: „Kto ma chleb ten ma wszystko” (AKp, 53)⁵ lub „Chleb to grunt, a sława zbawienie” (Nkp, 1,247).⁶

Stała obecność chleba w tradycyjnej obrzędowości rodzinnej, od narodzin poprzez wesela do obrzędowości pogrzebowej, wskazuje na wielofunkcyjność pieczywa kultowego i jego decydującą rolę w kreowaniu przyszłych losów jednostki.

„Uczłowieczający” charakter chleba

Narodziny dziecka w społeczności tradycyjnej podporządkowane były przede wszystkim przyjęciu nowego członka do wioskowej wspólnoty oraz zapewnieniu mu dobrobytu w dalszym życiu.

Objawiający swoją moc sakralną chleb stanowił tu konieczny element służący recepcji niemowlęcia do rodziny, dlatego na Bukowinie przed wyjazdem do chrztu, ojciec chrzestny, trzymając chleb w ręku, obchodził trzy razy dookoła stół, za nim szła matka chrzestna z dzieckiem.⁷ Pieczywo obrzędowe zapewniało jego symboliczne przejście do nowej formy bytu, wpisywało w porządek ludzkiego świata. Niemowlę w kulturze tradycyjnej traktowano jako „przybysza z zaświatów”, obcego, naznaczonego nieczystością, bowiem w wyobrażeniach pierwotnych, narodziny to proces przejścia ze sfery śmierci do sfery życia.⁸ Oprowadzenie dookoła stołu służyło zarysowaniu magicznego kręgu, bezpiecznego dla inicjowanej jednostki (tj. dziecka), a trzykrotne⁹ powtórzenie zabiegu wielokrotniało magiczne działanie.

W trosce o dobro niemowlęcia i bezpieczeństwo otoczenia starano się też utrudniać wpływ sił demonicznych, próbowano ograniczyć kontakt dziecka ze środowiskiem. Na Mazowszu czy w Chełmskiem, aby ochronić noworodka od złych mocy i uroku wkładano mu do chrztu w pieluszkę kawałek chleba i sól¹⁰ lub czosnek (DWOK, 33,175). Podobnie czyniono w Wileńskiem – gdy matka wraz z dzieckiem udawała się w odwiedzin, obowiązkowo należało zawiązać niemowlęciu w koszulkę chleb i sól.¹¹ W sytuacjach tych było ono narażone na agresję demonów, a pojawienie się pieczywa w tym momencie uruchamiało jego apotropaiczną obronę przed przeciwnościami losu. Zastosowanie soli i czosnku jako magicznych rekwizytów dodatkowo wzmacniało ochronę dziecka.

Inicjujące właściwości chleba, które stwarzały dla nowego członka wspólnoty pomyslną przyszłość, wpisane zostały w inne działania, podejmowane już po chrzcie. Uczestnikom narzucone zostały określone normy postępowania. Tak więc na Pokuciu wracający od chrztu, zatrzymawszy się przed chatą, prowadzili dialog z przebywającymi w domu. Jedną wybraną z grupy osoba pytała: – Czy dobra dziecina?

Odpowiadano im: – Dobra, dobra.

Wówczas najstarsza z osób znajdujących się w izbie wychodziła z chlebem i solą, kładła je na poduszkę dziecka i zapraszała wszystkich na ucztę (DWOK, 29, 211). Niemowlęciu życzone w ten sposób pomyslności i obfitości, a połączenie chleba z solą stanowiło wzmocnioną formę tych życzeń, zapewniając równocześnie wszystkim obecnych o dokonanej zmianie – dziecko stało się równoprawnym członkiem społeczności, do której zostało przyjęte. Gest miał również zagwarantować szczęście w przyszłym życiu dziecka. Zwiłokrotnieniu i zapewnieniu dobrobytu służył również ów dialog, ukierunkowany także przyszłościowo, a odbywający się w miejscu szczególnym, bo naznaczonym mediacyjnością: na progu. Próg odgraniczał dwie przestrzenie, stanowił synonim przekraczania granic, oznaczał też zmianę stanu¹² (z przybysza, obcego – na członka wspólnoty).

Nieodłącznym elementem obrzędowości narodzin było wzajemne obdarowywanie się. Odwiedzanie położnicy i jej dziecka przez bliskich i sąsiadów stanowiło swoistą dyspensę od zakazów izolacyjnych i wręcz obowiązek wspólnotowy. Przynoszono przede wszystkim żywność: chleb, ser, jaja, masło, kaszę, ziemniaki (DWOK, 11,51; DWOK, 29,208). Także matka chrzestna czuła się zobowiązana wewnętrznym nakazem do przekazania dziecku i położnicy daru w postaci upieczonych chleba, miski pierogów, alkoholu (DWOK, 33,176), a często specjalnego pieczywa obrzędowego, strucli piennej, tzw. kukielki chrzestnej¹³ (DWOK, 6, 4).

Matce i jej niemowlęciu nie wolno bowiem było opuszczać domu. Okres izolacji obejmował sześć tygodni – do czasu chrztu (i wywodu). Pożywienie składane położnicy stanowiło znak, „środek komunikacji społecznej”.¹⁴ W relacjach międzyludzkich dar uchodził za symbol życia i podstawowy wyraz solidarności¹⁵, bez którego nie mogła funkcjonować tradycyjna wspólnota, „magicznie związywał obie strony” (darującego i obdarowywanego), podtrzymywał nawiązane relacje.¹⁶ W sytuacjach kontaktu z zaświatami (noworodek jako „przybysz z zaświatów”), celem wzbudzenia potencjału życiowego, obdarowywano położnicę najsilniejszymi znakami życia i energii (pożywieniem).¹⁷ Czyniono tak również dlatego, aby w tym specyficznym momencie zagrożenia ochronić nimi siebie przed stycznością z Tamtym światem – chleb traktowano jako magiczny rekwiwit zapobiegający niebezpieczeństwu (apotropeion).

W kulturze ludowej finałem wszelkich działań obrzędowych była uroczysta uczta. Uczestniczyli w niej członkowie rodziny, sąsiedzi, a także znajomi. Biesiada ostatecznie potwierdzała przyjęcie nowego członka do lokalnej wspólnoty wioskowej.

Wyjątkowość weselnego korowaja

Tradycyjne wesele należało do obrzędów, w których magiczno-sakralne sensy i symboliczne zachowania zostały ukierunkowane na zmianę statusu dwojga młodych ludzi, a przede wszystkim na uruchomienie w nich mocy płodnościowych, co stanowiło istotę rytuałów zaślubinowych. Spełnienie tych podstawowych funkcji miały gwarantować wszelkie działania, podejmowane przez uczestników wesela, a przede wszystkim bogate w symboliczne sensy uroczyste rozdzielanie obrzędowego chleba, bowiem – jak zaznacza P. Kowalski – „przykładem szczególnie atrakcyjnym dla magicznej interpretacji znaczeń pieczywa obrzędowego może być weselny korowaj”.¹⁸

Weselne pieczywo obrzędowe przyjęło w różnych regionach Polski różne nazewnictwo: na Mazowszu zwano go korowajem lub pierogiem weselnym, na Podlasiu chlebem weselnym, w Lubelskiem – kołaczem, zaś nad Bugiem – stulinami.¹⁹ A. Brückner zaznacza, że kołacz „w XVI wieku nazwa ciasta niegdyś obrzędowego, szczególnie przy weselach”, posiada także swoją etymologię „od 'koła' (dla krągłej postaci)”²⁰, dalej wskazuje też na pochodzenie nazwy: „u nas jak i u Czechów zastąpił kołacz (prasłowiański to wyraz) dawniejszy prasłowiański korowaj”.²¹ Korowaj zaś, zdaniem badacza, to również „ciasto obrzędowe weselne (...), od 'krowy', bo niby jej kształtem się wzorowało”.²² Związek korowaja z krową, symbolem urodzaju, potwierdzają też badacze rosyjscy – W. W. Iwanow i W. N. Toporow.²³ Także O. Kolberg daje dokładny opis kołacza i korowaja. Kołacz to „wielki, okrągły bochen chleba pszennego, pieczony dzień wprzód i mający na wierzchu koronę z przedniego ciasta, przystrojony niekiedy w orzechy, jabłka, pirniczki” (DWOK,27,159), korowaj zaś to „duży bochen żytni (dawniej był też jęczmienny), nie solony, zdobiony na wierzchu w rozmaite wyroby z ciasta pszennego (figliki)” (DWOK,49,392). Kołacze przybierały różne kształty: stożka, placka, ale najczęściej formę koła.

Kołacz jako szczególna odmiana obrzędowego chleba był koniecznym składnikiem każdego zestawu potraw weselnych, decydował o całej uroczystości. Nie-

gdyś w kulturach słowiańskich taką szczególną rolę obrzędową miała „polewka zbożowa” czy kasza. Zanim korowajowi przyznano miejsce pierwszoplanowe, podobne znaczenie przypisywano właśnie kaszy; w zapisach rosyjskich (z XIII w.) kaszą nazywano nawet samą biesiadę weselną.²⁴ Wyjątkowość korowaja podkreślają ponadto ludowe przysłowia: „Kołacz grunt wszystkiego” czy „Bez kołaczy nie wesele” (AKp, 214), a dodatkowo wzmocnia fakt, że nie pieczono go nigdy poza doniosłymi momentami w życiu jednostki. Korowaj uznawano za symbol małżeństwa, a przede wszystkim za dar Boga, dlatego cały proces powstawania, wypieku i rozdzielania między gości weselnych podlegał sakralizacji, o czym mówi też przysłowie: „Sam Bóg ciasto na korowaj miesi, Najświętsza Panna go święci, anieli wodą noszą” (Nkp,2,145). Do wykonania korowaja, co jeszcze raz podkreśla jego święty charakter, używano mąki pszennej, „specjalną wodę (z trzech dunajów wodeńkę)”²⁵, na co wskazuje inne przysłowie: „Do naszego korowaja trzeba było wody z Dunaja” (Nkp,2,145) oraz „mleko (od najlepszych krów), ser, masło, jaja”.²⁶

Podziału obrzędowego pieczywa pomiędzy zebranych gości dokonywał starosta lub starszy družba po oczepinach. Był to moment kulminacyjny całej uroczystości weselnej. Korowaj, symbol małżeństwa potwierdzał zaistniałą zmianę stanu osób inicjowanych, stawał się też wówczas „sakramentem” jednoczącym wszystkich ludzi między sobą, a także łączył ich z Kosmosem.²⁷ Regionalne zwyczaje z nim związane charakteryzowało bogactwo czynności i zachowań magiczno-rytualnych. Liczne reguły symboliczno-wierzeniowe nakazywały odpowiednie zachowanie względem tego symbolu dostatku i sytości. Stąd w trakcie jego podziału i spożywania przestrzegano ustalonych rytuałów zasad: nie krojono go nożem (podobnie jak wigilijny opłatek lub wielkanocną paschę), ale przełamywano. Sensu tego gestu należy szukać w głębokich pokładach kulturowych: budowano w ten sposób wspólnotę ludzi biorących udział w rytuale zmieniającym status młodych.²⁸ Niedopełnienie przepisów istniejących na zasadzie konwencji i zgodnych z magiczno-symbolicznymi działaniami, mogło przynieść negatywne skutki dla nowo powstającej rodziny.

Na Mazowszu starszy družba wnosząc duży bochen chleba lub kołacz okręcał się trzy razy na progu i pytał: – Czy z wołą. Czy nie z wołą ten boski dar nieść?

Starostowie odpowiadali: – Nie z wołą, nie z wołą. A za trzecim razem: – Z wołą.

Starszy družba wchodził wtedy do izby i mówiąc: – Pochwalony Jezus Chrystus. Kładł chleb na stole. – Amen – odpowiadali wszyscy (DWOK,26,149–150). Próg, jak już wspomnieliśmy, rozdzielal dwie przestrzenie, oznaczał zmianę, przekształcenie tego, kto przechodzi od jednego statusu do innego (kobieta: panna –mężatka, mężczyzna: kawaler –żonaty), dlatego uroczysta prezentacja korowaja i dialog odbywały się właśnie w tym miejscu. Podobnie ruch obrotowy, symbolicznie nadawał akcji kierunek ku przyszłości.²⁹ Korowaj, znak bytu nowożeńców i dar Boży, łączył młodych z siłami i potęgami pozaziemskimi, z samym Bogiem.

Z czasem do podziału obrzędowego kołacza zaczęto używać noży. W Lubelskiem krojeniu korowaja towarzyszyła pieśń, w której przypominano o sprawiedliwym podziale tego pieczywa bezwzględnie dla wszystkich:



Korowaj weselny wykonany przez Marię Abramiuk z Chmielowa w pow. parczewskim na Lubelszczyźnie.

Fot. Alfred Gauda, 1972 r.

„Równo starosto równo
kraj korowaj drobno
Równo starosto krajcie
Zadnego nie omijajcie
Ni starego ni młodego
Ni na piecu gołego”
(DWOK 16,159,95)

W kulturze tradycyjnej już sama czynność dzielenia chleba (kołacza) stanowiła symbol płodności, a obdarowywanie nim, przede wszystkim dzieci, nabierało istotnego znaczenia: zwielaokrotniało moc zastosowanego zabiegu i jego siłę sprawczą.³⁰

Działania o sensach symbolicznych przejawiały się także w momencie wspólnego jedzenia korowaja przez młodych, którzy czasami sami dzielili kołacz, bowiem prawidła ludowego kodeksu postępowania nakazywały, aby „bohaterowie” uroczystości pierwszy i ostatni kawałek spożywali razem. Wspólne jedzenie stanowiło węzeł zażyłości i pokrewieństwa między dwiema obcymi stronami, a także wyraz jedności, porozumienia, poszanowania i wzajemnej godności. Dzielenie się chlebem i obdarowywanie się nim (podczas wesela rozdzielanie korowaja) odzwierciedlały jeszcze przedchrześcijańskie rytualizowane działania o sensach magiczno-symbolicznych. Na płaszczyźnie religijnej, jak zauważa M. Lurker: „jedzenie i picie staje się czynnością rytualną (...). Wszystko służy człowiekowi za pożywienie i utrzymuje go przy życiu, przyjmowane w sposób świadomy, może stać się symbolem sił i potęg”.³¹ Spożywany pokarm był jednocześnie znakiem życia.

Obok symboliki płodności chleb pełnił w obrzędowości weselnej również rolę inicjującą, która realizowała się w zachowaniach etykietalnych poprzedzających całą ceremonię – przy zaręczynach, podczas aktu błogosławieństwa czy przy wyjeździe do świątyni.

Rytualny akt złączenia dwojga ludzi (zaręczyny) odbywał się w domu panny. Młodych krakowian ustawiano za stołem, na centralnym miejscu w izbie. Ich ręce, położone na chlebie, wiązano razem „aby im się dobrze chlebiło”³², tzn. aby nigdy nie zabrakło im w życiu chleba (DWOK,6,62). Magiczne „zawiazanie”³³ oznaczało zatrzymanie szczęścia, pomyślności, obfitości chleba w nowej rodzinie. Następnie rodzice dzielili chleb na dwie części, jedną dawali do zjedzenia młodemu, drugą młodej (DWOK,10,237).

Błogosławieństwo (głównie rodziców) w tradycyjnej społeczności wioskowej nie było tylko życzeniem pomyślności wyrażonym za pomocą słów, to konkretna moc gwarantująca płodność i szczęście.³⁴ W Lubelskiem odbywało się ono za stołem, na którym leżał chleb. Młodzi siedzieli naprzeciwko siebie, zaś swat związywał ich ręce, położone na chlebie (analogicznie jak przy zaręczynach; DWOK,16,181). W Krakowskiem natomiast nowożeńcy klękali przed rodzicami, którzy skrapiali ich święconą wodą, zaś druhny w imieniu młodych prosiły o błogosławieństwo:

„Błogosław ze nam matko moja,
bo już idemy do kościoła
Błogosław ze nam ojce mój,
bo już idemy na ten ślub” (DWOK,6,17-18)

Po pokropieniu i przeżegnaniu młodych rodzice dawali im po kawałku chleba z wetkniętymi weń pieniędzmi (DWOK,6,37).

Na Wybrzeżu (DWOK,39,269) czy w Radomskiem (DWOK,20,198) poświęcony przy błogosławieństwie chleb (niekiedy z cukrem, aby życie młodych było słodkie), czasami też pieniądze, narzeczeni zabierali ze sobą do kościoła.⁵⁵ W Chełmskiem, jak relacjonuje O. Kolberg, „przed wyjazdem do ślubu matka wychodziła z chlebem i solą przed dom. Chleb kładła przed końmi, sól sypała na młodych, by ich uchronić od uroku. Ojciec w tym samym celu kropił ich święconą wodą” (DWOK,33,200). Chleb występował tu jako rekwizyt ułatwiający wspólną wędrówkę dwojga ludzi, także jako pośrednik i apotropcion chroniący młodych w ich kontakcie z tym, co nieznanne.

„Chlebowy” kontakt z zaświatami

Ostatni etap ludzkiego życia – pogrzeb – w tradycyjnej społeczności wiejskiej postrzegany był jako zmiana statusu z żywego członka wspólnoty na zmarłego i dlatego śmierć nie oznaczała końca istnienia, a jedynie moment, w którym dusza człowieka rozpoczynała inne, nie-cieleśne bytowanie.⁵⁶ Ta metamorfoza musiała dokonać się zgodnie z ludowym kodeksem postępowania, tu też wykorzystywano mediacyjną i ofiarną funkcję chleba.

Pieczyno ofiarne musiało być wolne od wszelkiej skazy wiążącej je ze światem śmiertelników, bowiem przejawy energii i biologiczności były wykluczane w sytuacjach „zanurzenia w obszarze sacrum”.⁵⁷ Będąc zatem „materią graniczną”⁵⁸ zapewniało przejście duszy w inną, obcą przestrzeń, gwarantując jej jednocześnie odrodzenie w tej nowej pozaziemskiej rzeczywistości.

Już przepowiednie dotyczące kresu życia odgrywały w kulturze ludowej istotną rolę jako podstawa do interpretacji przyszłości, dlatego ich nie lekceważono. O śmierci lub pomyślności gospodarzy można było wnioskować, jak piszą I. i K. Kubiakowie „z wyglądu świeżo upieczonego chleba. Gdy chleb rozpękał się w piecu lub w inny sposób się nie udał, wróżył rychłą śmierć jednego z gospodarzy”.⁵⁹ Wszelkie pożywienie, a tym bardziej pieczywo, oznaczało życie, energię, rozwój⁶⁰, natomiast nieudany wypiek był jednoznaczny z zatraceniem tych wartości.

Śmierć determinowała wszelkie działania bliskich członków zmarłego, a tradycyjny kodeks postępowania nakazywał odpowiednie zachowanie. Dlatego też obok nieboszczyka umieszczano pokarmy przeznaczone dla tych ze wspólnoty wioskowej, którzy chcieli pożegnać się z „odchodzącym” w zaświaty. Na Kaszubach, Mazowszu i w Poznańskiem częstowano przybywających do izby alkoholem i chlebem z masłem.⁶¹ Na Kujawach przy ciele nieboszczyka stała na stole wódka i chleb (DWOK,3,249), podobnie na Pokuciu (DWOK, 29,215). Po powitaniu i odmówieniu pacierza wchodzących obdarowywano skromnym poczęstunkiem.⁶²

Zgodnie z ludową wiarą użyte pokarmy pełniły rolę „łączników” z zaświatami, stanowiły niezbędne elementy pozwalające z jednej strony przezwyciężyć lęk przed obcym i nieznanym, a z drugiej uniknąć niebezpieczeństw, wypływających z bliskości przebywania z niezującym. Chleb zaś traktowany był jako symboliczny pośrednik w nawiązywaniu kontaktu z Tamtym światem, potwierdzał również zaistniały stan rzeczy: stop-

niowe przechodzenie jednostki ze świata żywych w zaświaty. Alkohol natomiast, pojawiający się jako obowiązkowy rekwizyt obrzędu, spełniał rolę „przewodnika” w pokonywaniu granicy i niezbędny element towarzyszący zmianom stanu⁶³ (z żywego członka wspólnoty na zmarłego), zatwierdzał też zaistniałą sytuację – wyłączenie zmarłego z grona żyjących.

Zgodnie z myśleniem ludowym, prowadzącym do analogii między tym a Tamtym światem, zakładającym, że jednostka przebywająca w pozaziemskim wymiarze zachowuje potrzeby takie jak w czasoprzestrzeni ziemskiej, odpowiednio wyposażano zmarłego na drogę (obdarowywano go), chcąc zapewnić mu godne przyjęcie i funkcjonowanie wśród członków nowej wspólnoty (w zaświatach). Dbano więc o całkowite przygotowanie dla niego ubrania, ważny był w tym przypadku każdy jego element, pamiętano o przedmiotach szczególnie bliskich zmarłemu, także zabiegano o zaopatrzenie w pożywienie. Dlatego wkładano do trumny przedmioty kultowe: różaniec, modlitewnik, krzyżyk⁶⁴ oraz obowiązkowo kawałek chleba, by zmarły mógł posilić się podczas swojej drogi w zaświaty albo podzielić z innymi duszami:⁶⁵ „w celu zaspokojenia głodu kładą u głów chleb, drugi chleb dają mu do ręki, aby uspokoić na wstępie do raju przywiązane Cerbera; dają im też do lewej ręki dwa grosze, przeznaczone dla woźnicy przez rzekę, wreszcie porą zimową kładą furę drzewa na grobie, aby się dusza mogła ogrzać”.⁶⁶ Również w kulturach starożytnych (Grecja) zmarłemu do ust wkładano obola, a do ręki – ofiarny placek miodowy.⁶⁷

Funkcje ofiarne pokarmu obrzędowego zostały wpisane w magiczno-symboliczne działania zjednujące odchodzącą w zaświaty duszę. W Lubelskiem, do momentu wyniesienia trumny ze zmarłym z domu, zawsze pozostawał na stole chleb, ciasto, piwo i pieczeń dla duszy nieboszczyka (DWOK,16,133). Na Rusi, jak zaznacza H. Biegeleisen, odbywało się „częstowanie nieboszczyka: zastawiają stół wokoło kołaczykami i świeczkami, w środku umieszczają misę z trzema kołaczykami, buteleczkę z winem albo mlekiem i zatknięte w chlebie drzewko obwieszają owocami, bułeczkami, piernikami, itp.”.⁶⁸ Również po pogrzebie zostawiano na kominie kieliszek z wódką i kromkę chleba, aby odwiezająca nocą dom dusza mogła się posilić (DWOK, 29,219). Troska o zmarłego wynikająca raczej z lęku o konsekwencje, jakie groziły pozostałym przy życiu członkom rodziny, niż ze szczerego przywiązania i oddania, powodowała, że nie chcąc w niczym uchybić umarłemu, dbano nawet o to, by odpowiednio zróżnicować pokarmy (według wieku): „na Podkarpaciu, gdy umarł gospodarz lub baba, stawiają na noc wódkę i chleb, gdy dziecko – to miód, mleko i kołacz”.⁶⁹

Stypa, obrzędowa uczta, która współcześnie gromadzi przede wszystkim członków rodziny i ludzi najbliższych, w dawnych czasach miała charakter nieco odmienny – był to w istocie posiłek spożywany z duszami zmarłych. Brała w niej udział cała społeczność, nie mogło też zabraknąć reprezentantów zmarłych, albo ich świata, którymi byli np. żebracy. Stąd zwyczaj zapraszania na stypę ubogich i obdarowywanie ich jałdem, chlebem i pieniędzmi.⁷⁰

Rekonstruując znaczenia leksemu chleb i ukazując poszczególne funkcje pieczywa jako pokarmu obrzędowego w tradycyjnej obrzędowości rodzinnej należy przede wszystkim podkreślić jego niezwykłą rolę, jaką

nadawała mu kultura ludowa, stanowiącą o świętości i wyjątkowości chleba, stałym jego uczestnictwem przy wszelkich zmianach stanu i utożsamianiu z najważniejszą dla człowieka wartością, umiejscawianą w ludowej aksjologii – życiem.

¹ Por. B. Linde, *Słownik języka polskiego*, Warszawa 1994, t. 1, s. 240.

² Por. *Słownik języka polskiego*, red. A. Zdanowicz i in., t. 1, Wilno 1861, s. 148.

³ Por. P. Kowalski, *Chleb nasz powszedni. O pieczywie w obrzędach, magii, literackich obrazach i opiniach dietetyków*, Wrocław 2000, s. 67.

⁴ Skrótom DWOK oznaczono w całym artykule *Dziela Wszystkie* Oskara Kolberga, gdzie pierwsza cyfra oznacza tom, druga – stronę, a trzecia – numer pieśni.

⁵ Skrótom AKp z numerem strony oznaczono w artykule S. Adalberga *Księgę przysłów, przypowieści i wyrażeń przysłowiowych polskich*, Warszawa 1889–1894.

⁶ Skrótom Nkp z numerem strony i tomu oznaczono *Nową księgę przysłów i wyrażeń przysłowiowych polskich*, red. J. Krzyżanowski, t. 1–4, Warszawa 1969–1973.

⁷ Por. J. S. Bystroń, *Słowiańskie obrzędy rodzinne. Obrzędy związane z narodzeniem dziecka*, Kraków 1916, s. 100.

⁸ Por. J. Tokarska i in., *Śmierć jako organizator kultury*, „Etnografia Polska” 1982, z. 1, s. 107.

⁹ Por. D. Forstner, *Świat symboliki chrześcijańskiej*, tłum. W. Zakrzewska i in., Warszawa 1990, s. 115–116.

¹⁰ Por. J. Bystroń, *op. cit.*, s. 48.

¹¹ Ibidem, s. 49.

¹² Por. M. Eliade, *Sacrum, mit, historia. Wybór esejów*, tłum. A. Tatariewicz, Warszawa 1970, s. 64–65; por. też G. Gerlich, *Zwyczajowe wzory zachowań związane z wychodzeniem gómika z domu do pracy i jego powrotem*, [w:] *Śląskie miscellanea. Literatura – folklor*, red. J. Malicki i in., t. 2, Wrocław 1989, s. 136–137.

¹³ Por. J. S. Bystroń, *op. cit.*, s. 82; por. też K. Kwaśniewicz, *Zwyczaje i obrzędy rodzinne. Zwyczaje narodzinowe*, [w:] *Etnografia Polski. Przemiany kultury ludowej*, t. 2, red. M. Biernacka i in., Wrocław 1981, s. 107.

¹⁴ Por. Z. Szromba-Rysowa, *Pożywienie jako środek komunikacji społecznej*, [w:] *Symboly kulturowe, komunikacja społeczna, społeczności regionalne*, red. I. Bukowska-Floreńska, Katowice 1995, s. 55.



Korowaj weselny ze Lwowa.

Fot. Alfred Gauda, 1995 r.

¹⁵ Por. P. Ulanović, *Dar i jego znaczenie etnologiczne*, [w:] *Kulturowa funkcja daru*, red. A. Zambrzycka-Kunachowicz, „Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Jagiellońskiego: Prace Etnograficzne” 1988, z. 25, s. 23.

¹⁶ Por. G. van der Leeuw, *Fenomenologia religii*, tłum. J. Prokopiuk, Warszawa 1997, s. 314–316.

¹⁷ Por. A. Brzozowska-Krajka, *Symbolika dobowego cyklu powszedniego w polskim folklorze tradycyjnym*, Lublin 1994, s. 91.

¹⁸ Por. P. Kowalski, *Chleb w magicznej wizji świata. (Szkieł interpretacyjny do nie napisanej książki)*, [w:] *Folklorystyczne i antropologiczne opisanie świata*, red. T. Smolińska, Opole 1999, s. 316.

¹⁹ Por. O. Kolberg, *Dziela wszystkie*, Wrocław 1961–

²⁰ Por. A. Brückner, *Słownik etymologiczny języka polskiego*, Warszawa 1985, s. 247.

²¹ Ibidem, s. 247.

²² Ibidem, s. 257.

²³ Por. W. W. Iwanow, W. N. Toporow, *Issledowanija w oblasti sławiańskich driennostiej. Leksyceskije i frazeologiczeskije woprosy rekonstrukcii tiekstow*, Moskwa 1974, s. 256–257; por. też *Mify narodow mira*, t. 1, red. S. A. Tokarev, Moskwa 1980, s. 622 tu: „Korowaj czy też związane z nim figurki z ciasta przedstawiony jest w postaci krowy lub byka. Tym objaśnia się związek nazwy korowaj z nazwą krowy”.

²⁴ Por. M. Sumcow, *Starodawne sposoby przyrządzania chleba „Wisła”* 1890, t. 1, s. 645.

²⁵ Por. G. Bączkowska, *Korowaj*, „Etnolingwistyka” 1988, z. 1, s. 80.

²⁶ Ibidem.

²⁷ Por. P. Kowalski, *Chleb nasz powszedni...*, s. 132.

²⁸ Por. J. S. Wasilewski, *Tabu a paradygmaty etnologii*, Warszawa 1989, s. 119–120.

²⁹ Por. J. S. Wasilewski, *Symbolika ruchu obrotowego i rytualnej inwersji*, „Etnografia Polska” 1978, z. 1, s. 83, 92, 98.

³⁰ Por. K. Łeńska-Bąk, *Dziecko w tradycyjnym obrzędzie weselnym*, „Literatura Ludowa” 1996, nr 4–5, s. 64.

³¹ M. Lurker, *Przesłanie symboli: w mitach, kulturach i religiach*, tłum. R. Wojnakowski, Kraków 1983, s. 370.

³² Por. H. Biegeleisen, *U kolebki, przed ołtarzem, nad mogiłką*, Lwów 1929, s. 155.

³³ Por. L. Stomma, *Mit Alkmeny*, „Etnografia Polska” 1976, z. 1, s. 100–110.

³⁴ Por. G. van der Leeuw, *op. cit.*, s. 359.

³⁵ Por. H. Biegeleisen, *op. cit.*, s. 101.

³⁶ Por. L. Lévy-Bruhl, *Primitivni mentalitet*, tłum. L. A. Clare, Zagrzeb 1954, s. 46–47, cyt. za: A. Brenz, *Polska obrzędowość pogrzebowa jako obrzęd przejścia*, „Lud” 1987, s. 219.

³⁷ Por. P. Kowalski, *Chleb nasz powszedni...*, s. 87.

³⁸ Por. A. Brzozowska-Krajka, *„Kto popija i pojada, to mu się dobrze układa”. Ludowa etykieta konsumpcyjna*, [w:] *Oczywisty urok biesiadowania*, red. P. Kowalski, Wrocław 1998, s. 79.

³⁹ Por. I. i K. Kubiakowie, *Chleb w tradycji ludowej*, Warszawa 1989, s. 93.

⁴⁰ Por. D. Niewiadomski, *Orka i siew. O ludowych wyobrażeniach agrarnych*, Lublin 1999, s. 158.

⁴¹ Por. A. Fischer, *Zwyczaje pogrzebowe ludu polskiego*, Lwów 1921, s. 202.

⁴² Ibidem, s. 203.

⁴³ Por. P. Kowalski, hasło: *alkohol*, [w:] tegoż, *Leksykon znaki świata. Omen, przesąd, znaczenie*, Warszawa 1998, s. 18.

⁴⁴ Por. R. Kukier, *Ludowe zwyczaje, wierzenia i obrzędy pogrzebowe mieszkańców pogranicza powiatu lubelsko-podlaskiego*, Lublin 1967, s. 195.

⁴⁵ Por. I. K. Kubiakowie, *op. cit.*, s. 95.

⁴⁶ Por. H. Biegeleisen, *Śmierć w obrzędach, zwyczajach i wierzeniach ludu polskiego*, Warszawa 1930, s. 182.

⁴⁷ Por. L. Winniczuk, *Ludzie, zwyczaje i obyczaje starożytnej Grecji i Rzymu*, Warszawa 1983, s. 457.

⁴⁸ Por. H. Biegeleisen, *op. cit.*, s. 266.

⁴⁹ Ibidem, 264.

⁵⁰ Por. H. Biegeleisen, *op. cit.*, s. 261.

KATARZYNA SMYK

Z małych ojczyzn, z korzeni z prowincji z Nadrzecza

Nadrzecze koło Biłgoraja to mała wioska oddalona o dwa kilometry od trasy Lublin-Biłgoraj, a zarazem miejsce ważne i wyjątkowe na mapie placówek kultury Lubelszczyzny i Polski. To tu od 1997 roku istnieje Dom Służebny Polskiej Sztuce Słowa, Muzyki i Obrazu oraz działają Fundacja „Kresy 2000”. Chcąc najkrócej opisać fenomen Fundacji, należy podkreślić rolę Stefana Szmidta. Ten znany aktor wraz z żoną Alicją Jachiewicz kieruje Fundacją z szacunkiem dla duchowych i kulturowych korzeni Polaków z jednej strony, z wielkim rozmachem i zaangażowaniem – z drugiej.

Fundacja wypracowała własną formułę kreowania i realizacji niezwykłych projektów, którą prześledzić można na przykładzie jednego z nich: I Ogólnopolskiego Przeglądu Filmów i Reportaży Telewizyjnych Nadrzecze 2001 „Wpisani w krajobraz z małych ojczyzn – z korzeni – z prowincji”, który odbył się w dniach 12-14 października 2001 roku. Wystarczy odczytać listę współorganizatorów, aby zdać sobie sprawę, jak wiele instytucji Fundacja potrafi skupić wokół siebie. Na liście tej znajdują się: Centrum Animacji Kultury, Fundacja Kultury, TV Polonia, Telewizja Polska SA Program II, UMCS Lublin, Starostwo Powiatowe w Biłgoraju oraz Estrada Śląska, Kolegium UMCS w Biłgoraju, Urząd Miasta i Gminy Tarnogród oraz Miasta i Gminy Biłgoraj, Biłgorajskie Centrum Kultury i inne. Stefan Szmidt zaprosił więc do współpracy placówki o zasięgu tak krajowym jak i lokalnym, zajmujące się – podobnie jak sama Fundacja – działalnością artystyczną, kulturalną i oświatową. Jedynie pracując w takim składzie, można realizować przedsięwzięcia, których celem jest edukacja kulturalna oraz kształtowanie i utrwalanie postaw obywatelskich ich uczestników: naukowców, artystów, animatorów kultury, lokalnych polityków, mieszkańców Nadrzecza, Biłgoraja, Zamojsczyzny i Lubelszczyzny oraz studentów Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej.

Na I Ogólnopolski Przegląd Filmów i Reportaży Telewizyjnych Nadrzecze 2001 złożyły się prezentacje filmowych portretów interesujących i barwnych wyimków Polski oraz filmowego zapisu kultury małych społeczności, ich tradycji i obyczaju, wrażliwości i sposobu myślenia, jak również zachodzących przemian. W portretach tych eksponowano aktywność lokalnych społeczności oraz postaci liderów, czyli animatorów najbliższego otoczenia małych ojczyzn. Reportaże i filmy sugerowały, że aktywność ta może stanowić źródło satysfakcji, stając się wzorcem zachowań obywatelskich.

Reportaże i filmy przeglądu podzielono na trzy bloki, wyświetlane w Nadrzeczu, Biłgoraju i Tarnogrodzie: „Miejsce na ziemi”, „Klimaty prowincjonalne” oraz

„Portrety”. Ostatni blok otwierał obraz Justyny Ziółkowskiej i Maji Kossakowskiej *Wojownik sztuki*. Tak określił siebie bohater – malarz samouk, ukazany wśród ścian obwieszonych setkami prac. Maluje od dawna: „Nawet listy z wojska były malowane, nie pisane” mówi matka, przysłuchująca się dyskretnie i z uwielbieniem opowieści syna.

Malarz mówi zarazem: „Bo tak ludzi to nie lubię bardzo”. Mieszkańcy jego rodzinnego miasteczka postrzegają go bowiem jako chorego psychicznie, wykorzystanego ze społeczeństwa, podczas gdy on jest zakorzeniony w swojej pasji, w tradycji malarskiej, w nieustannej pracy twórczej, w micie, który ilustruje swymi obrazami. Dlatego w tym miasteczku czuje się naprawdę „u siebie”.

Autorem drugiego filmu, prezentowanego w bloku „Portrety”, jest Józef Romasz. Ukazał on Gołdap oczami człowieka zakochanego w tej miejscowości, nazwanej miejscem magicznym, świętym jak pobliska puszcza, miejscem, które można odkrywać przez lata. „Wiele osób do końca życia nie wie, w jakim otoczeniu żyje” – mówi bohater filmu, dodając pytanie: „Czy świadomość miejsca determinuje naszą dojrzałość?”. Oto w jaki sposób realizuje „świadomość miejsca”: społeczność Gołdapi ceni za tolerancję względem różnych nacji, ponieważ tu „nikt nikogo nie pyta, kto jest kim, jeśli chodzi o pochodzenie”; okalające Gołdap cmentarze: żydowski, radziecki, carski uważa za dowody burzliwej historii tego miejsca; wychowuje syna w aurze oczarowania środowiskiem naturalnym, historią i kulturą okolicy. Bohater skupia uwagę na interdyscyplinarnej Gołdapskiej Grupie Twórczej, związanej w latach 70. przez ówczesnych licealistów.

„Moją klęską życiową jest to, że więcej czasu poświęcam temu, co było, niż temu, co jest” – tymi słowami rozpoczyna się *Wiktora Zina trzeciego świata opisanie*. Film Krystyny i Michała Bogusławskich w całości nakręcony został w promieniach jesiennego słońca w Hrubieszowie, gdzie profesor Zin buduje 160-letnią historię swego rodzinnego domu, oprowadzając widza bajkowymi, niezwykle nastrojowymi zakamarkami dobudówek, schodów, tarasików, daszków, stryszków.



Stefan Szmidt w Malarni – jednym z budynków Fundacji „Kresy 2000” w Nadrzeczu Fot. Jan Adamowski

Drzewa rosły w sadzie, gdy dziadek w stolarni odnawiał ikony, ikonostasy, kolumny, pilastry i niczym „wielki czarodziej” – jak go nazywa profesor – bratał się z kamiennym lub lipowym aniołem z okolicznego kościoła. Dzikie wino oplatało ściany domu. Wierzby na łące przybierały fantastyczne, zoomorficzne kształty, a dziwny lokator – rejent Leśmian pisał wierszem, że *Szli tedy ludzie prości*. W Hrubieszowie najgłębiej dotyka profesora tęsknota za światem wspomnień, który w jego odczuciu istnieje obok „świata pierwszego” naznaczonego chorobami, chlebem, pracą i żądzą posiadania oraz „świata drugiego” – ewangelicznej obietnicy zmartwychwstania. Trzeci Świat zaś to rajski ogród, „który nie ma daru mowy, ale istniał”; to świat dziecięcego szczęścia, tworzonego przez stare drzewa i martwe przedmioty nie znaczące dla innych, a profesorowi przypominające świat baśni, legend i opowieści, świat naturalnego wartościowania piękna. Dlatego dziś każdy przyjazd do Hrubieszowa jest dla Wiktora Zina czymś bolesnym. Tu ciągle jest w pogoni za traconym Trzecim Światem i – jak podkreśla – za utraconym czasem.

Film *Rozmowa z kamieniem* Waldemara Czechowskiego prezentuje mężczyzn i kobiety, którzy w deszczu, w zgrzytliwym dźwięku dęt i pił tarczowych, próbują zgłębić tajemnicę suwalskiego polnego kamienia. Chociaż „żaden nie powiedział kamień prawdy kamienia”, obcowanie z twardą bryłą pomaga zrozumieć historię, która z Jaćwingami, Prusakami, Niemcami, Żydami, Litwinami i Polakami „przewalała się przez Suwalszczyznę, jak niegdyś lodowiec”. Kamień dla rzeźbiących nie jest tylko materiałem, którego barwę wydobywa się przez polerowanie, w którym wycina się szczeliny, wykuwa otwory. Jest dla nich symbolem wieczności w sensie trwania i przemienności tego świata: jeśli kamień rozsypie się w proch, to z tegoż i tak w przyszłości powstanie kamień. Obróbka kamienia oznacza natomiast udział człowieka w cyklicznej wieczności świata.

Szczegółowiej omówiłam zaledwie cztery spośród osiemnastu filmów prezentowanych na przeglądzie w Nadrzeczcu. Ujęto je w jeden blok, ponieważ zawierają wspólną receptę na wartościowe, satysfakcjonujące i niebanalne życie w małej ojczyźnie. Stanowią portrety malarza, poety, historyka sztuki i rzeźbiarzy, których łączy pasja poznawania i utrwalania kultury i historii swego regionu, wписywania się w prowincjonalny krajobraz oraz umieszczania tegoż w kręgu swych działań jako nieprzemijalnej i uniwersalnej wartości.

W myśl organizatorów I Przegląd Filmów i Reportaży Telewizyjnych miał zainspirować dyskusję na temat możliwości telewizji w kształtowaniu i nobilitacji takich postaw. Oczekiwana dyskusja odbyła się w Nadrzeczcu. Uczestniczyli w niej twórcy prezentowanych filmów i reportaży, członkowie Redakcji Dziedzictwa Kulturowego Telewizji Polonia i Redakcji „Małych Ojczyzn”, Programu 2 TVP, przedstawiciele lubelskich mediów i placówek kultury. Istotne problemy poruszyli Franciszek Piątkowski (Lublin) i Michał Bogusławski (Warszawa). Zdaniem F. Piątkowskiego spotkanie w Nadrzeczcu należy uznać za kolejne ogniwo dyskusji nad regionalizmem, rozpoczętej przez S. Żeromskiego, E. Orzeszkową, J. Cierniaka bądź J. Osterwę – luminary, wołających o uwolnienie twórczych potencjałów prowincji. Obserwując efekty pracy wymienionych wyżej redakcji można dojrzeć szansę wzbudzenia tego rodzaju myślenia i działania, zwłaszcza dzięki temu, że

skupiają one twórców, którzy pochylają się z serdecznością nad wybranymi tematami, unikając przeciwstawienia: stołeczność – pozastołeczność. Ich postawa sprawia, że wśród mieszkańców prowincji „nie gości poczucie gorszości”. Wielkim wsparciem w pracy tych filmowców i reportaży byłaby instytucja pozarządowa – Stowarzyszenie Małych Ojczyzn, pomyślane jako bank informacji o ludziach działających na rzecz małych ojczyzn na terenie całego kraju oraz jako grupa nacisku na lokalnych decydentów.

Prof. Michał Bogusławski, popierając ideę Stowarzyszenia Małych Ojczyzn, podjął inne zagadnienie: czy przegląd filmów i reportaży w Nadrzeczcu należy kontynuować w najbliższych latach. A to z kilku powodów: po pierwsze spotkały się dwie redakcje, zajmujące się rejestracją tego, co dzieje się w społecznościach lokalnych, wychodzące z założenia, że film „małoojczyźniany” powstaje przede wszystkim dlatego, że społeczności lokalne i ich aktywiści na to zasługują. Po drugie autorzy tych obrazów mogli spotkać się z publicznością i obserwować jej reakcję. Dlatego rozmowa na temat obejrzanego bloku filmów, w jakiej wzięli udział studenci kulturoznawstwa UMCS w Lublinie i Kolegium UMCS w Biłgoraju, jest rzeczą, której przecenić się nie da, szczególnie w sytuacji, gdy zauważa się słabą dystrybucję „filmów małoojczyźnianych”. Po trzecie, ogromną wartością przeglądu było to, że twórcy mogli obejrzeć nawzajem swoje filmy, często w różny sposób rejestrujące ten sam fragment rzeczywistości. „To było pożyteczne – obejrzeć je obok siebie” – rzekł profesor, a następnie skonstatował, że przegląd należy kontynuować, zastanowiwszy się nad tym, jak go ulepszyć, czyli jak zapewnić mu większą publiczność wśród mieszkańców Nadrzeczca i Biłgoraja. Właśnie z myślą o takich ludziach powstają reportaże i filmy, które – obejrzone i odebrane – mogą spowodować lawinę aktywności lokalnej wśród tych, którzy już zasmakowali satysfakcji płynącej z życia w szacunku dla swoich korzeni kulturowych i mentalnych.

Ideę przeglądu oraz przesłanie prezentowanych obrazów doskonale uzupełniła plenerowa inscenizacja *Drzewa* Myśliwskiego, w reżyserii S. Szmidta według projektu scenograficznego J. Dudy Gracza z muzyką Z. Karneckiego, z udziałem aktorów teatrów Warszawy, Poznania i Lublina oraz mieszkańców Nadrzeczca, Rudy Solskiej i okolic. Na Scenie Plenerowej Przy Szosie rozegrało się głębokie i mądre widowisko, w którym prosta filozofia o ludowej proveniencji zderzyła się z poetycką opowieścią. Szmidtowa inscenizacja *Drzewa* ma także ten niezaprzeczalny walor, że nie aktualizuje wątku politycznego (jak K. Dejmek) czy rodzajowego (jak I. Cywińska), lecz monumentalną poetycko-symboliczną metaforą opisuje człowieka znajdującego się w centralnym punkcie ziemi, którego oś stanowi drzewo, spinające – jak drzewo stojące przy szosie w Nadrzeczcu – swymi konarami, pnem i korzeniami ziemię z niebem, żyjących ze zmarłymi, tradycję z nowoczesnością, dziadków z wnukami, pokorę wobec świata z buntem przeciw kalaniu wartości.

Właśnie u korzeni drzewa znajdujemy wartości najtrwalsze, uniwersalne, rodem z naszej małej ojczyzny. Stefan Szmidt nie tylko je wskazuje, nazywa, ale przede wszystkim nobilituje, tworząc Dom Służebny i Fundację „Kresy 2000”, organizując Przegląd Filmów i Reportaży Telewizyjnych, inscenizując dramat W. Myśliwskiego.

Do Danii – za chlebem

(komentarz historyczny do jednej z pieśni emigracyjnych)

We wsi Poręba Żegoty, położonej około 30 km na zachód od Krakowa, w powiecie chrzanowskim, panie z Koła Gospodyń Wiejskich znają wiele pieśni ludowych, które śpiewali dawniej ich rodzice i dziadkowie.

Repertuar grupy śpiewaczej jest bardzo różnorodny: od pieśni żartobliwych, zalotno-miłosnych, obrzędowych do ballad i religijnych śpiewów wędrownych dziadów, którzy podczas odpustu przybywali niegdyś pod klasztor oo. Bernardynów w sąsiedniej Alwerni.

Laskami słynący obraz Chrystusa Miłosiernego *Ecce Homo* od wieków przyciąga tutaj, w niedzielę oktawy uroczystości Bożego Ciała, rzesze pielgrzymów z różnych stron.

Odwiedzając „Porębianki” i słuchając ich śpiewania, zwróciłam szczególną uwagę na wielozwrotkową pieśń o tematyce rzadko spotykanej obecnie w okolicach Krakowa. Jest to pieśń o wyjazdach „na saksy” za chlebem.¹ Z treści dowiadujemy się, że:

1. Gdy Polska była w niewoli Austriji,
Jechały dziwyki do Saksoniji.
2. Do Saksoniji i do Daniji,
Tam pracowały, buroki rwały.

Z zainteresowaniem wysłuchałam dalszych zwrotek, przerywanych opowiadaniem Marii Sibik o tym, skąd w Porębie Żegoty znana jest ta pieśń i co mieszkańcy pamiętają o dawnych wyjazdach z kraju w poszukiwaniu pracy i lepszego życia.

Przed I wojną światową, do Danii i Saksonii, wyjeżdżały młode dziewczyny z Brodła, Poręby Żegoty, Rudna i Zalusu. Nazywano je „saksyory”. Pani Maria mówi, że nie gniewały się za to. Jej teściowa, Józefa (z domu Wiecheć), gdy miała 17 lat, w 1907 roku popłynęła „szifem przez morze” do Danii. Dołączyła do swojej starszej siostry Zofii, która, wraz z innymi polskimi dziewczynami, przebywała tam od 1903 roku; pracowała przy burakach cukrowych. Siostry pochodziły ze wsi Brodła koło Alwerni. To Józefa – jak pamięta pani Sibikowa – do późnej starości opowiadała i śpiewała o ciężkiej pracy w duńskim gospodarstwie rolnym.

3. Buroki rwały, krowy dojały,
i z nikim się tam nie rozumiały.

Wszystkie młode i silne robotnice starały się pracować jak najlepiej, żeby zarobić – jak Józefa – „na wiano”. Do niej należało wydojenie dziesięciu krów oraz praca przy uprawie i zbiorze buraków cukrowych. Ale pilnujący pracy w polu „auzyjer” ciągle krzyczał, że pracują za wolno.

4. B^o tyn auzyjer p^o p^olu łązi,
dobrze robimy, ^oon na nas swarzy.
5. Swarzy p^o polsku, klnie p^o niemiecku,
co ty wyciyrpis, biedny Polocku.
6. Zeby mamusia ^oo tym wiedziała,
do Danije by jechać nie dała.
7. Ale mamusia ^oo tym nie wiedzą,
jedźże, córuniu, tak mi powiedzą.
8. Jedźże córuniu, zarób stówcecke,
kupie ci za to pieknom chustecke.
9. Co ja wyciyrpie, mamusiu moja
za tym grosikiem taka niedola.
10. P^o całym świecie głowa mie boli,
jak tu pracować w takiej niewoli.

To ciężkie życie skończyło się dla Józefy po trzech latach. Wróciła w 1910 roku, bo w kraju czekał na nią narzeczony z Poręby Żegoty. Wyszła za mąż i tu zamieszkała. Część pieniędzy zarobionych w Danii na posag, złożonych w tzw. Kasie Stefczyka, w zawierusze wojennej przepadło.

Gdzie przebywały, na terenie Danii, siostry Zofia i Józefa, Maria Sibik nie pamięta. Być może, na jednej z „wysp polskich” jak potocznie nazywano Lolland i Falster. Tam – co wiadomo z historii gospodarczej Danii – w 1872 roku rozpoczęto masową uprawę buraków cukrowych i budowę cukrowni. Do ciężkiej pracy szybko zniechęcili się Duńczycy oraz sezonowi robotnicy sprowadzani ze Szwecji i Finlandii. Dopiero Polacy potrafili znieść wszelkie trudy półniewolniczej pracy na polach buraczanych. Duńczycy mówili o nich: „Polak może żyć i na kamieniu”.

Pierwsi polscy robotnicy przybyli do Danii w 1893 roku werbowani przez specjalnych wysłanników głównie po biednych wsiach galicyjskich. Corocznie, do 1914 roku, napływało coraz więcej młodych ludzi chętnych



Dom małorolnego chłopca w skansenie w Lyngby (Dania).

Fot. Włodzimierz Marcinkowski

do każdej pracy. Za duńskim wydawnictwem „Informacje Polskiej Misji Katolickiej w Danii” z 1979 roku podaje, że w 1901 roku było ich około 4 tysięcy, a tuż przed I wojną światową – około 13 tysięcy. Wielu Polaków nie zdążyło wrócić do kraju przed wybuchem wojny. Pozostali na stałe w Danii. Z czasem, w drugim i trzecim pokoleniu, zdobyli zawody wysoko kwalifikowanych robotników i inżynierów, kupców, rolników i stworzyli także liczne grupy inteligencji duńskiej pochodzenia polskiego.

Duńczycy, dopiero po latach, docenili fakt, że rozkwit swojego przemysłu cukrowniczego zawdzięczają ciężkiej pracy Polaków. Jak pisze Wojciech Walczak w pracy *Dania* (W-wa 1984r.), na rynku w Maribo (wyspa Falster) postawiono pomnik polskich robotnic z pól buraczanych. Pamięć o nich przetrwała do dziś wśród duńskiej Polonii.

Z okazji setnej rocznicy przybycia pierwszych robotników rolnych do Danii, w wielu miejscowościach odbyły się uroczystości. I tak 8 maja 1993 roku w Kopenhadze, przy jednym z kościołów katolickich, do którego uczęszczają Duńczycy polskiego pochodzenia i miejscowi Polacy, zorganizowano „Akademię Maryjną”. Fragmenty wystawianego widowiska słowno – muzycznego nawiązują do głębokiej pobożności Polaków na ziemi duńskiej:

„(...) Piękne to i wspaniałe mieć za Królową samą Matkę Boga (...). W 1893 roku przybyłaś także do Danii (...). Przybyłaś z pierwszymi Polakami, bo wiedziałeś, że w Częstochowskiej Ikonie potrzebować Cię będą

polskie dziewczęta, pochylone nad duńskim czarnoziemem, w szeleście buraczanych liści(...)”.

W dalszej części wspomniano o wizycie papieża Jana Pawła II w Danii:

„...W 1989 roku Ojciec Święty, Syn polskiej ziemi, błogosławił nam, słuchał naszych polskich pieśni na duńskiej ziemi. To była wspólna radość, którą do dziś krzepimy nasze serca. A burak cukrowy, wsadzany przed 100 laty polską ręką w czarnej ziemi, podlewany polską łzą, wyrósł w piękny owoc ziemi, który wręczyliśmy Ojcu Świętemu rękami stuletniego emigranta w kilkudziesięcioletniej grupie Polaków (...)”.

Tekst widowiska słowno-muzycznego otrzymałam w 2001 roku od Anny Siekierskiej, mieszkającej w Danii od dwudziestu pięciu lat.

Czy w Polsce, w Porębie Żegoty i w sąsiednich wioskach, przetrwa pamięć o wyjazdach do Danii – za chlebem? Pewnie tak, bo Maria Sibik przekazała pieśń *Gdy Polska była w niewoli Austriji...* nie tylko kobietom z Koła Gospodyń Wiejskich. Śpiewają te słowa także trzy wnuczki z rodziny Sibików, które chętnie słuchają opowiadań o pracy ich prababci Józefy na polach buraczanych w Danii.

¹ Utwór ten w 1997 roku zespół wykonywał na XXXI Ogólnopolskim Festiwalu Kapel i Śpiewaków Ludowych w Kazimierzu nad Wisłą. Jego pełny zapis wraz z melodią znajduje się w wydawnictwie *Kazimierskie nuty. Z repertuaru XXXI Ogólnopolskiego Festiwalu Kapel i Śpiewaków Ludowych Kazimierz 1997*, wybór i redakcja Jan Adamowski, Lublin – Kazimierz 1998, s. 30–31.

JAN ADAMOWSKI
KATARZYNA SMYK
MARIOLA TYMOCHOWICZ

Lecznictwo

- ze wspomnień Czesława Maja z Motycza, woj. lubelskie

W tradycyjnej kulturze ludowej niezwykle ważną dziedziną życia było, a w jakimś sensie i jest do dzisiaj, leczenie. Opierało się one na dwu podstawowych filarach:

1. wykorzystaniu specyficznych, a rozpoznanych w zbiorowym doświadczeniu, właściwości leczniczych ziół;
2. różnorodnych działaniach magicznych.

O związku ziół z leczeniem świadczą także ludowe, potoczne nazwy roślin, które często są tożsame z nazwami chorób. I tak: chorobę zwaną *przestrachem* najlepiej leczy się rośliną także nazywaną *przestrach*; spożycie *szaleju* mogło doprowadzić człowieka do zachowania wskazującego na niemal utratę zmysłów; *krwawnik* – tamował krew; *krwiściąg* – *ściągał krew* itp.

Z kolei działania o charakterze magicznym często wykorzystywały różnorodne podobieństwa. Przykładowo, leczenie powszechnej choroby, zwykle nazywanej *różą* (a objawiającej się zaczerwienieniem skóry), odbywało się przy wykorzystaniu czerwonego płótna; wzory z wylanego wosku swoim kształtem mają przypominać odpowiednią chorobę itd. Takie leczenie, aby było skuteczne, musiało się odbywać w odpowiednim czasie, którym był moment przełomu pomiędzy dniem i nocą.

W ludowym leczeniu istotną rolę odgrywało również odpowiednie słowo. Ludowy lekarz, współcześnie zwany zwykle *znachorem*, często odwoływał się do sprawczej funkcji słowa. Można powiedzieć, że on działał słowem i dlatego tego typu leczenie nazywa się także zamawianiem, na wschodzie *szeptaniem*, a więc działaniem poprzez mówienie. W folklorze słowo i działanie są zatem równoważne. Przecież „w języku hebrajskim rzeczownik *dabar* oznacza zarówno słowo (opowiadanie, polecenie), jak i rzecz (rzeczywistość, sprawa). Nie ma słów, które nie mogłyby być rzeczywistością i nie ma rzeczywistości, którą można by przedstawić bez użycia słowa. Ponadto są ze sobą również nierozłącznie powiązane słowo i działanie: mówić - to działać” (Xavier Léon-Dufour, *Słownik Nowego Testamentu*, przekład i opracowanie polskie Kazimierz Romaniuk, Poznań 1986, s. 570).

Poniżej publikujemy grupę tekstów przedstawiających różnorakie aspekty ludowego leczenia. Są tam zarówno przykłady dokumentujące rolę ziołolecznictwa jak i opisy zamawiań lub innych leczniczych działań magicznych. Wszystkie teksty zostały nagrane w

kwietniu 2002 roku na spotkaniu Czesława Maja ze studentami II roku kulturoznawstwa UMCS, jakie odbyło się w Lublinie w ramach programowych zajęć studentów specjalizacji folklorystycznej. Informator jest znanym w okolicy dokumentatorem historii i kultury swojej małej ojczyzny. Urodził się w 1923 roku, a mieszka w Motyczu, pow. Lublin.

Publikowane wspomnienia przedstawiamy w konwencji zapisu półfonetycznego, uwzględniając w grafii literackiej specyfikę tekstu mówionego. W ten sposób zachowujemy autentyczność dokumentacji.

Wypowiedzi autora podano kursywą, a w nawiasach kwadratowych umieszczone zostały uzupełnienia pochodzące od autorów opracowania oraz wszelkiego rodzaju skróty wypowiedzi informatora.

Wybór tekstów

I. ZIOŁOLECZNICTWO

1. Wilżyna i przestrach – zioła, które uspokajają dzieci

Jak dzieci [...] przestraszone były – to choroba jakaś nerwowa była widocznie – to kobiety okadzały, sie brało na talerz jakieś węgle i kładło sie te zioła. No było takie pospolite zioło wilżyna ciernista, teraz to nie widzę już. W Kazimierzu znalazłem, na Górze Trzech Krzyży tam, kilka jeszcze okazów. To takie kolce miała, roślina nieduża, różowo kwitła i to zbierały kobiety, sypały i kładły na węgle i to się dym taki gryzący z tego unosił. Niezależnie od tego, to jeszcze dodawało się [inną roślinkę]. Ta roślina nazywało się przestrach, nazwa ludowa była i dodawało się jeszcze tam po szczypcie z wianuszków tych, co sie święciło w oktawie Bożego Ciała i z palmy jakoś tam troszke szczypte i to razem [...] się mieszało i to dziecko oddychało ten dym i jakoś ta choroba nie jadła [ustawała], bo później spało długo. To taki był lek dla dzieci. [...] A były takie domy, jeszcze pamiętam, zacołane, że dziecku dawali wódkę. „Nie mogę, oj, to – mówi – płacze i płacze: Trza mu dać kieliszka”. To dziecko pilo, na razie się krzywiło, a później to wyciągało ręce i chciało i to wtedy już się pijak robił.

2. Rumianek – zioło na żołądek dla niemowląt

No, to były to rumianek chyba; że to od maleńkiego to herbatki taka kobiety robiły [dla niemowląt]. I z cukrem czasem był mieszany ten rumianek. Takie smoczki były z płótna i to dziecko ssało. To na żołądek.

ludowe



Czesław Maj. Fot. Krzysztof Wasilezyk

3. Świetlik i rumianek – to od oczu było lekarstwo

Na przykład taka roślina świetlik była; nieduża taka roślinka, kwiatuszki słabo takie aż siwe – to od oczu było lekarstwo. Wiem, że to na te zapalenie oczu, na te różne katarakty to ludzie zbierali. [...] Niektórzy ludzie zaparzaliby to i przykładali do oczu. I też rumianek miał zastosowanie duże [...] przeciwko chorobom oczu.

4. Ruta – od chorób oczu też

Ruta – to zauważyli pasterze [...], że jak łasice (te, które nawet po gospodarstwach są, łaski na wsi nazywają, bo one myszy tropią), [...] jak się [łasica] spotka ze żmiją, to jest strasznie jadowite i toczy bój ze żmiją. To właśnie jak była ukąszona, to szukała ziela i to gryzła i nie, nie umierała. Tak. To były takie różne spostrzeżenia

ludzi na łonie natury. A to jest też [lek dla ludzi]. Ruta to ma takie kwiatuszki małe różowe i to zaparzaliby od chorób oczu też. [A dlaczego nazywała się ruta?] No, ja nie wiem. Bo było przysłowie zielony jak ruta. I ruta wiecznie zielona jest, tak. Zielony jak na przykład jak owoce jak w sadzie, to mówili: „Oj, to zielone jak ruta”.

5. Rozchodnik – lek dla kobiet

Rozchodnik się zbierało, to teraz mało go gdzie jest, ale rozchodnik to był znowu leczniczy, bo przeważnie jak kobiety miały nieraz małe dzieci, dostawały takich wrzodów, takich ran na piersiach, to leczyły. Był tłuczony ten świeży rozchodnik i to takie plastry przykładano, że to miało pomagać. [To zioło nazywało się] rozchodnik, bo dlatego, że na grzępach na takich nieużytkach ono się

[rozrastało]. [...], rozchodziło się tak od siebie. Bo posadzić – na przyszły rok rozeszło się. Mam też ten rozchodnik u siebie. I [nazwa] rozchodnik, bo się rozchodzi.

6. Krwiściąg lekarski – do smarowania ran

Był też, była taka roślina **krwiściąg lekarski**, to jeszcze do dziś jest, takie ma owocki fioł..., no różowe mocne, mocno różowe i to kiedyś to ludzie zbierali i wyciskali sok i to w czasie skaleczenia, to smarowali rany, że to szybko się zablizniała rana. [A dlatego tak się nazywa], że tamuje krew. Krwiściąg – ściąga krew, tak.

7. Piołun, jagody i kminek – zioła na bóle żołądka

[Piołun] to pospolite zioło. Piołun to jest roślina gorzka i ja kiedyś sam na sobie przekonałem się, jeszcze w młodości, że bolał mnie żołądek i byłem tam gdzieś u lekarza jakiegoś i to nic nie pomogło. I potem ktoś mi doradził piołun. To suszyłem i zaparzałem jak herbatę, ale to na razie takie jest gorzkie, że to wydaje się, że się odda nazad. A potem, jak używałem jakiś czas, to się chce. Widocznie narkotyki jest w tej roślinie. [Piołun pomaga] na bóle żołądka. Ale na bóle żołądka to jeszcze lepszy środek był – **jagody, borówki czarne** zalewane spirytusem i żeby to zostało parę tygodni i później w czasie takich bólów różnych żołądka, nudności, nadkwaśności. To się brało małuśko, szczypte tego nawet na herbatę czy na wodę, czy tak ktoś jak mógł to wypić. Ale to bardzo niedobre jest w smaku, ale pomaga radykalnie od razu. [...] No, kminek to był jako środek żołądkowy był używany od bólów żołądka. Dzieciom małym się takie gotowało herbatki z kminku, bo to też dobrze robiło.

8. Dziewanna – zioło od bólu głowy

[A jak głowa bolała, to stosowana była] przeważnie **dziewanna**. [...] I to takie kwiaty ma żółte, ale to trzeba było zbierać i wysuszyć umiejętnie, bo jak było źle to składać gdzieś, to szybko techło. Tylko trzeba było wysuszyć i w jakiś no... w zakręcone jakieś naczynie, sobie złożyć. To bardzo dobre było od tych bólów głowy.

9. Melisa – lek na gardło, dziąsła i na sen

To od bólu gardła to były... zaraz... To się stosowało do płukania gardła, no to się zaparzało **melise**, tak, bo to jak dziąsła nieraz jak bolały, i płukało, i trzymało się w ustach. Mam **melise** też [w swoim ogrodzie]. Tak, to jest środek usypiający. Ma jakieś narkotyki w sobie, bo ludzie po takich przeżyciach różnych, że jak spać nie mogą starzy ludzie, to zaparzają sobie ta melisę i to pomaga, że człowiek zasypia – lepiej niż jakieś lekarstwo [...].

10. Lubczyk – zioło na miłość

Lubczyk, zawsze od wieków był znany **lubczyk**. To tam dawali sproszkowany narzeczonemu to, to podobno pomagało. [...] to było ususzone i podawać w pokarmie jakimś. Tam sobie każdy kombinował, żeby było dobrze.

11. Korzeń pokrzywy – lek stosowany przy złamaniach

Przeważnie to stosowano przy takich złamaniach **korzeń pokrzywy**, znaczy się kopali pokrzywę i tłukli na miazgę [...] i takimi plastrami okładali, że to bardzo podobno było skuteczne.

12. Zioła trujące: bieluń i szalej

To sobie ludzie zbierali [różne zioła]. Ale też trzeba było uważać, że przeciw zioła i trujące są, bo nieraz i się

ludzie zatruli, jak kto nie wiedział jak to stosować [...]. **Bieluń tandera** był, był taki (rośnie, mniej więcej widać) i **szalej jadowity** – druga roślina trująca. To bieluń tandera ma takie płozące się liście i potem to owoce to ma taki jak kasztan, co jest w jesieni, co ma takie kolki na sobie w tej łusce, to on ma takie. [...] Szalej to używali. Pamiętam takie były spece, co to nasienie szaleju brali, ścięrali na proszek. Jak miał na kogoś złość, to na weselu na przykład gdzieś, czy gdzieś tam na zabawie, jak ludzie pili, to troszke wyspał do kieliszka, małuśko szczypte, to człowiek potem parę godzin nie wiedział, co robić, śpiewał, tańczył. I było takie przysłowie: „On tak się drze, jakby po szaleju był”.

II. OKOLICZNI ZNACHORZY I CZAROWNICE

13. O znachorce, która leczyła ziołami

No, nie zawsze [zioła były skuteczne], no bo lekarz leczy i też nie zawsze skuteczne lekarstwa są, to i te zioła jednemu pomogą, drugiemu nie. No, ja pamiętam, że była taka znachorka koło nas, co leczyła tam różne choroby kobiece i tam różne. To na przykład chorowali ludzie na oczy często, bo to jak żniwa były, to nieraz to jak wiatr był, to te z jęczmienia ości leciały nieraz w oczy; jak się młóciło, też kurz ten, to chorowali ludzie. No to ona mówiła: „Dajcie dwa złote (przed wojną to duże pieniądze były), ja przykryje to szybą i żeby tak oczy wasze poprawiły się, jak ta szyba biała”. No i wylała wosk i potem mówi: „Jak będziesz szedł do domu, to urwij sobie bratków polnych (takie brateczki w zbożu i w koniczynie przeważnie były) i to ususzyć i przemywać oczy, na kompresach trzymać”. I to dużo pomagało, to bratek trójbarwny tak zwany brateczek taki.

14. O znachorze z Kazimierza

Takie były przypadki, jak ja jeszcze dzieckiem byłem. Wujek robił płótno, był tkaczem, płótno... len to znaczy przerabiali, ale to się kurzyło z tego, z tych nici, to kurz taki się unosi. I zachorował na płuca, bo dużo tkacze chorowali na płuca. To tutaj doktora nie było i nie stać było, bo nie było nawet gdzie. To ciotka chodziła z wujkiem pieszo do Kazimierza – tam był znachor, czterdzieści pięć kilometrów od Motycza. To opowiadała, że wyszli jednego dnia, to nocowali i z tym chorym człowiekiem z powrotem przyszli piechotą, czterdzieści pięć kilometrów! [...] A to on dawał jakieś swoje lekarstwa, ale to nic nie pomagało, nie.

15. O znachorze z Czerniejowa, co złamane ręce la-dował

A drugi wujek znowu rwał czereśnie tak we żniwa [...] tak nieszczęśliwie, że złamała się gałąź i spadł: jakoś na ręce. Coś popękały te kości w rękach czy co. Nikt na razie nigdzie nie szedł [do żadnego znachora], a później ręce popuchły, ogromne się zrobiły jak kabany i trzeba było iść. No ale ktoś doradził, że w Czerniejowie jest znachor, co ładuje. No to on szedł piechotą i sukmane miał, taka zapinka była na sukmane, to zapinał, ale to mu się zsuwało, to nie mógł poprawić, to żniwiarki robiły przy drodze, to mu poprawiały to. No i doszedł tam, to ten znachor popatrzył, mówi: „Czekaj, to zaraz ja spróbuję” i na kolano wziął, przelamał te ręce jedną, drugą. Jakims płótnem okręcił: „To – mówi – teraz ci przejdzie”. Opowiadał, że już jak szedł z po-

wrotem, to już sobie sam sukmane poprawiał, tak już pomogło.

16. Kobiety, które zbierały zioła, nazywano czarownicami lub ośmanicami

To jeszcze pamiętam to były takie kobiety, że chodziły tam po miedzach, po zaroślach i zbierały. To [ludzie] mówiły: „O, już czarownica chodzi, bo [...] już ona się zna”. No pamiętam, to takie-jakie to pojęcia były, że ludzie przypisywali moc jakaś innym ludziom. Bali się, że to czarownica, czarownik. Pamiętam, było takie gospodarstwo, [...] gdzie było siedem córek i wszystkie były blondyneczki, tak jak len i tak było, że która dorosła – się żeniła od razu. To kobiety stare mówiły: „Ta stara matka to jest ośmanica, bo ona już tam wie, jak pokierować, żeby ten chłopak się ożenił”. [...] A to ośmanica to znaczy kobieta, która oszukiwała. Oszukać, kombinować, podstępnie coś robić.

III. INNE SPOSOBY LECZENIA

17. Jak leczono wrzody na stopach

Jak chodziło się na polu po żniwach, po ściernisku boso, boso każdy chodził, te nogi tak się zapuchły, że nie reagowały wcale [...], to często jak się nastąpiło na jakiś kamień albo na jaka kolke, [...] jak to coś przebiło się, to się robiło taki wrzód na nodze: na podeszwie albo pod piętą, albo pod palcami, bo to była gruba skóra. To człowiek, zanim to się wystawo, to cierpiał strasznie. No to był taki, co przecinał brzytwą. Tam miał takiego sąsiada, że wołał go: „Chodź to pomożesz”. Jak ten chwycił za nogę – chłop był wielki jak niedźwiedź – to człowiek wzywał świętych [Czesław Maj śmieje się], rozmaity klątwy jakie wiedział, ale to prędzej ta ropa wyszła. A tak to jak samo się wystawo, to strasznie to było [...]. To znaczy ta ropa musiała się wystać, że jak już ta skóra się zabielała, to ona się... pękło samo, ale to trzeba było czasu. To robili to: zsiadłe mleko i [...] otręby pszenne [...] tak, i tem okładali tą nogę na noc, to to wyciągało trochę, tak Ale były przecież zastrzały, pamiętam, takie w palce się robiły – wrzody ogromne. Ja nie wiem, czemu [to się nazywało zastrzał]. Podobno, że [jak tylko] to się zaczynało robić, to że było w fuzji wystrzelić prochem całym, to że to miało zginąć, a jak-nie, to się też wystawo, bo ludzie strasznie cierpieli na to. I później to już doktor-felczer był tam u nas taki i przecinał, ale z początku to robili otworek w jajku i nadziewali na ten palec, bo to jajko wyciągało – trochę mniej bolało.

18. O zdejmowaniu kołtuna

Państwo pewno nie znaju tego: były kołtuny na wisi takie, co kobiety we włosach miały – to ja pamiętam jeszcze to – to sześć tygodni nie wolno było tego ruszyć. A bo to ludzie spali na słomie przecież na łóżku i czasem jakoś oś się dostała [...] z kłosa, bo to żynia słoma była [...]. Nie czesali wtedy tych włosów, mało było grzebieni, mało mydła było wtedy. Bo by było wszystko było, to by i kołtuna nie było. To rosła taka ogromna jak czapka na głowie i to nie wolno było sześć tygodni tego ruszyć, tylko jedyny lek dla kobiety tej to był **barwinek** moczony w piwie i to kobiety piły, i to że to ta głowa przestała boleć wtedy. Ale to kobieta się mordowała, bo to trza było wytrzymać sześć tygodni. Potem – taka znachorka była na Czechowie tu pod Lublinem – to przywozili ją i ona wte-

dy zdejmowała to. To pamiętam, że to wynosili po pełni księżycy na rozstajne drogi, gdzieś pod krzyż, to jak paśliśmy krowy, to [...] pałkami nieraz śmy to bili, ale ludzie mówili: „Pamiętaj! nie rusz tego, bo ciebie pokręci!”. No takie było wtedy wierzenie [...]. Wycierpiała to kobieta, a później to jak było zdjęte, to dopiero ulżyło, ulżył ból. No takie, takie były wierzenia.

19. Jak krew płynęła z ran, to zamawiali

To były wtedy [choroby zakaźne], ale to nikt nie chodził [do lekarza], jak przeszło samo, to przeszło, a jak nie, to tam jakiś znachor przyszedł, to wylał wosk, zamówił co i tak było. To jest właśnie ciekawe, bo od... jak krew płynęła z ran, to zamawiali tak: „Niech ta krew przestanie, jak woda w Jordanie, kiedy Pana chrzcił”. Trzy razy to ludzie mówili i trzy razy trzeba było splunąć przez lewe ramie. Taki był przesąd. I ja się pytałem właśnie starych ludzi, dlaczego „woda w Jordanie”, no to mówili, że jak Chrystus wchodził do Jordanu, to woda stanęła i wtedy odbył się chrzest. I to takie w przenośni: „Niech ta krew ustanie, jak woda w Jordanie, kiedy Pana chrzcił”.

20. Spalanie róży i odczynianie bólu zębów

To byli specjaliści ludzie tacy, jak na przykład spalanie róży było, to też, to puchły gardła nieraz od bólu zębów: to piętnaście minut przed wschodem, piętnaście minut przed zachodem słońca trzeba było i to takie gałki się robiło z lnu i tam kobieta odmawiała „Zdrowaś Mario taskiś pełna...” i podpałała z gromnicy święconej ten len nad tym chorym, a on był przykryty taką ścierką. No jakoś tam pomógł. Mnie samemu tak odczyniali – jakoś tam pomogło.

21. O człowieku, który zamawiał wścieklicznę

Ja pamiętam takiego człowieka, który zamawiał u nas wścieklicznę. Trzeba było też piętnaście minut przed wschodem albo piętnaście przed zachodem u niego być i on kazał sobie siadać, i trzy razy coś odmawiał z książki, i trzy razy żegnał się, i trza było się przeżegnać za nim i tyle było. Właśnie to jest ciekawe: nie wiadomo, co on odmawiał. Ja się pytałem później synów, bo już on nie żył; to bardzo religijny człowiek był. [...] Ja znalazłem go, przecież jego można było prosić, to może był powiedział, ale powiedział, że w domu i w ogóle w sąsiedztwie nie widzi takiego człowieka, żeby mógł powierzyć jemu.

22. A zawsze lało się wosk

A zawsze lało się wosk, no to wosk stopiony lało się na wodę na... naczynie było – miednica [...], to było naczynie jak skopek dawny, to było takie naczynie drewniane z uchem, to najwięcej w ten skopek się lało wosk. To gorący i roztopiony wosk, to później był w wodzie, to zastygł. I na tym się poznawała ta znachorka dopiero: czy to człowiek, czy to bydle, czy to woda jakaś będzie, bo to kształty takie przybierał ten wosk. Przez miotłę [lano] którąkolwiek; te miotle się robiło z brzeziny. [...] No, to przeważnie no, jak takie [choroby] były, jak ten przestrasz, jak mówiłem i ogóle na różne choroby [...] wosk wylewali [...].

23. Słonina – lek na głębokie rany

To przeważnie to jak taka była głęboka [rana], to słoninę ludzie przykładali, nie soloną i to było: taki plaster przyłożony, obandażowane płótnem lnianym. Ona nie dopuszczała do zeschnięcia się rany i rana w końcu to robiła się biała, bieląca, to znaczy, że się goiła, tak.

MARIOLA TYMOCHOWICZ

Kusaki, czyli świat

Mazowiecki przegląd zespołów obrzędowych

Kusaki to zwyczaj dziś już kultywowany tylko w szczątkowej formie. Jak to dawniej bywało, mogliśmy się dowiedzieć podczas X Przeglądu zespołów regionalnych w Domu Kultury i Sztuki w Siedlcach (10 lutego 2002 r.).

„Kusaki” organizowane są od 1991 r. w różnych miejscowościach byłego województwa siedleckiego, przegląd nie odbył się tylko raz – w 1999 r. Pomysłodawcą i organizatorem spotkań jest Wanda Księżopolska, a od początku udział w nich brała Gabriela Soroka, która w tym roku przyjechała z zespołem dziecięcym. Od kilku lat w jury przeglądu zasiadają: Stanisława Niebrzegowska-Bartmińska i Jan Adamowski – pracownicy UMCS. W tegorocznym przeglądzie wystąpiło siedem zespołów, a w przerwach

między prezentacjami przygrywała Kapela Maciejowicka w składzie: Władysław Zarzycki – skrzypce, Stefan Sygocki – harmonia i Jan Cytryniak – śpiew.

Pokaz rozpoczął występ Zespołu Ludowego Koła Gospodyń Wiejskich z Woli Koryckiej Górnej (gm. Trojanów, pow. garwoliński) prowadzonego przez Marię Bienias. W tej wsi ostatki trwały od tłustego czwartku do wstępnej środy. W tym czasie mieszkańcy chodzili lub jeździli na jarmark. Młodzi chłopcy przyczepiali wówczas pannom do ubrań kločki wykonane z papieru lub z drewna. Dziewczyna, która nazbierała najwięcej klozków, miała w danym roku wyjść za mąż. Chłopcy – kusaki robili różne psoty we wsi, np. przychodzili do chałupy i wysypywali *dzisko* z popiołem na

podłogę, a jeśli jakaś dziewczyna nie była lubiana, robiono jej kukłę ze słomy i zatykano nią komin; nim gospodarz się zorientował – w domu było już pełno dymu. Natomiast we wtorkowy wieczór, jak opowiadały starsze członkinie zespołu, kobiety spotykały się u najbogatszej gospodyni. Każda wcześniej przygotowała typowe potrawy ostatkowe. Na ten dzień musiał być upieczony świeży chleb, przynoszono też racuchy drożdżowe, pączki, bułki z jagodami, kapuśniak, kielbasę, kaszanke, maślanke ze skwarkami, jajecznicę, lalki, *cacka* z dziurką (wszystkich tych potraw można było spróbować po pokazach), a do picia była czarna kawa i wódka.

Kobiety bawiły się do północy, a niektóre nawet dłużej, gdyż wierzono, że taniec na len i konopie właśnie o tej porze spowoduje, że rośliny te będą dobrze rosły. Później gospodynie musiały wypowiadać się za tańczenie w czasie postu i odprawić zadaną pokutę. Tego wieczora bawili się też młodzi. Przed zabawą chłopak musiał przyjść do domu swojej wybranki i poprosić jej rodziców o pozwolenie na wyjście razem z nim na zabawę.

Na koniec prezentacji zespół w krótkiej scenie przypomniał, jak to dawniej w czasie ostatków po wsi chodzili młodzi poprzebierani za Cyganów. Jeden z przebierańców ciągnął wózek, na którym kręciły się kukły – *baba i chłop*.

W Grabianowie ostatki były świętem „babskim”. Obowiązywało wówczas wiele zakazów i nakazów, między innymi nie można było odchodzić poza granice wsi, żeby nie sprowadzić zła. Nie wolno też było tkać czy prząść, ponieważ zboże kładłoby się na polach.

Kobiety zbierały się w dużym domu, gdzie zapraszały muzykantów, aby im przygrywali. Na ten specjalny wieczór każda gospodyni przynosiła coś do jedzenia. W tym dniu należało zjeść wszystko, co zostało z karnawału, a czego nie



Tańczące lalki – Wola Korycka Górna.

na opak



Zespół w Woli Serockiej za stołem zapustnym pełnym smakołyków przygotowanych przez panie z zespołu

można było jeść w poście. W trakcie zabawy kobiety przepijały do siebie i tańczyły. Co jakiś czas gospodyni zanosila kieliszek wódki muzykantom i prosiła np. o taniec na len i konopie. Wówczas to kobiety podskakiwały bardzo wysoko i wołały: – Grajta na konopie, na len! Kiedy tańczyły na kapustę, ustawiały się w równe koło. O północy stawiano na stół wielki dzban żuru, tak żeby się troszkę wylało. Był to znak, że zaczyna się post, czas spokoju.

W tym dniu po wsi od chałupy do chałupy chodzili przebierańcy Cyganie, którzy wróżyli mieszkańcom z ręki dobrą przyszłość i zawsze starali się podkraść coś do jedzenia. Nikt się temu nie sprzeciwiał, gdyż wierzono, że to, co zostanie tego wieczora ukradzione, zwróci się podwójnie. Przebierańcy smarowali młodych sadzą, żeby mieli powodzenie. Jeśli jakaś panna nie została wysmarowana, to znaczyło, że nie jest lubiana, co było dla niej bardzo haniebnie.

Na koniec występu dzieci przedstawiły krótką scenkę, jaką w czasie kusaków odgrywa się w ich wsi do dziś. Najpierw przebierańcy wróżyli i zapraszali do tańca gości z widowni. Jedna z Cyganki podczas tańca zemdlala, a pozostali prosili o kawałek chleba i kropelkę mleka, „gdyż z Cyganki życie ucieka”. Kiedy otrzymali chleb i kielba-

sę, jeden z Cyganów krzyknął, że jej tylko bata potrzeba. Na koniec przebierańcy wysmarowali sadzą kilka osób z widowni, co miało zapewnić im szczęście.

Na przygotowanym przez zespół stole można było spróbować jajecznicy na boczku, którą jadano dawniej, żeby len miał główki jak żółtko jajka, klopsów w cieście z jajkami, wiejskiego chleba, pierogów z fasolą, boczku pieczonego, strucli z ziemniakami, z marchewką, węzełków – małych bułeczek z jajkiem, racuchów zwanych pączkami. Do picia podano herbatę z młodych pędów malin i odrobiną spirytusu z miodem – był to lek stosowany na przeziębienia. Taką herbatę pito bardzo często zimową porą.

W kusaki we wsi Wróble odkładano wszelkie prace, nie zawierano ślubów i nie chrzczono dzieci. W tych dniach wszyscy dobrze się bawili. Wierzono także, że w tym czasie wszędzie może zaiść zło i częściej niż zwykle ludziom przytrafiają się dziwne rzeczy. Zdarzało się nawet, że ktoś się powiesił. Uważano powszechnie, że od tłustego czwartku do środy popielcowej trzeba jeść bardzo tłuste potrawy: bo gdy w kusaki syto, to cały rok będzie syty.

W niedzielę kusakową we wsi słychać było co najmniej trzy muzyki, jedna przygrywała młodym, a

inna starszym. Wszyscy bawili się do rana, a w poniedziałek szli na jarmark do Maciejowic. Panny i kawalerowie zawieszali sobie klocki zrobione z drewna albo głowę śledzia. Gospodarze szli do karczmy, a kobiety pilnowały ich, żeby nic złego im się nie przydarzyło. We wtorek wszyscy bawili się do godziny dwunastej w nocy. Starano się wówczas wyjeść wszystko, co przygotowano na ten wieczór, bo później następował już czas ścisłego postu, kiedy nie wolno było nawet pić mleka. W środę popielcową jeszcze niektóre kobiety piły i tańczyły na len i konopie, żeby duże wyrosły. Później oczywiście musiały się z tego wypowiadać.

Ta opowieść o kusakach poprzepłatana była przyspiewkami, jakie w tym czasie śpiewano. Członkinie zespołu, który prowadzi Adela Wielgomas, na koniec przedstawiły scenkę, jak to chłopak obwieszony klocekmi wrócił z jarmarku i przyprowadził do domu dziewczynę, aby ustalić datę ślubu. W tym czasie przyszła Cyganka, która powróżyła domownikom i niektórym widzom. Cygankę trzeba było w tym dniu zawsze czymś poczęstować, bo inaczej można było na dom ściągnąć nieszczęście.

Zespół przygotował też rozmaite potrawy, jakie jadano w tej wsi w kusaki, były więc flaki, kapusta z

grochem, słoninka z cebulą, kaszanka, boczek, kielbasa, jajka gotowane, które należało zjeść, żeby cebula i czosnek ładnie wyrosły, pączki, ciasto drożdżowe, *parzuchy* gotowane na parze. Do picia był kompot z suszonych jabłek i gruszek oraz wódka.

W Woli Serockiej w ostatki odbywał się targ, na którym okoliczna ludność sprzedawała zboże, a za uzyskane pieniądze kupowano kielbasę i boczek, które jedzono na wieczornych spotkaniach z sąsiadami. Każda gospodyni przynosiła ze sobą coś do jedzenia. Na stole znajdowała się zatem kapusta z grochem i fasolą, kielbasa, kaszanka, *parowce*, pączki, *kozy* z mąki pszennej, pierogi z grzybami i kapustą, swojski chleb, *buraczniak*, czyli chleb razowy z buraczkami, słonina z cebulą, marynowane grzyby i nalewka (te potrawy przygotowały członkinie zespołu pod kierunkiem Henryki Kublik). Przychodzili muzycy i wszyscy bawili się do dwunastej w nocy.

Tego dnia chłopcy robili różne psoty – między innymi panienkom, które długo nie wychodziły za mąż, zatykali kominy, żeby szybko wyszły z domu. Obowiązywało też wiele zakazów: m.in. nie można było prząć, bo uważano, że len będzie kusy, nie motano przędzy, aby wilki nie podchodziły do gospodarstw.

Na koniec zespół zaprezentował scenkę, w której wystąpił Żyd zajmujący się lutowaniem garnków i handlujący szmatami oraz Żydówka, która była mu winna pieniądze.

W Podcierniach był ogólnie przyjęty zwyczaj odwiedzania sa-

motnych osób w ostatnim dniu karnawału zwanym ostatkami. Każdy przynosił ze sobą coś do zjedzenia, a gospodyni zapewniała ciepłą potrawę, np. kaszę ze skwarkami i nalewkę na miodzie. Kobiety przepijały z jednej butelki do godziny dwunastej w nocy, kiedy to przychodzili po nie mężowie.

Takie spotkania odbywają się i współcześnie, tylko kobiety – jak twierdzą – nie piją tyle co dawniej, bo mężowie nie daliby rady odprowadzić ich do domu. Po powrocie gospodyni musiały dokładnie wyczyścić wszystkie garnki popiołem. We wstępną środę, po powrocie z kościoła, kobiety najmowały od bogatego chłopca konie i wóz, na który z tyłu sadzano najmłodszą mężatkę i jechały z nią przez całą wieś. Chłopcy w tym czasie zdejmowali furtki i bramy, mazali okna sadzą, a dziewczynom, które próbowały temu zapobiec, sadzami malowali twarze. Tym pannom, które nie miały chłopców, robiono kukły ze słomy.

Prezentację zakończyły dzieci przebrane w stroje cygańskie, a Cyganie chodzili między widzami i wróżyli im z ręki i z kart.

Pod koniec spotkania przy stole Zespołu Ludowego Koła Gospodyń Wiejskich z Podcierni prowadzonego przez Annę Kotuniak można było spróbować: kaszy jaglanej ze skwarkami, racuchów, pierogów z kapustą, kielbasy pieczonej, wędzonej kaszanki, chrzanu z buraczkami, sera białego, masła, chleba pieczonego w piecu, placka drożdżowego, pączków *kładzionych*, placków *siuberków* na blacie pieczo-

nych, makowca, serwatki z miodem i okowity z miodem.

Z opowiadań pań z zespołu ludowego z Mlynek można się było dowiedzieć, jak to u nich we wsi wszyscy bawili się już od tłustego czwartku. Obowiązywało też wiele zakazów i nakazów. W tym czasie nie wolno było robić wesela, bo wierzono, że *kuse* będzie życie młodych. Nie można było też prząć, bo len nie urośnie wysoki. Krawcowa nie mogła szyć, bo uszyte wówczas ubrania będą kuse. Młodzież robiła za to rozmaite psikusy: chowano wrota i furtki, zatykano kominy, rozbijano dzbanek z popiołem na środku izby. Starym kawalerom zabierano krowy, malowano im furtki i przyczepiano kloce, czyli skrawki materiałów, żeby było wiadomo, że to stary kawaler.

Prezentację zespołu zakończyło przedstawienie, w którym brali udział baba i dziad, którzy na koniec prosili o trochę grosza, a baba szukała sobie wśród widzów narzeczzonego. Członkinie zespołu przygotowały także tradycyjne potrawy ostatkowe, takie jak racuchy, chleb, placki drożdżowe, *parzaki*, czyli pączki na parze, mięso gotowane, kielbasa *palcem napychana*, kielbasa biała, wędzona, kaszanka, boczek, smalec i kompot z suszonych gruszek oraz jajecznicę, którą w tym dniu koniecznie trzeba było zjeść, żeby się kury dobrze nosły.

Natomiast we wsi Karce uważano, że w kusaki nie wolno wykonywać żadnych większych prac, bo wszystko *na kuso* będzie wychodziło. Nie wolno było w tym czasie robić wesel, bo młodym nie będzie się



Dziad i baba – przebierańcy z Mlynek



Kapela Czesława Zarzyckiego z Maciejowic

wiodło. Wierzono także, że złe duchy w tych dniach bardziej przeszkadzały niż zwykle. Był to czas, kiedy bardzo intensywnie działają złe moce, przez co ludzie często błędzili. Dlatego też po północy mężczyźni przychodzili po swoje żony, które spotykały się na „babskiej zabawie”, aby bezpiecznie trafiły do domów. Kobiety po powrocie czyściły dokładnie wszystkie garnki popiołem, bo od środy zaczynał się ścisły post. W tym okresie nie można było organizować żadnych zabaw, jedynie w śródpolcu. Wówczas tym pannom, które nie wyszły za mąż w karnawale, robiono psoty: zatykano komin słomianą kukłą albo wrzucano do izby popiół w garnku lub worku i mazano wapnem okna.

Na koniec swojego występu zespół przedstawił scenkę w formie współczesnego dialogu o tym, jak to baba, którą odgrywał mężczyzna, przychodzi do lekarza i mówi, że ją strasznie boli.

Na stole przygotowanym przez członkinie zespołu można było poprobać chleba razowego, sitkowego z burakami, kielbasy swojskiej, boczku gotowanego, żeberek, galaretki, kapusty z fasolą i grzybami, *podlasiaków*, pączków parzonych, pączków z kapustą i grzybami, jajek gotowanych, żeby się kury cały rok dobrze nosły, placka drożdżowego, kompotu z suszonych gruszek i samogonu.



Zespół z Karcz bawił publiczność scenką z cyklu „Przychodzi baba do lekarza...”

Po prezentacjach wszystkich uczestników przeglądu i widzów zaproszono do degustacji przygotowanych przez zespoły potraw.

Przekazane przez zespoły opowiadania były bardzo zróżnicowane. Wielu z widzów na pewno po raz pierwszy miało okazję zobaczyć przebierańców, którzy obecnie bardzo rzadko odwiedzają domy na wsiach podczas ostatnich dni karnawału. Przebierańcy mieli urozmaicone stroje, ciekawe rekwizyty (wóz z koniem, czy lalki kręcące się na małym wózku). Teksty w przedstawieniach były frywolne i niekiedy dosadne, co bardzo podobało się widzom. Bardzo ciekawe było przedstawienie zespołu z Karcz, w którym mężczyzna odgrywał kobiecą rolę, ale było to w tym czasie dopuszczalne, gdyż w kusaki miało miejsce wiele dziwnych wydarzeń.

Fot. Jan Adamowski



Wóz z maskarą konia – zespół z Karcz

MIECZYŚLAW KOŚCIŃSKI

Na przekór Golcom

Moje pole, żyzne pole
Dziś mnie ścierniem w stopy kole,
A tam gdzie to kretowisko,
Rosło wczoraj zboże wszystko.

Rosły owsy i jęczmienie,
Dając duszy ukojenie.
Rosło pięknie chlebne żyto,
Więc cieszyłem się z kobitą.

Że nie będą głodne dziatki,
Że wystarczy na podatki,
A gdy los się nie wygłupi,
Coś ze sprzętu się dokupi.

O przyszłości mogłem marzyć
I spokojnie gospodarzyć,
Bo gdy zboże się sprzedalo,
To na wszystko wystarczało.

Dziś podniosłem w górę ręce,
Na ruinę patrzę w męce,
Kiedy widzę to ściernisko,
Wiem, że diabli wzięli wszystko.

Błędny ognik mi się pali
W tym przeboju od górali:
Tam gdzie miały stanąć banki,
Bieda z nędzą idą w szranki.

maj 2002

JAN KOWALSKI

Jan odszedł

Przybił do belki gwiazdę
przykrył sercem Ojczyznę
rym miał na słowo każde
kochając ojcowiznę
poezją pieścił łany
w polu zbożu się kłaniał
ranną rosą skąpany
duszę chłopską odślaniał
każdą chwilą się cieszył
garściami życie zrywał
ale bardzo się śpieszył
w sercu chorobę skrywał
gdy w oczy zajrzała śmierć
nie chciał życia żałować
tylko miał jeszcze chęć
sekund kilka chorować
cicho zamknął powieki
gdy uszła dusza z niego
odszedł Jan na wieki
gdzieś do Wszechmogącego

Skromny jubileusz

Trzydzieści pięć lat temu, na Dużym Rynku w Kazimierzu Dolnym, 28 twórców ludowych miało możliwość zaprezentowania swoich wyrobów i umiejętności, co w ówczesnych czasach było jedyną formą nieskrępowanego handlu. Muzeum Lubelskie, które zorganizowało targi, było w swojej działalności osamotnione jeszcze przez rok, ponieważ w 1969 roku powstałe w Lublinie Stowarzyszenie Twórców Ludowych stało się współorganizatorem imprezy. Ta współpraca trwała nieprzerwanie do lat 80., w których Stowarzyszenie Twórców Ludowych stało się jedynym organizatorem targów. Obecnie są one jedną z najbardziej prestiżowych imprez w kraju.

Ten rys historyczny z konieczności jest tylko krótkim wstępem okazjonalnym, bo przecież przez 35 lat uzbierało się wspomnień, historii i anegdot, które wypełniłyby całą zawartość numeru, a tematem tego tekstu mają być tegoroczne targi.

XXXV Targi Sztuki Ludowej odbyły się bez żadnych uroczystości jubileuszowych, no może jedynie nowe stoiska ekspozycyjne ładnie komponujące się z kazimierskimi kamieniczkami wyglądały odświętnie. Odświętną atmosferę wprowadził pomysł powrotu do tradycji odbywania na Dużym Rynku targów i przesłuchania konkursowych jednocześnie. Umiejscowienie sceny, na której odbywały się występy festiwalowe dosłownie obok stoisk, było pomysłem trafionym, a odgłosy pracy kowala na tle występów autentycznej kapeli ludowej miało swój niepowtarzalny urok. I tak oto historia znów zatoczyła koło, a wszyscy sympatycy współczesnej sztuki ludowej podziwiając jej wytwory mogli jednocześnie słuchać i oglądać występy konkursowe. „Familijną” atmosferę wprowadził również powrót do kolejnej zaniechanej tradycji sprzed lat, a mianowicie spotkania twórców z organizatorami targów, tj. pracownikami Biura STL i KDTL.

Wspominając o wszystkich miłych akcentach, nie można pominąć jednego dużego mankamentu tegorocznych targów (szczególnie w oczach samych twórców). Mowa oczywiście o konieczności pokrycia części kosztów imprezy przez jej uczestników. Niestety, jubileuszowe targi organizowane były wyłącznie ze środków Stowarzyszenia, które niestety w tym roku są dość skromne. Organizatorzy wyrażają jednak przekonanie, że w przyszłym roku uda się zgromadzić odpowiednie środki na pełne pokrycie kosztów związanych z organizacją imprezy.

Pomimo obciążeń finansowych, które musieli ponieść twórcy, XXXV Targi Sztuki Ludowej cieszyły się bardzo dużym zainteresowaniem. Wszystkie stoiska były zajęte, a na nich można było dokonać przeglądu współczesnej twórczości ludowej. Najliczniej reprezentowana była rzeźba ludowa z głównych ośrodków rzeźbiarskich w kraju, hafciarstwo łowickie i kujawskie oraz plastyka zdobnicza i obrzędowa. Dużą reprezentację stanowili również garncarze ze słynnych ośrodków garncarskich: Urzędowa, Ostrow-

ca Świętokrzyskiego, Rejowca Fabrycznego i Odrowęża.

Dużego kolorytu ekspozycjom na stoiskach dodawały kolorowe pierniki wykonane przez Sylwię Włodarczyk ze Słupy i Macieja Kuźniarowskiego z Jarosławia oraz zabawki ludowe Teodora Bieguna z Żywca, Włodzimierza Ciszka z Ostajowa i Józefa Lasika ze Stryszawy. Doskonale prezentowało się również malarstwo Wiesławy Szymoniak z Siennicy Nadolnej i obrazy na szkle Waldemara Majchra z Olsztyna. Dodając do tego koronkarstwo, wyroby ze skóry, ludwisarstwo, wyroby z bursztynu, kowalstwo i plecionkarstwo mieliśmy obraz niemal wszystkich dyscyplin twórczych reprezentowanych w Polsce.

Po przeglądzie stoisk i prac twórców ludowych komisja artystyczna w składzie (A. Błachowski, R. Rabesko, E. Kasiborska, B. Głowacz, K. Ufnierz) postanowiła przyznać nagrody i wyróżnienia ufundowane przez ZG STL następującym osobom: Andrzejowi Słowikowi – kowalstwo, Antoniemu Kamińskiemu – rzeźba, Marianowi Opisowi – rzeźba, Annie Staniszewskiej – haft, Helenie Kamieniarz – koronka, Władysławowi Kitowskiemu – garncarstwo, Zofii Trzcionkowskiej – tkactwo i Władysławowi Ciszkiemu – zabawki.

Główną nagrodę ufundowaną przez wicepremiera, ministra rolnictwa Jarosława Kalinowskiego za najczystsze kultywowanie tradycji regionu opoczyńskiego otrzymała Zofia Pacan.

Jubileuszowe XXXV Targi Sztuki Ludowej w opinii samych uczestników były bardzo udane pod względem artystycznym i handlowym, co organizatorzy odnotowują z dużą satysfakcją. Podstawowy cel targów, jakim jest upowszechnianie współczesnej twórczości ludowej oraz umożliwienie członkom STL prezentacji jak najszerszemu gronu odbiorców swoich umiejętności – został spełniony. To wszystko napawa optymizmem, że autentyczna kultura ludowa żyje, a w przyszłości znajdą się większe środki na jej dalszą popularyzację.



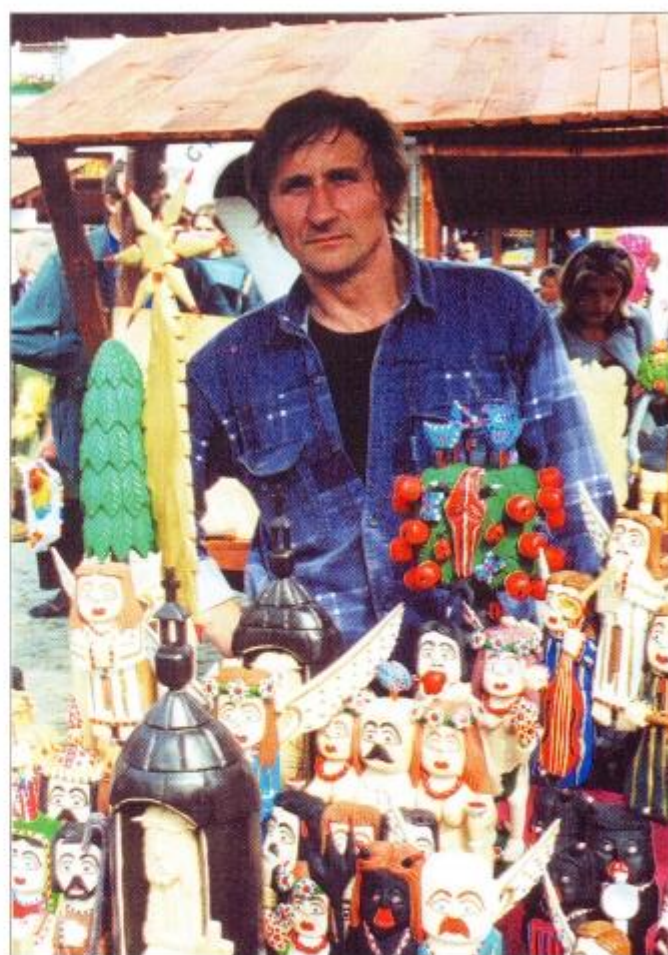
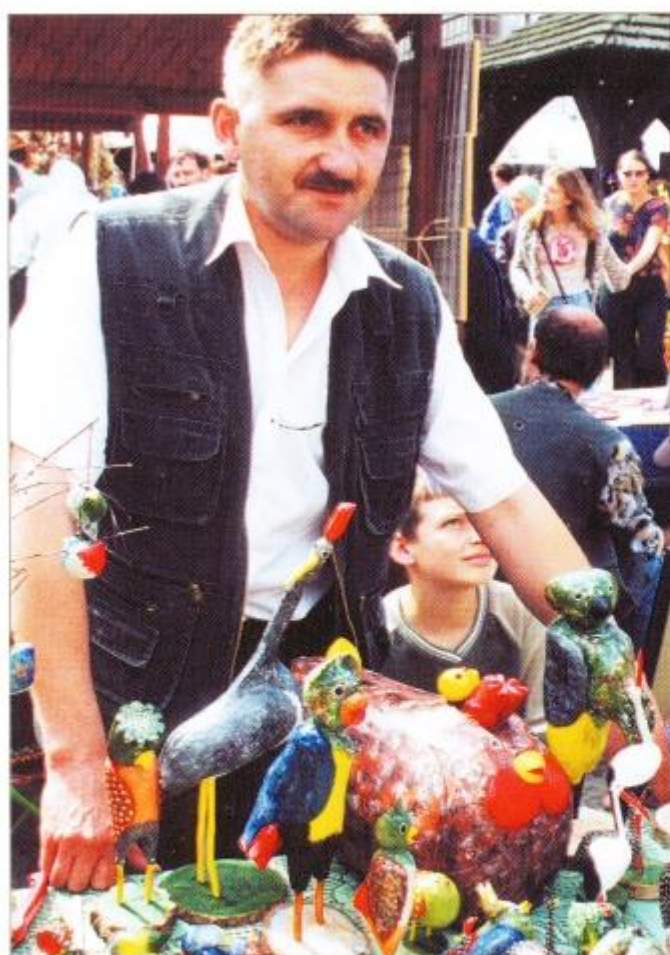
Było też coś dla ciała... Na targach można było spróbować potraw regionalnych.

Paweł Onochin

Fot. Alfred Gauda



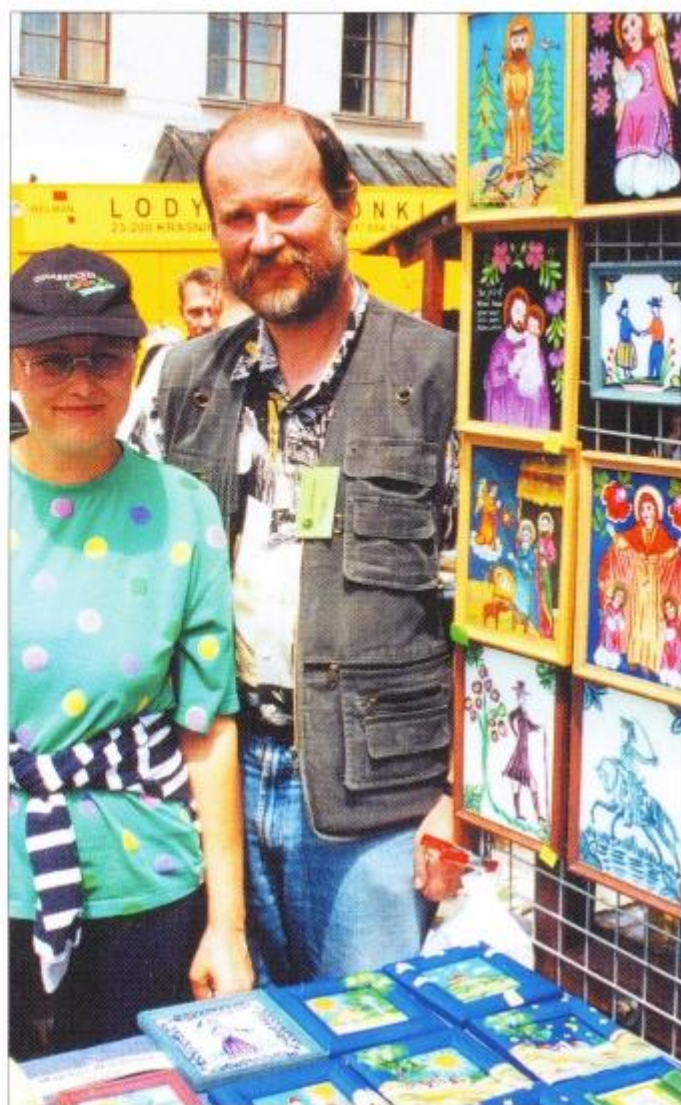
Wielkie targowanie na Dużym Rynku



Wśród uczestników tegorocznych targów było najwięcej rzeźbiarzy. Od lewej: Andrzej Graczyk z Gralewa i Jan Skóra z Krzyszkowic.



Prace Wiesławy Kucharzyk z Majdanu Kozłowieckiego.



Waldemar Majcher z Olsztyna i jego obrazki.





Pierniki z Jarosławia Sylwii Włodarczyk.



Stoisko Haliny Bąkały – plecionkarki z Gołębia.



Jak zwykle wiórowe kwiaty Marii Chaładus z Koziegłów cieszyły się sporym powodzeniem.



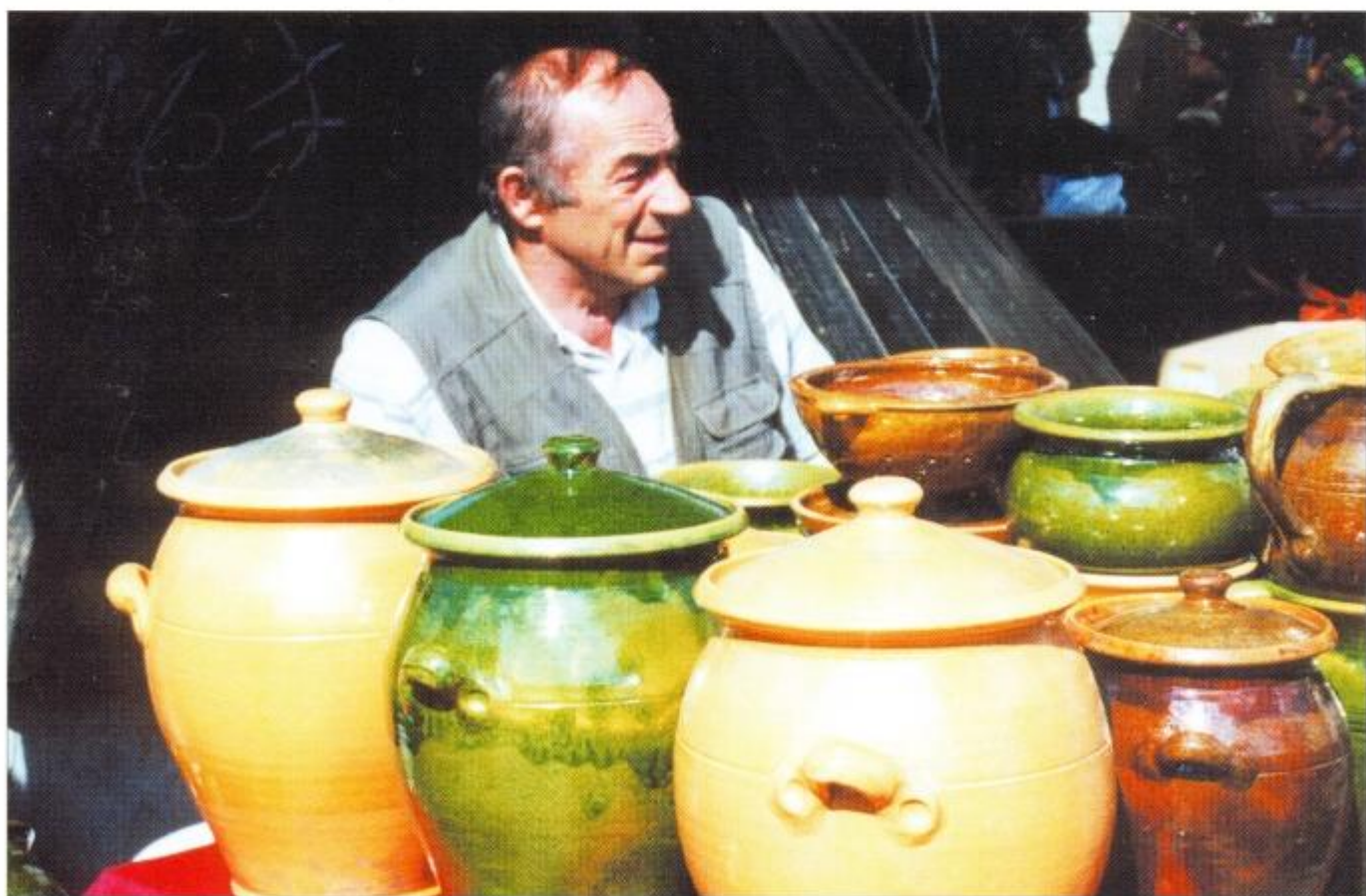
Teodor Biegun z Żywca – twórca zabawek.



Andrzej Słowik – kowal z Januszkowic.



Rzeźbiarze z Kutna: Małgorzata Skibińska i Antoni Kamiński.



Jarosław Rodak – garncarz z Rędocina.

Zdjęcia Alfred Gauda

XXXVI Ogólnopolski Festiwal Kapel i Śpiewaków Ludowych



Kapela ludowa z Gnieździsk, woj. świętokrzyskie



Zespół śpiewaczy z Zamchu, woj. lubelskie

Bogata reprezentacja tradycyjnego repertuaru

Jury w składzie: mgr Maria Baliszewska, prof. dr hab. Jerzy Bartmiński, mgr Aleksandra Bogucka, mgr Marian Chyżyński, dr hab. Piotr Dahlig, mgr Jolanta Danak-Gajda, prof. dr hab. Bogusław Linette, mgr Remigiusz Mazur-Hanaj, prof. dr hab. Jan Stęszewski – przewodniczący i mgr Halina Gaj-Godyńska (sekretarz jury) wysłuchało w dniach 28-30 czerwca 2002 r.: 26 kapel, 33 zespoły śpiewacze, 14 instrumentalistów, 25 solistów śpiewaków oraz 30 grup wykonawców w konkursie „Duży – Mały”.

Jury stwierdza, że w konkursie festiwalowym wzięło udział ponad 700 artystów ludowych z 15 województw.

Jury oceniając dobór regionalnego repertuaru, cechy regionalnego stylu oraz poziom artystyczny przyznało nagrody i wyróżnienia.

W KATEGORII KAPEL

Basztę – nagrodę główną w wysokości 2500 zł ufundowaną przez Zarząd Polskiego Radia SA Radiowe Centrum Kultury Ludowej w Warszawie dla kapeli ludowej z Gnieździsk – woj. świętokrzyskie.

Cztery równorzędne pierwsze nagrody po 1200 zł każda: w tym dwie ufundowane przez Polskie Radio SA Radiowe Centrum Kultury Ludowej, które otrzymują: kapela ludowa braci Cicheckich z Grądek – woj. mazowieckie i kapela ludowa „Grodziszczoki” z Grodziska Dolnego – woj. podkarpackie oraz dwie ufundowane przez Ministerstwo Kultury przyznane dla kapel ludowych z Rzeczyca – woj. łódzkie i z Dębna – woj. małopolskie.

Pięć równorzędnych drugich nagród po 1000 zł, w tym cztery ufundowane przez Ministerstwo Kultury, które otrzymują kapela ludowa: Stefana Nowaczka z Podłęża w woj. mazowieckim, Stanisława Stępnika z Wieniawy w woj. mazowieckim, „Albigowianie” z Albigowej w woj. podkarpackim, kapela dudziarzy wielkopolskich z Poznania w woj. wielkopolskim oraz nagroda prezesa Radia Lublin SA dla: kapeli ludowej z Goraja w woj. lubelskim.

Przyznano także trzy równorzędne III nagrody oraz cztery wyróżnienia.

W KATEGORII ZESPOŁÓW ŚPIEWACZYCH

Basztę – nagrodę główną w wysokości 1500 zł ufundowaną przez Ministerstwo Kultury jury przyznało zespołowi śpiewaczemu z Zamchu – woj. lubelskie.

Cztery równorzędne pierwsze nagrody po 1000 zł, w tym dwie ufundowane przez Ministerstwo Kultury, dla zespołów śpiewaczych: „Sielanki” z Sielca – woj. lubelskie, „Rominczanie” z Dubeninek w woj. warmińsko-mazurskim oraz nagrody Zarządu Miasta Kazimierza dla: zespołów „Modry Len” z Nowinki w woj. podlaskim i „Niedzwiedzoki” z Dębna w woj. małopolskim.

Trzy równorzędne drugie nagrody po 700 zł otrzymują zespoły śpiewacze: „Brusowianki” z Brusa Starego – woj. lubelskie. Nagrodę ufundowało Ministerstwo Kultury; z Łukowej IV w woj. lubelskim. Nagrodę ufundowała Fundacja „Cepelia”, Polska Sztuka i Rękodzieło; „Jezioranki” z Jeziorska w woj. łódzkim. Nagrodę ufundowało Polskie Radio SA Centrum Kultury Ludowej.

Dwa zespoły śpiewacze otrzymały równorzędne III nagrody oraz dwa inne wyróżnienia.

W KATEGORII SOLISTÓW INSTRUMENTALISTÓW

Nagrodę główną festiwalu – Basztę nie przyznano.

Pierwszą nagrodę w wysokości 800 zł ufundowaną przez Ministerstwo Kultury jury przyznało skrzypkowi Janowi Marcowi z Kosowy w woj. podkarpackim.

Trzy równorzędne drugie nagrody po 600 zł ufundowane przez starostę puławskiego otrzymali: Zdzisław Radzikowski z Jabłonnej Lackiej – woj. mazowieckie, Stefan Dziubiński z Radomia – woj. mazowieckie, Leon Krzos ze Zdziłowic – woj. lubelskie.

Trzecią nagrodę w wysokości 500 zł ufundował starosta lubelski dla Eugeniusza Hanejko z Sieniawy w woj. podkarpackim.

Jury przyznało trzy wyróżnienia

Nagrodę specjalną w wysokości 500 zł dla najstarszego uczestnika festiwalu ufundowaną przez audycję Polskiego Radia SA „Kiermasz pod kogutkiem” otrzymał Stefan Dziubiński z Radomia w woj. mazowieckim.

W KATEGORII SOLISTÓW ŚPIEWAKÓW

Basztę – nagrodę główną w wysokości 800 zł ufundowaną przez Polskie Radio SA Centrum Kultury Ludowej jury przyznało Zofii Warych z Piszca – woj. warmińsko-mazurskie.

Cztery pierwsze nagrody po 700 zł ufundowane przez Polskie Radio SA Radiowe Centrum Kultury Ludowej

jury przyznało: Adamowi Piotrowskiemu-Strugowi z Warszawy – woj. mazowieckie, Marii Bienias z Woli Koryckiej Górnej – woj. mazowieckie, Krystynie Ciesielskiej z Brogowej – woj. mazowieckie i Zofii Sordyl z Korbiewa – woj. śląskie.

Dwie równorzędne drugie nagrody w wysokości 400 zł otrzymały: Michalina Ładocha z Gościszowa – woj. dolnośląskie i Weronika Gwiazda z Wolkowych – woj. mazowieckie.

Dwie równorzędne III nagrody w wysokości 300 zł ufundowane przez marszałka województwa lubelskiego: Leokadia Kożuch z Woli Osowińskiej – woj. lubelskie i Helena Mikucka z Orzysza – woj. warmińsko-mazurskie.

Przyznano też cztery wyróżnienia.

W KONKURSIE „DUŻY-MAŁY”

Nagrody po 350 zł otrzymali: Władysław Szymczak z kapelą braci Banasiaków z Wielunia – woj. łódzkie, Zdzisław Marczuk z uczniami z Zakalinek – woj. lubelskie, Henryk Skotarczyk z uczniami ze Zbąszynia – woj. wielkopolskie, Edward Ignys z uczniami z Leszna – woj. wielkopolskie, Tomasz Kiciński z uczniami z Kościana – woj. wielkopolskie, Romuald Jędraszak z uczniami ze Stęszewa – woj. wielkopolskie, Waclaw Kułakowski z uczniami z Nowej Wsi Elckiej – woj. warmińsko-mazurskie i Krzysztof Trebunia-Tutka z uczniami z Zakopanego – woj. małopolskie.

Nagrody po 300 zł otrzymali: Leokadia Kożuch z uczniami z Woli Osowińskiej – woj. lubelskie oraz grupa wykonawców z Lubatowej: Marcin Cichoń, Justyna Zając, Paulina Jakiela i członków zespołu śpiewaczego „Mali Lubatowianie”.

Nagrody po 200 zł otrzymali: Andrzej Krasnopolski z Dynowa z uczniem – woj. podkarpackie, Roman Makara z uczniem z Piątkowej – woj. podkarpackie i Jacenty Ignatowicz z uczniem z Żywca – woj. śląskie.

Przyznano także 10 nagród po 100 złotych.

Nagrody w konkursie „Duży – Mały” ufundował wicepremier RP, poseł na Sejm Jarosław Kalinowski, prezes Polskiego Stronnictwa Ludowego.

Jury XXXVI Ogólnopolskiego Festiwalu Kapel i Śpiewaków Ludowych stwierdza wysoki i wyrównany poziom artystyczny, bogatą reprezentację tradycyjnego repertuaru pieśni i muzyki z prawie wszystkich województw Polski. Znalazło to wyraz w przyznaniu dużej liczby nagród, aczkolwiek niewysokich z powodu ograniczonych środków finansowych.



Jan Marzec, skrzypek z Kosowy, woj. podkarpackie



Zofia Warych, śpiewaczka z Pizsa, woj. warmińsko-mazurskie

Wielokrotnie organizowany konkurs „Duży – Mały” spowodował pojawienie się laureatów poprzednich konkursów w roli mistrzów – nauczycieli oraz reprezentujących wysoki poziom wykonawczy młodych uczniów; niestety część uczniów wystąpiło bez mistrzów. Konkurs „Duży – Mały” budzi nadzieję, że jedna z idei festiwalu – kontynuacja tradycyjnej muzyki, pieśni i gry instrumentalnej – będzie owocować w przyszłości. Jury zwraca uwagę na konieczność przestrzegania postanowień regulaminu konkursów festiwalowych, w szczególności tych, które określają prawo do uczestniczenia w festiwalowych szrankach.

Jury dziękuje wszystkim uczestnikom festiwalowych zmagani, a laureatom składa gratulacje. Organizatorom dziękuje za sprawny i niezakłócony przebieg festiwalu.

Niezawodni jak zawsze okazali się konferansjerzy – Józef Broda i Stanisław Jaskulka. Dziękujemy im za ciepłą i życzliwą prezentację ludowych artystów.

Jury ma nadzieję, że również w przyszłości władze państwowe i samorządowe oraz władze miasta Kazimierza Dolnego będą wspierać organizację festiwalu i jego uczestników reprezentujących tradycję regionalną, w przekonaniu, że ta tradycja stanowi ważną część kultury narodowej.

Zdjęcia z archiwum Wojewódzkiego Domu Kultury w Lublinie. Fot. Waldemar Nowiński i Andrzej Prokurat.



Krzysztof Trebunia-Tutka z uczniami z Zakopanego, woj. małopolskie



Zdzisław Marczuk z uczniami z Zakalinek, woj. lubelskie

KRYSTYNA PAWŁOWSKA

Samotnik z wyboru.

Tadeusz Frąckowiak (1927-2001)

Tadeusz Frąckowiak należał do najciekawszych twórców ludowych Kujaw. Urodził się w 1927 roku w Dębiankach, w rodzinie robotników bezrolnych, którzy często zmieniali miejsce zamieszkania najmuąc się do pracy w różnych majątkach ziemskich w okolicy Izbicy Kujawskiej. W 1940 roku rodzina osiedliła się na stałe w Wietrzychowicach. Tutaj upłynęło niemal całe młodsze i dojrzałe życie artysty.

Tadeusz Frąckowiak był dzieckiem o nieprzeciętnej wrażliwości, uczuciowo bardzo silnie związanym z matką. Dlatego okres wojny, podczas którego był trzykrotnie zesłany na przymusowe roboty do Niemiec, pozostawił w nim skazę do końca życia. Bolesne doświadczenia tamtych lat powracały w jego wspomnieniach, podobnie jak tragiczna śmierć ojca, tuż przed wybuchem wojny.

Po wojnie T. Frąckowiak pozostał z matką, gospodarującą na niewielkim kawałku ziemi. Dom usytuowany z dala od innych wiejskich zabudowań, zewsząd otoczony polami i graniczący z sadem, stał się prawdziwą samotnią, do której trafiali jedynie nieliczni. Sprzyjało to wyobcowaniu ze środowiska, pogłębiając z biegiem lat jego izolację od otoczenia. W takiej sytuacji zaczęły u T. Frąckowiaka pojawiać się pierwsze wizje. Podczas wiosennych prac polowych ujrzał w pobliskich topolach postać Chrystusa Frasobliwego, którego obraz wielokrotnie powracał, stając się natręctwem wewnętrznym „przymusem” skłaniającym go do rzeźbienia.

Pierwszą rzeźbą sakralną było jednak przedstawienie Chrystusa Zmartwychwstałego, wykonane z drewna na podstawie obrazka pozostawionego przez chodzącego po kolędzie księdza. Krótco potem powstały następne prace, przede wszystkim przedstawienie Chrystusa Ukrzyżowanego, którego wyrzeźbił pod wpływem dręczących go snów. Rzeźby o tematyce sakralnej wyczerpywały siły fizyczne i psychiczne artysty. Bywało, że pracując nad postacią Chrystusa Ukrzyżowanego tak silnie utożsamiał się z Jego męką na krzyżu, że poważnie zapadał na zdrowiu.

Ulubionym tematem Frąckowiaka był Chrystus Frasobliwy, którego przedstawiał w dwóch wersjach ikonograficznych: raz (według utartego schematu) z ręką podpierającą głowę, innym razem, z dłońmi splecionymi łańcuchem, spoczywającymi na kolanie. To drugie przedstawienie Chrystusa wykonywał też jako monumenty z cementu, czego przykładem jest rzeźba stojąca wiele lat przed jego domem w Wietrzychowicach, znajdująca się obecnie w Muzeum Ziemi Kujawskiej i Dobrzyńskiej we Włocławku. Inna stoi przed drewnia-



Tadeusz Frąckowiak pracuje nad rzeźbą *Jezus w Ogrójcu*. Wietrzychowice, 1986 r.

nym kościołem św. Rocha „Na Pustyni” pod Izbicą Kujawską. Obraz Boga cierpiącego i osamotnionego był artyście szczególnie bliski; wszak on sam wielokrotnie cierpiał z powodu niezrozumienia i odrzucenia przez najbliższe otoczenie.

Rzeźby o tematyce sakralnej, poza wymienionymi wcześniej, to przedstawienia Sprawiedliwego Pasterza, Jezusa w Ogrójcu, Matki Boskiej Siewnej, Matki Boskiej z Błennej czy Uciezki z Betlejem, ilościowo jednak ustępują miejsca pracom przedstawiającym obraz wiejskiego życia. Frąckowiak to przede wszystkim piewca wiejskiej tradycji, rejestrator zanikających na jego oczach zajęć, przemijających zjawisk obyczajowych, wierzeń i obrzędów. Tworząc opisywał odcho-

dzący świat, utrwalał go w rzeźbach i ujmował w wierszach. Jego poezję cechuje głęboka zaduma nad życiem, nad ludzkim przemijaniem. Jest w niej afirmacja otaczającego świata przyrody i pochwała Boskiego stworzenia. Wynikało to z jego poglądów i głębokiej religijności, którą nosił w sercu do końca życia, z pokorą godząc się na ubóstwo i niekiedy trudny los.

Ostatnie lata życia (1998–2001) spędził w Domu Pomocy Społecznej w Piotrkowie Kujawskim, gdzie zapewniono mu opiekę i stworzono dobre warunki, zainteresowano się także jego twórczością poetycką i rzeźbiarską. Zmarł 13 grudnia 2001 roku w Piotrkowie Kujawskim, w dniu, w którym krewni i pracownicy DSP uczestniczyli w wieczornicy poświęconej jego twórczości poetyckiej.

Twórczość Tadeusza Frąckowiaka „wybuchła” maglą w latach 60. i trwała nieprzerwanie do początku lat 90. Najpierw rzeźbiarzem zainteresowali się pracownicy domów kultury w Izbicy Kujawskiej i w Kole. Dzięki temu jego jedna praca, przedstawiająca kataryniarza, została w 1969 roku wysłana na Ogólnopolski konkurs sztuki ludowej do „Domu Chłopa” w Warszawie. Wyróżniona, trafiła do zbiorów Państwowego Muzeum Etnograficznego w Warszawie. Gromadzone natomiast w Izbie Regionalnej w Kole pierwsze rzeźby twórcy zasilily w połowie lat 70. zbiory Muzeum Techniki Ceramicznych w Kole. Prace te świadczą o związkach Frąckowiaka z realizmem. Postacie o drobnych sylwetkach cechuje pewien indywidualizm w wyrazie twarzy (np. „Ojciec Maksymilian Kolbe”, „Kapo z obozu”, „Diabeł grający na skrzypcach”).

W połowie lat 70. rzeźbiarz zmienia manierę, tworząc cięższe, masywniejsze rzeźby, o przerysowanych proporcjach ciała z zaakcentowaniem wydatnej głowy. Ciekawe jest to, że twarze przedstawianych postaci przypominają twarz jego matki, której śmierć w 1978 roku była dla artysty bolesnym ciosem. Tworząc, zwłaszcza postacie kobiet przy tradycyjnych wiejskich zajęciach, np. praniu, krojeniu kapusty, noszeniu wody, „okulaniu” chleba, wciąż przywoływał obraz matki, o której sam powiedział, „że jest człowiekiem w życiu niezastąpionym”.

Większość wykonanych w latach 70. prac trafiła do Muzeum Ziemi Kujawskiej i Dobrzyńskiej we Włocławku, z którym rzeźbiarz od połowy lat 70. stale współpracował. Uczestniczył we wszystkich organizowanych tam cyklicznie konkursach współczesnej sztuki ludowej, co odnotowywały informatory wystaw.¹ Chętnie



Ucieczka z Betlejem, 1978 r. Ze zbiorów MZKiD



Rzeźby przedstawiające grupę postaci zapustnych, 1984 r. Ze zbiorów Muzeum Ziemi Kujawskiej i Dobrzyńskiej

udzielał wywiadów na temat kujawskich obrzędów zapustnych², brał udział w muzealnych imprezach tematycznie z nimi związanych.³ Swoimi rzeźbami zwracał uwagę dziennikarzy⁴ oraz autorów prac o regionie.⁵

W 1985 roku, dzięki staraniem MZKiD, Tadeusz Frąckowiak, mając już na koncie wiele znaczących sukcesów, zostaje członkiem Stowarzyszenia Twórców Ludowych.

W tym jednak czasie coraz silniej dokuca mu samotność i coraz gorzej radzi sobie z codziennością. Na początku lat 90. prawie całkowicie rozstaje się z rzeźbą. Zmarł w chwili, gdy Muzeum Ziemi Kujawskiej i Dobrzyńskiej we Włocławku przygotowywano monograficzną wystawę jego twórczości.⁶ Otwarcie wystawy nastąpiło w marcu 2002 roku, a towarzyszył jej katalog⁷ omawiający życie i twórczość artysty oraz obejmujący wszystkie zgromadzone na wystawie prace.

Tadeusz Frąckowiak należał do grona tych nielicznych artystów, o których mówi się, że są samotnikami z wyboru. Twórczość, której oddawał się z ogromną pasją była w jego przypadku kompensacją braków, w tak ważnej dla człowieka sferze uczuciowo-emocjonalnej, a więc niedostatków miłości, zrozumienia i akceptacji ze strony bliskich. Sytuacja odmiennej, w jakiej pozostawał przez lata twórczego życia, choć dla niego bolesna, dawała mu prawdziwą wolność i siłę tworzenia.

Fot. Jan Sierackiewicz

PRZYPISY

1. I. Święch, *Sztuka ludowa Kujaw i Ziemi Dobrzyńskiej. Wystawa pokonkursowa*, Włocławek 1982; J. Święch, *Sztuka ludowa Kujaw i Ziemi Dobrzyńskiej. Wystawa pokonkursowa*, Włocławek 1984; K. Pawłowska, *Sztuka ludowa Kujaw i Ziemi Dobrzyńskiej. Wystawa pokonkursowa*, Włocławek 1986.

2. K. Pawłowska, *Zapusty na Kujawach. Analiza struktury obrzędu*, „Rocznik Muzealny”, t. 2, Włocławek 1989, s. 119–120, 143.

3. K. Pawłowska, *Pierwszy przegląd kujawskich grup z maskami zapustnymi*, Włocławek 1986.

4. M. Badtke, *W cieniu żalek*, „Gazeta Kujawska”, 24–26 IV, 1981, s. 5; „Włocławski Tydzień”, 1992, nr 124.

5. I. Święch, *Rzeźba współczesna. Sztuka ludowa Kujaw i Ziemi Dobrzyńskiej. Przeszłość i teraźniejszość*, oprac. zb. pod red. W. Szkulmowskiej, Bydgoszcz 1997, s. 161–162.

6. K. Pawłowska, *Wystawiennicze plany*, „Ład Boży” (dodatek do Tygodnika Katolickiego „Niedziela”), 2001, nr 47; *Ucieczka do Egiptu w legendach ludowych*, „Ład Boży”, 2001, nr 51 oraz *Ucichy dłuta, umilkły strofy*, „Ład Boży”, 2002, nr 4.

7. K. Pawłowska, *Rzeźba Tadeusza Frąckowiaka. Katalog wystawy*, Włocławek 2002.

Rzeźby Tadeusza Frąckowiaka



Sprawiedliwy pasterz, 1982 r. Ze zbiorów MZKiD



Betonowa figura Chrystusa Frasobliwego przed kościołem św. Rocha pod Izbicą Kujawską



Kobieta z nosidłami, 1976 r. Ze zbiorów MZKiD

Słomiane „cacka” Władysławy Stelmach

Idziemy wąwozem wzdłuż wsi. Po prawej stronie góry i cztery piętra lasu sięgające nieba, a każde w innym odcieniu, pagórki i znowu las. Odnoszę wrażenie, że jesteśmy gdzieś w Bieszczadach. Idziemy do wsi Niemienice, leżącej 6 km od Krasnegostawu, gdzie od 24 lat mieszka znana twórczyni ludowa Władysława Stelmach.

Z drogi idziemy pod górę do niewielkiej chaty, składającej się z dwóch izb, pokoju i przedsionka. Witają nas gołębie, fruwią nad głową i górną szczybą, siadają na ramiona i wyciągnięte ręce.

Władysława Stelmach urodziła się w 1924 roku w Poperczynie w gm. Żółkiewka. Jej matka pochodziła z bogatej rodziny, a ojciec był „słomianym artystą”. Jako dziecko sposobił ją do plecionki, ojciec zajmował się nią przy okazji świąt: robił zabawki choinkowe, gwiazdki, a w okresie wielkanocnym baranki, koszycki, wykonywał też postacie ludzkie.

Matka myślała o wykształceniu córki i pani Władysława uczyła się 3 lata w Seminarium dla Wychowawczyń Przedszkoli w Chełmie. Po wojnie przez 14 lat pracowała w przedszkolach. Pracując z dziećmi uczyła wykonywania słomianych „cacek”, które robi do dziś. Pokoik zapełniają słomiane aniołki, szopka, baranki, postacie ludzkie, krajki na kapelusze, bukiety. Wykonywała wieńce dożynkowe, flakony, pudełka, pojemniczki i kasetki.

Przy niektórych wyrobach słoma musi być barwiona: na kwiaty, zabawki choinkowe, a lalka bez kolorów to nic nie warta. No właśnie, słoma – to tak jak dla rzeźbiarza drewno, trzeba ją odpowiednio przygotować od ścięcia aż po dalszą obróbkę. Pani Władysława pokazuje pęczki słomy, a każdy inny: biały jak śnieg, złocisty jak obrączki ślubne, brązowe, ciemniejsze, dłuższe i krótsze, są cienkie i grubsze – wszystkie trzeba przebrać, każdą słomkę z osobna. Nasza twórczyni używa słomy żytniej i dla własnych potrzeb zasiewa około 5 arów. Kosi ręcznie przed 15 czerwca i od razu poddaje segregacji. Żeby uzyskać inny kolor, żyto ścina

również w sierpniu. Zanim surowiec będzie gotowy do użytku pani Władysława musi wykonać wiele czynności: moczenie, wybielanie, gotowanie, farbowanie. Po wyschnięciu słomę trzeba moczyć i prasować.



Władysława Stelmach

Fot. Edwar Pikula

Zmaganie ze żmudną pracą zajęło wiele lat życia. Dyplomy, które znajdujemy, datują się od 1974 r. (III nagroda w Konkursie na sztukę ludową środkowej Lubelszczyzny). Wcześniejsze gdzieś są, ale się zapodziały, bo W. Stelmach nie przykłada do tego wielkiej wagi. Od 1968 r. jest członkiem Krasnostawskiego Klubu Twórców Ludowych. Uczestniczyła w wielu kiermaszach i przeglądach twórczości ludowej. W latach 70. trzykrotnie brała udział w targach sztuki ludowej w Kazimierzu – po raz ostatni w 1982 r. W maju 1985 r. otrzymała dyplom i nagrodę pieniężną od ministra kultury i sztuki, a w 1999 r. dyplom uznania za długoletnią aktywność twórczą od wojewody lubelskiego.

Uczestniczy corocznie w Międzypowiatowych przeglądach twórczości ludowej w Krasnymstawie zdobywając nagrody i wyróżnienia. Nadal chętnie uczestniczy w pokazach dla młodzieży szkolnej. Syn pani Władysławy, znany plecionkarz Stanisław Kolbuch, obecny mieszkaniec wsi Iwna w gminie Dukla, przejął tę sztukę po matce. Oboje są członkami STL. Pani Władysława należy od września 1978 r. i jest jedyną twórczynią w tej dziedzinie w naszym oddziale STL i jedną z nielicznych na terenie Lubelszczyzny.

Jan Uściłiak

MARIOLA TYMOCHOWICZ



Wiślane łodzie z okolic Sandomierza

Nad Wisłą, między Józefowem a Sandomierzem, jeszcze do lat 90. XX wieku używano powszechnie łodzi zwanych puchówkami. Służyły one jako jednostki komunikacyjne oraz do połowu ryb. Ludzie przepływali się na drugi brzeg rzeki łodzią zwaną batem, a zwierzęta i większe towary przewożono dużymi promami napędzanymi długimi wiosłami puchowymi.

Dziś nad Wisłą zobaczyć można już tylko puchówki. W Kosinie (pow. Anopol) różnego typu łodzie wykonuje tylko Józef Pizior i jego syn Jarosław. Obecnie nie ma na nie tak dużego zapotrzebowania. Pan Józef w ciągu roku wykonuje tylko kilka puchówek dla okolicznych gospodarzy i trochę mniejsze łódki dla właścicieli stawów. Coraz więcej mieszkańców nadwiślańskich wiosek używa bardziej trwałych i łatwiejszych w utrzymaniu łódek z laminatu, wykonywanych w specjalistycznych zakładach szutniczych.

W rodzinie pana Józefa drewniane łodzie jako pierwszy nauczył się robić Teofil Pizior (ur. 1912 r. – zm. 1980 r.) – ojciec informatora, który będąc bardzo młodym chłopakiem wyuczył się tego fachu od szutnika Sokalskiego z Zawichostu, który wykonywał różne typy łodzi na potrzeby okolicznej ludności. Zrobione przez siebie łodzie Teofil Pizior wykorzystywał do połowu ryb na dzierzawionym odcinku Wisły. Tak też do niedawna czynił i Józef Pizior, ale stało się to nieopłacalne, a jak na połów dla przyjemności – za kosztowne.

Obecnie puchówki wykorzystywane są głównie do połowu ryb. Wcześniej łódkę taką miał prawie każdy gospodarz mieszkający nad Wisłą. Były one niezbędne podczas powodzi, które zdarzały się na tych terenach nawet do trzech razy w roku, zanim nie powstały wały przeciwpowodziowe, czy do przepłynięcia się na drugi brzeg rzeki. Dawniej więcej osób we wsi umiało wykonywać takie łodzie, ale – jak twierdzi pan Józef – nie każdy potrafił zrobić dobrą łódkę; tego samego rozmiaru prom, ale źle wykonany, przewiezie dużo mniej ludzi czy towaru i dużo trudniej będzie się go prowadzić. Dobra łódź musi mieć odpowiedni kształt, wygląd i spełniać swoje podstawowe funkcje.

Łodzie ze względu na duże rozmiary zazwyczaj wykonywano na podwórku, na dwóch specjalnych stojakach, na których wspierało się dno. Natomiast prace wykończeniowe odbywały się na dwóch drążkach podłożonych pod łódź. Obecnie pan Józef łodzie robi w murowanym budynku, dzięki czemu nie jest uzależniony od kaprysów pogody. Z narzędzi potrzebnych do pracy dawniej używano piły ramowej, którą dziś zastąpiła piła mechaniczna, siekiery oraz różnego rodzaju hebl i strug. Niektórych narzędzi, jakie posiada informator, używał jeszcze jego ojciec, a np. hebel tzw. spust musiał wykonać sam.

Przed rozpoczęciem pracy nad łodzią należy wybrać odpowiednie drewno, które ma zachowany naturalny sój. Do wykonania burt w puchówkach stosuje się naj-

część deski sosnowe o grubości 25–27 mm – jest to tzw. całówka (deska szeroka na ok. 25 mm) oheblowana lub nie. Praca nad jedną puchówką trwa 4 dni. Pierwszego dnia przygotowuje się wręgi i grotyny (elementy konstrukcyjne kadłuba łodzi), drugiego zbija się wszystkie elementy, a w ciągu dwóch następnych dni uszczelnia się łódź.

Dno robi się z dwóch albo trzech desek, które przybija się do grotyn, łódka jest wtedy bardziej stabilna i nośna. Dębowe wręgi przygotowuje się za pomocą formy zwanej śmigą, którą przykładają się do każdej wręgi, aby wszystkie tworzyły jednakowy kształt. Tylko pierwsza i siódma wręga mają mniejszy kształt. Wręgi składa się parami, a do nich przybija się deski, które tworzą burty. Dolna deska burty jest szersza i grubsza, a górna, przybita na zakładkę, cieńsza, dzięki czemu tak szybko nie zgnije. Na górę przybija się listwę z całówki, tzw. oszewkę. Dawniej deski zbijano kwadratowymi gwoździem, które często rozluźniały deski i aby tego uniknąć pod główką okręcano konopie, w ten sposób uszczelniając ją zarazem. Dzisiaj używa się okrągłych gwoździ, które należy tylko umiejętnie wbić.

Część nawodna przodu łódki zakończona jest czubem, wykonuje się go tak, żeby zwiężające się deski dochodziły do niego i tworzyły jedną całość. Sam czub zrobiony jest z litego dębu zw. odziomek, który jest najtrwalszy i nie pęka. Rąbie się go siekierą, a później wygładza dłutem. Rufę także należy zrobić z desek dębowych.

Z tyłu przed ściętą rufą montuje się najczęściej sadz, czyli pojemnik na złowione ryby, jest to deska wycięta od śmigi z zachowaniem tego samego kształtu, którą przybija się do burt. Na koniec przybija się też ławeczkę z deski dębowej lub sosnowej.

Ostatnim etapem pracy przy łodzi jest jej uszczelnienie. Pierwotnie do uszczelniania, czyli dyktowania wykorzystywano mech łąkowy, którym wypełniano szczeliny między deskami za pomocą drewnianego klina zwanego tybulcem. Następnie na wierzchu przybijano listewkę z drewna jałowcowego lub wiklinę tak zwany żabkami zrobionymi z cienkiej blaszki. Po około dwóch latach użytkowania łodzi trzeba było wymienić mech uszczelniający. Robiło się to najczęściej wcześniej wiosną przed spuszczeniem puchówki na wodę. Wów-

czas to zrywano dyktunek, wyciągano stary mech, a w jego miejsce wkładano świeżo zebrany. Później z powrotem przybijano żabkami wyschnięte listwy. Te listewki, które już nie nadawały się do dalszego użycia, wymieniano na nowe. Dzisiaj szpary uszczelnia się sznurem konopnym nasączonym smołą, a na wierzchu przymocowuje się żabkami drut grubości 3 mm, stanowi to dużo trwalsze zabezpieczenie, którego już nie trzeba wymieniać po upływie paru miesięcy.

Kiedy puchówka jest gotowa, od zewnątrz należy ją odpowiednio zakonserwować. Dawniej smarowano łódzie rzadką smołą drzewną, później używano do tego celu pokostu, a obecnie są to nowoczesne preparaty do konserwacji drewna. Pan Józef woli jednak nie stosować żadnych środków, bo to odstrasza ryby, tylko używa dobrych desek z sosny, z której nie spuszczało się żywicy. Zawierają one dużo związków smolistych.

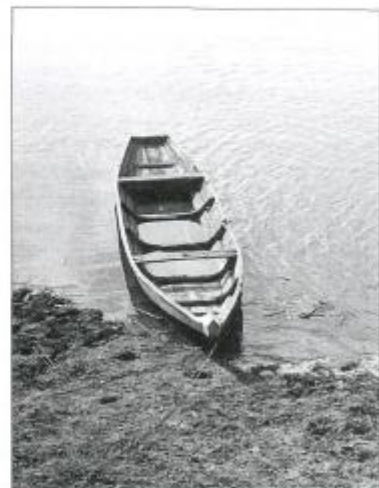
Na koniec do dziobu od zewnątrz przymocowuje się niewielką kotwicę oraz sznur do przywiązywania łodzi na brzegu, żeby nie odpłynęła. Sznur ten zakładano na pacholek drewniany lub przywiązywano do lin wkopanych w ziemię nazywanych trupami. Każda łódź musiała być zaopatrzona w drewniany czerpak do wybierania wody. Robiono go z drewna lipowego lub topolowego. W zimie, kiedy na Wiśle pojawiał się pierwszy lód, gospodarze wyciągali łódki koło wałów, kładąc je dnem do góry, żeby późniejsze roztopy ich nie zatopiły.

Zazwyczaj puchówki mają 7 m długości, a w najszerszym miejscu 1,30 m. Łódki używane na stawach i jeziorach robi się nieco mniejsze, 5 metrowe, o szerokości 1,5 m i szerszym dziobie. Można je było nawet przewozić na furmance. Jednak ich trwałość, jak twierdzi pan Józef, jest dużo gorsza, łódzie na rzece są ciągle obmywane, a to spowalnia ich niszczenie. Trwałość ocenia się na 7–10 lat, jeśli nie leżą za długo nad brzegiem, bo to wzmacnia szybsze gnienie desek. Natomiast łódki używane na wodach stojących wytrzymują zaledwie 4–5 lat.

Niektórzy rybacy w puchówkach dodatkowo montowali maszt z żaglem, aby przy sprzyjającym kursie wykorzystać siłę wiatru. Wówczas w przedniej części łodzi układali ławeczkę, która w środku miała otwór na maszt, a pod nią było zrobione gniazdo, w które wkładali dolną końcówkę masztu.



Takie łódzie nad Wisłą można było spotkać 30 lat temu.



Fot. Alfred Gauda



Od wiosny 2001 roku łodzie wykonane przez Józefa Piziora można oglądać w Muzeum Wsi Lubelskiej w Lublinie.

Fot. Krzysztof Wasilezyk

Grotzagiel, rozciągnięty pomiędzy masztem i przymocowanym do niego pod kątem prostym bomem, wykonany był z płótna lnianego. Do żagla przywiązane były dwa sznurki, które umożliwiały poruszanie grotem.

Do przewozu bydła, wozów, większej ilości towarów stosowano duże promy. Łódź ta miała kształt prostokąta zwięzającego się ku rufie i dziobowi. Budowano je z dębowych bali, które są może mniej wytrzymałe, ale mają za to dobrą „pływalność”. Niektórzy wiejscy szkutnicy wykonywali promy z bali sosnowych, ponieważ materiał ten był dużo tańszy. Wręgi zawsze robiono z drewna dębowego. Jest ich dużo więcej i mają inny kąt nachylenia niż te stosowane w pychówkach. Przeważnie cztery ostatnie wręgi przy rufie są nieco dłuższe i służą jako dulki, o które opiera się wiosło – ster, kiedy woda jest za głęboka. Dno składa się z 6-8 desek, a burtę z 2 desek. Do uszczelniania używano pakul lnianych lub konopnych. Długość takiego promu wynosi ok. 12 m, szerokość 3-3,5 m, a zanurzenie części nadwodnej ok. 60 cm.

W takiej łodzi można było przewozić do 3 ton towaru. Kiedy przybijano do brzegu, rozkładano specjalny mostek na przyczółku, po którym schodziło się bezpośrednio na ląd. Prom, aby nie odpłynął od brzegu przywiązywano do drzew, dużego głazu, wbitego żelaznego pręta z uchem czy grubego kołka linami zwanymi cumami lub łańcuchem. Tylko w okresie zimowym i podczas powodzi promy wyciągane były na brzeg. Taki prom wykonują 2-3 osoby w ciągu półtora do dwóch tygodni.

Natomiast łodzie do przewożenia ludzi nazywano batami. Miały one specjalne ławki z oparciem wzdłuż burt. Jednorazowo można było przewieźć 20-30 osób. Łodzie wykonywano z drewna sosnowego, gdyż było dużo trwalsze. Miały podobną konstrukcję jak pychówki, były tylko dłuższe – 12 m i o wiele szersze – 2,20 m, a na rufie zrobione było wgłębienie na wiosło wspomagające sterowanie. Baty przy dziobie miały także umocowaną kotwicę, tylko znacznie większą.

Wiosła jednopiórowe wykonuje się z drewna sosnowego, dębu i jesionu, który jest stosunkowo lekki i sprężysty. Rzadziej stosuje się drewno świerkowe, które w wodzie szybciej gnije, bo zawiera mniej związków smolistych. Wiosło pychowe ma długość ok. 3,20 m, z tym że pióro (część zanurzana w wodzie) ma długość ok. 1-1,10 m, w zależności od tego, gdzie jest używane – czy na burcie na rzece, czy w płytszych wodach. Szerokość pióra wynosi ok. 9-10 cm, a grubość rękojeści 5 cm. Na końcu pióra okuwa się żelazną skuwką z ostrogami, żeby wiosło nie ślizgało się podczas odpychania od dna. Na drugim końcu wiosła jest jamerko – poprzecznie zamocowana deseczka o zaokrąglonych kształtach dopasowana do dłoni, ułatwia odpychanie od dna.

Wiosła do promów wykonuje się z drewna sosnowego i różnią się one tym, że mniej więcej w połowie rękojeści mają zgrubienie, które wkładało się między wręgi wystające z obu stron promu. Na końcu pióra jest także okute, żeby się nie rozszczepiało. Czasami robiono dla dobrego przewoźnika promowego trzecie wiosło z nieco szerszym piórem, które służyło do sterowania łodzią.

Prawdopodobnie drewniane łodzie i promy niedługo całkowicie znikną z krajobrazu wiślańskiego. Większość gospodarzy sprzedała łąki na wiślanych wyspach, gdyż za dużo czasu i wysiłku kosztowało ich przetransportowanie zwierząt na nie. Przystano więc używać promów, a pychówki zastąpiono trwalszymi łodziami z laminatu, których też nie ma za dużo, ponieważ obecnie mieszkańcy nadwiślańskich wiosek, jeśli nie posiadają specjalnego zezwolenia, nie mogą łowić ryb. Od wiosny 2001 r. wszystkie opisane typy łodzi można zobaczyć i przepłynąć nimi w Muzeum Wsi Lubelskiej w sektorze Powiśle. Wykonał je Józef Pizior z Kosina.¹

PS. Czytelnikom zainteresowanym ludowym sztuknictwem polecamy książkę J. Litwina, *Polskie sztuknictwo ludowe*, Gdańsk 1995 r.

¹ Informacje przedstawione w tekście pochodzą z wywiadu przeprowadzonego przez autorkę z Józefem Pizorem.

ANETA DERKACZ

Życie na wodzie

Zaraz po zakończeniu II wojny mieszkańcy Krościenka i okolic zatrudniali się przy spławie drewna. W tym okresie była to jedyna forma zarobku, więc nikt nie pytał o bezpieczeństwo wyprawy i nie sprzeciwiał się minimalnym zarobkom. Górale tratwami o szerokości czterech metrów i długości dwudziestu transportowali czterdzieści kubików drewna. Wyprawę flisacy rozpoczynali w Pieninach, a kończyli w małych miejscowościach nieopodal Kielc.

Dwa tygodnie na tratwie

W Krościenku znajdowały się dwie składnice drzewa. Z grywałdzkich i szczawnickich lasów zwożony był towar na flis. Pierwsza przystań znajdowała się naprzeciwko nieistniejącej już Kaplicy Dobrego Pasterza, druga nieopodal starego kościółka w rynku.

– W jednym dniu pracowaliśmy przy budowie tratw, żeby następnego ranka ruszyć z towarem – wspomina Antoni Kotreba z Krościenka. – Na każdą zbijaną łódź szedł ładunek, przeważnie deski lub płyty służące do pokrycia dachu. Zawsze dokładnie przygotowaliśmy tratwy do podróży. Na każdej łodzi budowaliśmy tzw. jatkę, którą wykładaliśmy kamieniami i darniną po to, by w czasie wyprawy rozpałać ognisko. W tym miejscu gotowaliśmy posiłki i ogrzewaliśmy się podczas chłodu. Nie zapomnę pierogów, które Franciszek Gawel gotował na tratwie.

Często dwa tygodnie trwał dowóz towaru do Szczucina, Korczy na lub Winiar. Dla flisaków wyprawa była zawsze ciężką pracą. Za każdym razem podczas spławu górale, gdy dopływali do brzegu w Bartkowej (miejsca w okolicy Gródka n. Dunajcem), rozbijali tratwę, którą następnie wynajęte furmanki dowoziły do oddalonego o 6 km Rożnowa. Po dotarciu na miejsce flisacy ponownie zbijali tratwę i wypływali na jezioro. Kolejną prze-



Drewna Dunajcem już się nie spławia. Teraz tratwami płyną turyści

Fot. Alfred Gauda

szkodą do pokonania była zapora. To właśnie w Czchowie, gdzie rozpoczęto budowę tamy, flisacy każdą łódź opuszczali na linach do wody. Kiedy już tratwa wypływała na tafle jeziora, jeden z flisaków (najczęściej pomocnik) płynął po nią i holował do brzegu. Tam już czekał na niego wspólnik. Flis na Wiśle górale rozpoczynali w Opatowie, gdzie po pokonaniu kilku kilometrów w wyznaczonym miejscu rozładowywano drewno. Równie trudna droga powrotna. Dla flisaków droga powrotna. Jak wspominają, w Bursowej, nieopodal składowanego drewna, znajdował się przystanek, kursował tylko jeden autobus do Tarnowa. Jeśli flisak nie rozładował drzewa na czas, musiał piechotą wracać do miasta.

Państwowa praca

Spław flisaków po Wiśle trwał do czasu, kiedy została uruchomiona zapora w Czchowie. W 1949 roku handlującym drewnem przestało się opłacać dowozić je furmankami do Kielc. Koniec prywatnego spławu nie oznaczał jednak końca flisu na Dunajcu. W 1950 roku firma „Pagiet” rozpoczęła nabór chętnych do spławu drzewa. Pierwsza państwowa przystań znajdowała się w Czorszynie, druga na Piaskach w Szczawnicy, a kolejne w Krościenku, Tylmanowej i Jazowsku. Drewno górale zwozili do Marcinkowic,

gdzie przerabiane w tartaku pociągiem docierało do odbiorcy.

– Rocznie ze składnicy na Piaskach odpływało 16 tys. kubików drzewa – twierdzi Władysław Biel. – Pracowaliśmy wtedy przy zbijaniu tratwy w osiem osób. Jednego dnia wspólnie przygotowaliśmy do spławu 4 tratwy. Podczas pracy nigdy nie wiedzieliśmy komu przypadnie dana tratwa. Dopiero po skończonej pracy ciągalimy losy i każdy otrzymywał łódź dla siebie.

Trasa do Marcinkowic wcale nie była łatwiejsza. Flisacy zazwyczaj rozpoczynali pracę wczesną wiosną, gdy tylko lód ustąpił na Dunajcu i pływali do późnej jesieni. Podczas sezonu zdarzały się miesiące, kiedy drewno czekało na spław z powodu niskiego stanu wody w Dunajcu. Jak wspominają, trasę z Krościenka do Marcinkowic można było pokonać w dwa dni. Zdarzały się jednak takie dni, kiedy tę samą trasę flisacy przepływali w ciągu kilku godzin.

Być flisakiem

W wodzie spławiający budowali tratwę, bo tylko w niej bez trudu można było układać drzewo. Na środek łodzi wybierali zawsze najdłuższe pnie, a po bokach układali najkrótsze. Z przodu tratwy (tak jak podczas spławu po Wiśle) stała osoba doskonale znająca koryto rzeki. Nad tyłem łodzi miał pieczę „col-

nik", który przy pomocy drugiego steru, tzw. pajdy czuwał nad tratwą.

Do pracy w państwowej firmie najchętniej przyjmowano osoby pochodzące z rodzin flisackich. Osoba chętna do pływania przez 37 miesięcy pobierała naukę pod okiem retmana. Po okresie próbnym pływający występował z prośbą o wydanie uprawnienia do Rejonu Dróg Wodnych w Tarnowie, gdzie otrzymywał patent retmański. Posiadacz zezwolenia mógłby samodzielnie kierować tratwą oraz dodatkowo przygotowywać nowych kandydatów do pracy.

Często zdarzały się wypadki na wodzie. Spławiane drewno niejednokrotnie uderzało o kamienie lub koryto rzeki, co niszczyło tratwę. Wtedy flisacy w wodzie odbudowywali łódź. Jednak zdarzały się i takie przypadki, kiedy flisacy ratując swoje życie tracili towar i dryfowali do brzegu na kilku belkach.

Praca na bindugach flisackich na Piaskach zakończyła się w 1973 roku, po tragicznej śmierci kierownika Stanisława Głuca. W przeszłość odeszły pracujące na wodzie rodziny Surowiaków, Walkowskich, Salamonów, Gawłów, Jankowskich oraz Gabrysiów.

Przygoda z filmem

Z dużym sentymentem flisacy z Krościenka wspominają ostatni spływ. Pod koniec lat 80. specjalnie dla filmu zasiedli za sterami tratw. Realizacja węgiersko-francuskiego obrazu *Flisacy*, była dla górali prawdziwym sprawdzianem umiejętności. Tym razem zmierzali się nie tylko z wodami w Pieninach, ale również Sanu i Cisy na Węgrzech.

– Kiedy ktoś z ekipy filmowej zadzwonił do mnie i zaproponował udział w filmie, zawahałem się – opowiada Władysław Biel, flisak z Krościenka. – Jednak nie mogłem odmówić udziału w zdjęciach, gdy usłyszałem jak długo poszukiwano właściwych osób do pływania. Wspólnie z Antonim zgodziliśmy się na angaż. Jak się potem okazało, czekało na nas dużo pracy. Zdjęcia trzeba było powtarzać wiele razy, a puszczoną tratwę nie można było cofnąć pod prąd rzeki. Dodatkowym dla nas zadaniem było przeszkolenie do flisu aktorów. Siedząc na drewnianych belkach, z ukrycia podpowiadaliśmy grającym, co mają robić w danym momencie. Nigdy nie zapomnę tej przygody – kończy pan Władysław.

LUCJA KONDRATOWICZ-MILISZKIEWICZ

MIECZYŚLAW KSENIAK

GRZEGORZ MILISZKIEWICZ

Ekspozycja na Lubelszczyźnie.

Wieś, dwór, miasteczko – to historia naszych „małych ojczyzn” i niezmiernie skarbica narodowych wartości. Dziś, gdy dziedzictwo kulturowe jest obligatoryjnym składnikiem programu nauczania w szkole podstawowej i gimnazjum, jeszcze raz stawiamy sobie zasadnicze pytanie: Jak je chronić, by kreować walory edukacyjne, jak prezentować, by po prostu cieszyło nam współczesnych i następne pokolenia? Jedną z najpełniejszych metod pielęgnowania i przekazywania obrazu przeszłości są muzea na otwartym powietrzu.

Wykorzystując dorobek europejskiego muzealnictwa na wolnym powietrzu twórcy oraz realizatorzy założeń programowych i koncepcji zagospodarowania przestrzennego Muzeum Wsi Lubelskiej zadbali, aby pokazać w formie ekspozycji skansenowskiej kulturę materialną

(w tym najbardziej widoczną architekturę) najważniejszych warstw i grup zawodowych społeczności wiejskich i miasteczkowych na Lubelszczyźnie w końcu XIX i w XX wieku. Obok bogatej reprezentacji historii kultury wsi, wyeksponowanej w trzech udostępnionych już



Elewacja frontowa dworu z gazonem i podjazdem, sierpień 2000 r.

Fot. Krzysztof Wasilczyk

kultury ziemiańskiej

Dwór z Żyrzyna i ogród dworski

w Muzeum Wsi Lubelskiej



Dwór z Żyrzyna *in situ*. Fotografia archiwalna z ok. 1939 r. Autor nieznany, zbiory IS PAN.

publiczności sektorach wiejskich: „Wyżyna Lubelska”, „Roztocze” i „Powiśle”, zaplanowano ekspozycję muzealnego handlowo-rzemieślniczoro-rolniczego miasteczka z czasów II Rzeczypospolitej oraz sektor dworski jako ekspozycję kultury ziemiańskiej na Lubelszczyźnie.

Architektura polskiego dworu i życie codzienne ziemian było zawsze ważnym tematem dla Muzeum Wsi Lubelskiej. Gdy zakłada-

no lubelski skansen na Kalinowszczyźnie, jedynym obiektem, który udało się przetranslokować i tam posadowić był właśnie dwór – Wincen-tego Pola z dawnego podlubelskiego folwarku Firlejowszczyzna. W 1975 r. przeniesiono Muzeum Wsi Lubelskiej na przedmieście Lublina, na teren historycznej wsi i majątku Sławin, związany tradycją miejsca z dworem, parkiem i folwarkiem o tej nazwie, należącym do

reformy rolnej w 1944 r. do rodziny Krychowskich.

Dziś, z perspektywy lat, uważamy, że zapewne najwspanialszym rozwiązaniem byłoby urządzenie ekspozycji zespołu dworskiego odwzorowującej wystrój wnętrz i różne aspekty życia toczącego się w tym dworze, ukazującej majątek ziemski w stanie jakby ograniczonego muzealnego funkcjonowania. Członkowie rodziny Krychowskich

są od dawna zaprzyjaźnieni z Muzeum Wsi Lubelskiej, a muzeum pieczołowicie gromadziło przez lata pamiątki związane z różnymi aspektami działalności społeczno-gospodarczej tej rodziny w pierwszej połowie XX w. Niestety, w murywanym dworze sławińskim mieszka do dziś kilkanaście rodzin, a budynki pofolwarczne stanowią dla muzeum od przeszło ćwierć wieku niezastąpione zaplecze techniczne i magazynowe.

Historia realizacji sektora dworskiego potoczyła się więc zupełnie inaczej. Zaplanowano go w sercu lubelskiego skansenu między położonymi na wysoczyźnie sektorami Wyżyny Lubelskiej, miasteczka i Roztocza, a muzealnymi wsiami przewidzianymi poniżej w dolinie Czechówki. Spośród wielu zagrożonych i ginących od 1944 r. drewnianych dworców Lubelszczyzny, translokowano obiekt nietypowy, kłopotliwy w realizacji ekspozycji, ale jeden z najpiękniejszych nie tylko na ziemi lubelskiej.

Historia prac przy dworze z Żyrzyna na przestrzeni ostatnich trzydziestu lat, od chwili gdy wytypowano obiekt do przeniesienia do skansenu, po dzień dzisiejszy, jest doskonałą wykładnią ewolucji poglądów muzealników w muzeach na otwartym powietrzu. W parę lat po wytypowaniu dworu, architektki, etnografowie i historycy kultury materialnej, tworzący na przełomie lat 70. i 80. w lubelskim skansenie muzealną wieś Wyżyny Lubelskiej, uznali rolę walorów estetycznych eksponatów za podrzędną. Bo piękno i harmonia współistniały z przeciętnością i brzydotą, a wszystkie te kategorie były tylko pochodną roz-

maitych wydarzeń osnutych wokół losów i decyzji „szarych” ludzi niegdyś zamieszkujących lub użytkujących budynki przeniesione do lubelskiego skansenu. Dostrzeżono, że tylko aranżacje oparte na odwzorowywaniu konkretnych historycznych wnętrz z czasów sięgających nie dalej niż 2-3 pokolenia wstecz, a więc w zasięgu ludzkiej pamięci, dają możliwość wszechstronnej edukacji muzealnej. Ekspozycje mające odwzorowanie wnętrza np. XVIII- i XX-wieczne są delikatnie mówiąc pustawie, bo tworzone bez możliwości oparcia się na odpowiednio szczegółowych źródłach i w sytuacji niezachowania się do dziś wielu kategorii zabytków z tamtych czasów.

Dwór z Żyrzyna w historii polskiej architektury jest obiektem unikalnym zarówno pod względem oryginalnego układu przestrzennego, odmiennego od współczesnych mu siedzib ziemiańskich jak i wyjątkowych walorów artystycznych. Nie można go jednoznacznie zaliczyć do któregoś z wymienionych nurtów architektury epoki, w której powstał. Pod względem stylistycznym łączy klasycystyczny plan z późnobarokową bryłą.

Ta urokliwa budowla od połowy XIX w. nie była już mieszkaniem rodziny ziemiańskiej. Niepowtarzalność obiektu nie pozwoliła muzealnikom na wkomponowanie tam właściwego programu odwzorowania wyposażenia konkretnych wnętrz mieszkalnych wybranej historycznej rodziny ziemiańskiej. W latach 80. podjęto więc w Muzeum Wsi Lubelskiej salomonową decyzję – dwór będzie miał wystrój wnętrz z wybranego okresu z pierw-

szej połowy XX w. odwzorowujący model-strukturę średniozamożnej siedziby ziemiańskiej na Lubelszczyźnie z tego okresu.

Równie poważny problem ekspozycji stwarzało otoczenie budynku dworu, przede wszystkim ogrodu z układem komunikacyjnym. Założenie i realizacja stanowiły tu swoisty kompromis pomiędzy ukształtowaniem terenu, dotychczasową roślinnością i warunkami glebowymi tej części skansenu, wzorcami kulturowymi parków i ogrodów ziemiańskich na Lubelszczyźnie, a pragnieniem jednoczesnego pokazania zjawisk z zakresu małej architektury ogrodowej, typowych choć naturalnie rzadko spotykanych w tak intensywnym współwystępowaniu w parkach średniozamożnego ziemiaństwa.

Wnętrza dworu i ogród są modelem edukacyjnym. Mieszkanie średniozamożnej rodziny ziemiańskiej na Lubelszczyźnie w przededniu wybuchu II wojny światowej ukazane jest ekspozycją 12 pomieszczeń: salonu, pokojów – stołowego, gościnnego, chłopięcego, kredensowego oraz sypialni, garderoby, gabinetu, biblioteki, hallu, sieni parkowej i ogrodowej.

Scenariusz stanowi plon szczegółowych wywiadów z przedstawicielami środowiska ziemiańskiego. W aranżacji wyeksponowano zarówno przedmioty XIX-wieczne, w tym pamiątki szlacheckie współtworzące decorum jak i współczesną warstwę kulturową reprezentowaną przez wyroby fabryczne z końca lat 30. XX w., pokazujące ówczesny charakter konsumpcji dóbr materialnych i duchowych w środowisku ziemiańskim.



Dwór z Żyrzyna – gabinet i sypialnia, luty 2001 r.



Fot. Henryk Guz



Scenki z epoki we dworze z Żyrzyna, 16 września 2001 r. na „Paradzie rzemiosł...”

Fot. Krzysztof Wasilczyk



Inscenizacja noworocznych powinszowań ze zwierzętami, tzw. obory, 20 stycznia 2001 r. podczas uroczystości otwarcia ekspozycji sektora dworskiego.

Fot. Krzysztof Wasilczyk

W 1998 r. podjęto też konsekwentnie decyzję o dostosowaniu budynku i wnętrza do uzyskanego drogą badań historycznego modelu z końca lat 30. XX w., likwidując powierzchną stylizację detali „na XVIII wiek”, którą dwór otrzymał bezpośrednio po posadowieniu w skansenie. Modrzewiowe drzwi i stolarkę okienną pomalowano na biało farbą olejną, „kowskie” szlidy i klamki wymieniono na mosiężne eklektyczne i modernistyczne z 1-4 dekady XX w., położono odpowiednio parkiety. Salon otrzymał kolor szaropercowy, bardzo modny w dworach Lubelszczyzny, gabinet i biblioteka – zielony, pokój chłopięcy – higieniczny niebieski. Ztelefonizowano i – już ze względów użytkowych – zelektryfikowano dwór, co daje możliwość pełniejszego funkcjonowania ekspozycji w godzinach wieczornych, np. organizowania koncertów, działań parateatralnych, spotkań środowiskowych.

Pieczę, w większości z przełomu XIX i XX w., jeszcze przed 1998 r. udało się szczęśliwie skompletować pochodzącymi z dworów na Lubelszczyźnie, zaś klasycystyczny kominek odtworzono według dawnego żyrzyńskiego, na podstawie zachowanej dokumentacji.

Podstawowym obiektem organizującym kompozycję i styl ogrodu był translokowany dwór. Obszar sektora (ok. 4,2 ha) podzielono w taki sposób, że w części centralnej mieści się ogród górny z gazonem przed głównym wejściem do dworu, z parterami, ogrodem ziołowym, a w dolinie Czechówki ogród dolny. Duży nacisk położono na dobór małej architektury, rzeźby ogrodowej i wyposażenia ruchomego ogro-

du. Są tu m.in. kamienne schody, krzyże – kopia dziękczynnego z Leokadiowa oraz symboliczny powstańczy brzoźowy – stół kamienny z Kamionki, kopie wazonów z Jabłonnej, oryginalny wazon z Piotrowic, bujanka odtworzona na podstawie ryciny w cenniku-katalogu z 1927 r. Aktualnie wykonywana jest kopia kamiennej figury Matki Boskiej fundowanej w Stryjowie dłuta Stanisława Poszeleźnego, według projektu Feliksa hr. Smorczewskiego, właściciela tamtejszego majątku. Akcenty żyrzyńskie reprezentują: oryginalna dwukolowa pompa studzienna warszawskiej firmy „Troetzer Co” i drewniane ławki ogrodowe, odtworzone na podstawie archiwalnych zdjęć dworu z lat 30.

Dwór jest miejscem zajęć muzealnych dla młodzieży i wydarzeń parateatralnych. Autorzy scenariuszy ożywiania tego modelowego mieszkania ziemiańskiego, a także ogrodu, zawsze możliwie ściśle opierają się na źródłach. Inspiracji dostarczyło tu odkryte w czasie naszych badań terenowych w 1989 r. tzw. archiwum rodzinne Romana Raciszewskiego, lekarza-ziemianina z Uchań. Szerokie spektrum informacji źródłowych i zachowane zabytki, np. rysunki dziecięce, gry, zeszyty szkolne, wypracowania szkolne, księga wydatków domowych z lat 1926-1935 oraz rozmaite wypełnione druki z zakresu prowadzenia rachunkowości majątku ukazały wiele aspektów życia codziennego w uchańskim dworze w czasach II Rzeczypospolitej. Wspólnymi informatorami w dziele ożywiania dworu są przyjaciele muzeum, członkowie rodzin ziemian-

skich i osoby bywające przed 1945 r. w majątkach na Lubelszczyźnie, np. Zbigniew Janistawski, syn dziedzica w Woli Żółkiewskiej, Danuta de Tramecourt, córka ostatniego przedwojennego wojewody lubelskiego oraz Barbara Rzączyńska spokrewniona ze wspomnianymi już Krychowskimi.

20 stycznia 2001 r. podczas uroczystości otwarcia sektora dworskiego przed dworem pracownicy muzeum zainscenizowali obrzęd noworocznych powinszowań od służby z udziałem zwierząt, czyli tzw. obory, a w chwilę później niemal w każdym pomieszczeniu dworu blisko 20 aktorów-amatorów, od przedszkolaków po nestorów lubelskiego środowiska ziemiańskiego, przez godzinę odgrywały scenki z życia codziennego w latach 30.

Zaprzyjaźnione placówki – Muzeum Zamojskich w Kozłowie i Muzeum Lubelskie – wsparły ekspozycję dziełami z zakresu malarstwa i ceramiki artystycznej. Prace związane z przygotowaniem dworu i ogrodu wspomógł finansowo Urząd Marszałkowski. Swoje rodzinne pamiątki do kolekcji w dworze przekazali m.in. Rafał Smorczewski i Wojciech Fudakowski, ziemianie przebywający w Wielkiej Brytanii.

Ekspozycja sektora-zespołu dworskiego z końca lat 30. XX w. zrealizowana metodą modelową, z pewnymi cennymi wątkami idiograficznymi, jest próbą wystawienia tej warstwie społecznej swego pomnika pozwalającego dziś i w przyszłości przyswoić publiczności prawidłowy ogólny obraz ideałów i życia codziennego średniozamożnego ziemianstwa Lubelszczyzny.

MARTA WÓJCICKA

Misja „Wólczanek”

Ta niewielka publikacja wydana przez Markuszowskie Towarzystwo Regionalne, której tytuł jest fragmentem jednego z utworów poetki ludowej Krystyny Poczek, dotyczy historii powstania i działalności Zespołu Pieśniaczego z Wólki Kątnej. Pozycja ta wpisuje się w działalność oficyny wydawniczej Wojewódzkiego Domu Kultury w Lublinie, która (jak czytamy na jego stronie www) „prowadzi unikatową w skali kraju działalność wydawniczą poświęconą wybitnym ludowym zespołom śpiewaczym, z ich repertuarem (teksty + nuty utworów), historią miejscowości, charakterystyką gminy oraz prezentacją śpiewaków i śpiewaczek”. W tym cyklu wydawniczym opracowań docze-

kały się: Zespół śpiewaczy z Talczyzna (gmina Kock) oraz Zespół śpiewaczy i kapela z Jezioran. Podobną strukturę ma również zbiór *Tam na Podlasiu. Pieśni ludowe z gminy Borki i ich wykonawcy* opracowany przez Jana Adamowskiego.

Zarówno recenzowana pozycja, jak i pozostałe wymienione wyżej skierowane są do szerokich kręgów odbiorców zainteresowanych działalnością i twórczością wiejskich zespołów śpiewaczych. O *Tobie ziemio nasza* zawiera kolejno: legendę o powstaniu wsi Wólka Kątna, historię wsi a na jej tle również historię samego zespołu „Wólczanki”, opis działalności teatralnej zespołu w rozdziale zatytułowanym *Wieś teatrem śpłynąca* oraz sylwetki obecnych

i wcześniejszych członków zespołu. Szczególne miejsce poświęcone jest poetce Krystynie Poczek, założycielce zespołu i wieloletniej jego kierownicze. Jej niezwykle zaangażowanie w organizowanie życia kulturalnego swojego środowiska interesująco opisał Jan Adamowski. Pozycja zakończona jest wyborem 16 pieśni z nutami oraz wyborem wierszy Elżbiety Wójtowicz – córki i następczyni Krystyny Poczek. Wyboru i transkrypcji pieśni dokonał Jan Adamowski przy udziale Anny Michalec (transkrypcje melodii), a pochodzą one z dokumentacji zgromadzonej przez J. Adamowskiego w latach 1987–1988.

Zespół „Wólczanki” pielęgnuje silną i głęboką więź ze swoją „małą ojczyzną”. „Jej piękno, tradycja były niewyczerpanym źródłem natchnień, siłą do działania i skarbnią, z której czerpano wiedzę do pracy kulturalnej” – pisze Elżbieta Wójtowicz w omawianym wydawnictwie. Kontynuatką tej

ZBIGNIEW JERZY PRZEREMBSKI

Katalog słowackich pieśni narracyjnych

W latach 70. zeszłego stulecia folklorysty z bratysławskiego Instytutu, dawniej Etnograficznego, obecnie Etnologii, Słowackiej Akademii Nauk rozpoczęli prace przygotowawcze poprzedzające opracowanie katalogu słowackich ballad. Powstało instytutowe archiwum, obejmujące nie tylko ballady, ale i inne gatunki pieśni narracyjnych, zapisywane od drugiej połowy XVIII wieku do czasów współczesnych, pochodzące ze źródeł rękopiśmiennych i drukowanych. Kartoteka zawiera w głównej mierze zapisy z obszaru Słowacji w obecnych granicach państwowych, a w pewnym stopniu także z terenów dzisiejszych Węgier, jugosłowiańskiej Wojwodiny, Rumunii i Bułgarii, na których osiedlili się Słowacy w XVIII wieku, po ustąpieniu stamtąd Turków. Ten to zasób pieśniowy stał się podstawą materiałową *Katalogu słowackich pieśni narracyjnych*, opracowanego przez Sónię Burlasową, znaną słowacką folklorystkę, specjalizującą się w problematyce pieśni balladowych.¹

Jak wskazuje tytuł publikacji, i jak czytamy we wstępie, katalog obejmuje szerszy zakres tematyczny tekstów, uwzględnia bowiem pieśni o różnym stopniu narracyjności. Oprócz typowych ballad, charakteryzujących się nasilonym dramatyзмом fabuły, znała-

ły się w nim pieśni, w których wzrasta znaczenie elementu lirycznego lub epickiego (pieśni nowiniarskie). Taka koncepcja indeksu ma ułatwić szerokie badania porównawcze, uwzględniające pieśni narracyjne z różnych stron Europy, często mające własną specyfikę. Postulat opracowywania katalogów ballad poszczególnych krajów naszego kontynentu, jako przygotowanie do powstania indeksu obejmującego całą Europę, wysunęła w drugiej połowie lat 60. XX wieku Komisja Poezji Ludowej przy Międzynarodowym Towarzystwie Etnologii i Folkloru (Société Internationale d'Ethnologie et de Folklore).

Sonia Burlasowa wyróżniła 307 wątków, ułożonych w jedenaście tematycznych grup pieśni, które określiła następująco:

1. Siły nadprzyrodzone.
2. Wątki legendarne.
 - A. Starotestamentowe;
 - B. Nowotestamentowe;
 - C. Niebiblijne.
3. Związki miłosne.
 - A. Pomyślnie zawarcie miłosnego związku;
 - B. Wymuszenie miłosnego związku;
 - C. Niepowodzenia i przeszkody przy nawiązaniu miłosnego związku;

D. Dochowanie wierności w miłości;
E. Niewierność, zazdrość i porzucenie partnera.

4. Związki rodzinne.
5. Związki społeczne.
6. Wątki historyczne.
7. Pieśni o wojnie.
8. Pieśni o zbójnikach.
9. Nieszczęśliwe przypadki.
10. Gwałtowne postęпки.
11. O zwierzętach – zartobliwe.

Grupy do piątej włącznie odpowiadają, ogólnie rzecz biorąc, ramowemu projektowi klasyfikacji ballad zaproponowanemu przez wspomnianą Komisję – ściśle mówiąc wyróżniono w nim dziesięć grup tematycznych, z których pierwsze pięć to ballady: magiczno-mityczne (demonologiczne), religijne (legendarne), o tematyce miłosnej, rodzinnej oraz przedstawiające konflikty społeczne. Ponieważ projekt dopuszcza możliwość modyfikacji, wynikających z pewnego zróżnicowania tego gatunku pieśniowego w różnych krajach, S. Burlasowa dostosowała następne grupy do specyfiki słowackich pieśni narracyjnych. I tak, grupa szósta, o tematyce historycznej, ogranicza się na Słowacji do okresu pogranicznych walk z Turkami w XVI i XVII wieku. Grupa siódma, określona w międzynarodowym projekcie jako „walki i czyny bohaterskie”, została rozdzielona na dwie: „o wojnie” i szczególnie charakterystyczne dla słowackiego folkloru pieśni „o zbójnikach”. Z kolei nazwy dalszych grup projektu („nieszczęścia i katastrofy” oraz „okrutne postęпки”) dostosowała autorka katalogu do zakresu tematycznego pieśni słowackich określając je jako: „nieszczęśliwe przypadki” i „gwałtowne postęпки”.

pięknej tradycji opisuje również legendarne początki samej Wólki Kątnej. Legenda barwnie wyjaśnia początki wsi oraz tłumaczy nazwę. Według niej założona została z woli króla Władysława, któremu tak spodobał się ten piękny zakątek, że zdecydował, aby w tym miejscu powstała wieś. „Niech wieś tu powstanie niewielka, ale niech sami najmądrzejsi, najroztropniejsi, najpracowitsi kmiotkowie tu zamieszkują, aby z ziemi tej piaszczystej chleb wydobyć”.

Potomkowie owych „kmiotków”, pragnąc zachować obyczaje swych przodków, powołali do życia zespół „Wólczanki”. Został on założony przez poetkę i śpiewaczkę ludową Krystynę Poczek w 1972 roku. Dziś dzieło to kontynuuje córka poetki – wspominała wcześniej Elżbieta Wójtowicz. Zespół ma duże osiągnięcia na wielu konkursach, przeglądach i festiwalach, m. in. w Kazimierzu nad Wisłą. Występowała m. in. w Puławach, Nałęczowie, Lublinie, Lubartowie, Ostrowie Lubelskim, Tarnogrodzie. Ma w swoim dorobku zarówno pieśni ludowe, widowiska obrzędowe, jak i różnego rodzaju

współczesne śpiewki o charakterze społeczno-obyczajowym. Najwięcej miejsca w jego działalności zajmują widowiska, zarówno te oparte na zwyczajach ludowych (*Prządki* – to debiut teatralny zespołu w 1980 roku, *Pierzaki*, *Kiszenie kapusty*), jak i te oparte na obrzędach dorocznych i rodzinnych (*Narodziny dziecka*, *Swaty*, *Zaręczyny*, *Poprawiny*, *Przed świętami*, *Dyngus*). Autorką większości scenariuszy była zmarła w 1999 roku Krystyna Poczek. Jak pisze Janina Biegalska „tradycja – zwyczaj, obrzędy, podania i pieśni – to wszystko jest żywe i obecne w świadomości mieszkańców wsi, należało tylko dostrzec i docenić ich wartość, uchwycić w momencie przemijania i uchronić przed zapomnieniem. Jest to zadanie, a może nawet misja dla zespołu ludowego – zachować nasze tradycje dla przyszłych pokoleń, przypomnieć je, odtworzyć tam, gdzie zostały zapomniane i przekazać dzieciom i wnukom. Czy zespół z Wólki Kątnej temu zadaniu podolał – na pewno tak”.

Wartość naukową pozycji podniosłyby elementy komentarza o charak-

terze wykonywanych przez zespół pieśni. Znajdują się tu bowiem obok siebie tradycyjne ludowe pieśni *Jaś koniki poił* i *Na Podolu biały kamień* notowane już przez Oskara Kolberga oraz *W pięknym pałacu, gdzie lśnią marmury* – zapis znanej powszechnie historii miłości Waldemara Michorowskiego do Stefi Rudeckiej. Dobrze byłoby znaleźć informacje o prezentowanych pieśniach, czy są one znane na innych terenach, kiedy i przez kogo pierwszy raz były notowane, czy znajdują się wśród nich prawdziwe perełki folkloru.

Ta niewielkich rozmiarów pozycja napisana jest barwnie i interesująco. Zawiera historię pozornie zwykłych ludzi, wielkich entuzjastów, którzy mimo licznych przeciwności losu odnaleźli swoją „misję” i z zapalem i ogromnym zaangażowaniem wprowadzali ją w życie.

O Tobie ziemo nasza. Opowieść o Zespole Ludowym z Wólki Kątnej z wyborem pieśni. Wybór i transkrypcja pieśni Jan Adamowski, transkrypcja melodii Anna Michalec, Markuszowskie Towarzystwo Regionalne, Lublin 2001, 96 s.

Znalazło się w nich wiele pieśni nowinarskich. Ostatnia grupa, („zartobliwe, komiczne pieśni epickie” obejmuje tu tylko alegoryczne teksty o zwierzętach, mające, w odróżnieniu od bajek, nie dydaktyczny, lecz komiczny charakter.

W obrębie wyróżnionych grup tematycznych każdy z wątków jest charakteryzowany przez:

- A. Tytuł (nazwę) ujmujący istotę przedstawianego w pieśni wydarzenia.
- B. Schemat fabularny, treść wydarzenia obejmującą wszystkie zapisane warianty, z wyróżnieniem ewentualnych odmian.
- C. Najczęstsze incipity (w języku literackim).
- D. Wykaz wariantów z podaniem proveniencji (miejsce i rok zapisu, źródło bibliograficzne) oraz charakterystyki pieśni (forma tekstowa, kontaminacje, fragment, zapis z melodią). Osobno pogrupowano zapisy wydane drukiem i rękopiśmienne.
- E. Wybrany, reprezentatywny wariant.

Nie ujednolicono sposobu zapisu tekstów pieśniowych, pozostawiono je w wersji źródłowej.

Tytuł i treść wątku oprócz języka oryginału (słowackiego) podano też w tłumaczeniu na niemiecki.

Rozszerzenie spisu wariantów o źródła rękopiśmienne rozszerza bibliografię wątków, a podanie szczegółów budowy tekstów pieśni (liczba zwrotek i wersów, obecność refrenów) ukazuje różnicowanie formalne wariantów. Zaletą katalogu jest też przedstawienie większości pieśni reprezentujących poszczególne wątki w pełnym, tekstowo-muzycznym zapisie. Jeśli wybrany przykład zanotowany był bez melodii, połą-

czono tekst z melodią innego wariantu, co było możliwe ze względu na częsty w słowackiej pieśni ludowej związek tekstów i melodii o podobnej budowie formalnej. Dotyczy to nielicznych przypadków i tylko wówczas, gdy wątek obfitował w wiele wariantów. Szkoda jednak, że nie podano istotnych nawet dla ogólnej charakterystyki melodii oznaczeń takich cech wykonawczych, jak tempo metronomiczne lub czas wykonania, a także bezwzględna wysokość dźwięków pozwalająca określić pozycję głosową wykonawcy (samo zróżnicowanie tonacji melodii nie jest w pełni jednoznaczne). Można się domyślać, że często informacji tych nie ma w źródłowych zapisach, niemniej tam gdzie jest to możliwe, warto tego rodzaju dane podawać (czyni tak np. Marta Szramkova w *Katalogu českých ballad ludových*, chociaż określenia tempa podaje głównie w formie opisowej).²

W pracy nie uwzględniono materiałów porównawczych z sąsiadującymi ze Słowacją ziem słowiańskich: Moraw, Polski i Ukrainy. Powodem tego, jak wyjaśnia autorka, było podobieństwo językowe nadgranicznych regionów, utrudniające kwalifikację narodowościową, ale także brak systematycznych badań z tych terenów. Warto jednak przypomnieć, że w 1990 roku ukazał się *Katalog polskiej ballady ludowej* sporządzony przez Elżbietę Jaworską.³

Słowacki indeks nie wskazuje wprost literatury naukowej poświęconej poszczególnym pieśniom, opracowań wątków, nie ma w nim też odesłań do innych katalogów, co dla szerszego grona czytelników bywa bardzo pomocne przy śledzeniu historii czy rozpowszech-

nienia konkretnych ballad (informacje tego rodzaju podaje np. polski katalog Jaworskiej). Umieszczenie zbiorczej literatury przedmiotu na końcu pracy nie zawsze może zastąpić sygnalizowanie pozycji bibliograficznych przy odnośnych wątkach pieśniowych.

Katalog zawiera alfabetyczny spis incipitów pieśni i miejscowości, w których je zapisano, oraz bardzo pożyteczny rejestr występujących w tekstach motywów, nazw osobowych, rzeczowych i geograficznych.

Z pewnością *Katalog słowackich pieśni narracyjnych* Sonii Burlasovej budzi uznanie szerokim zakresem i szczegółowością ujęcia zagadnienia. Oprócz tekstów i melodii specyficznych dla kultury słowackiej, znaleźć można w nim wątki o szerszym, europejskim zasięgu. Trudno więc przecenić znaczenie tej pracy dla badań pieśni narracyjnych, ballad naszego kontynentu. Przydatna jest także dla polskich studiów porównawczych nad tego rodzaju repertuarem.

¹ Soňa Burlasová, *Katalog slovenských naraťivných piesní*, red. Eva Krekovičová, t. I–III, Bratislava 1998.

² Marta Šrámková, *Katalog českých lidových balad*, IV, *Rodinná tematika*, sestavila..., Praha 1970. Tom ten obejmuje tylko ballady o tematyce rodzinnej. Inne grupy tematyczne, ballady demonologiczne i legendarne, zawiera kolejna część katalogu: Marta Šrámková, Oldřich Sirovátka, *Katalog českých lidových balad*, I, *Démonologické náměty*, II, *Legendární náměty*, Brno 1990.

³ Elżbieta Jaworska, *Katalog polskiej ballady ludowej*. Wrocław – Warszawa – Kraków – Gdańsk – Łódź 1990.

DARIUSZ KUBINOWSKI

Folklor Kujaw

- opracowanie naukowe z walorami edukacyjnymi

W 1979 roku ukazało się po raz pierwszy opracowanie R. Langego, A. Pawlaka i B. Krzyżaniak zatytułowane *Folklor Kujaw*. Książka opublikowana została w Warszawie w ramach serii regionalnych monografii folklorystycznych, wydawanej przez centralny ośrodek kultury (CPARA, a następnie COMUK), a redagowanej przez Irenę Ostrowską. Kluczową dziedziną kultury tradycyjnej – dokładnie charakteryzowaną we wszystkich tych monografiach – miał być folklor taneczny, ale dodatkowo ukazywany na tle całokształtu kultury danego regionu, z szerszym omówieniem dziedzin pokrewnych. Poza tym każda publikacja z tej serii – w założeniu – miała łączyć w sobie walory opracowania naukowego, na co składać się miała głównie pełna dokumentacja etnograficzna, oraz opracowania metodycznego służącego praktyce, co wyrażać się miało przede wszystkim w przedstawieniu materiału dokumentacyjnego w przystępny sposób.

Inicjatorem i współtwórcą koncepcji całej serii, a następnie recenzentem lub konsultantem kolejnych tomów był Roderyk Lange, który w latach 1954-1967 pracował w toruńskim ośrodku etnograficznym, wówczas koordynującym badania nad folklorem tanecznym w Polsce. Za sprawą wielce zaangażowanej działalności naukowej i dydaktycznej R. Langego w tym okresie udało się ustawić profesjonalnie całą dziedzinę etnochoreologii w naszym kraju, czego rezultatem było następnie m.in. publikowanie kolejnych monografii w ramach omawianej tu serii wydawniczej. Niestety z powodu – wymuszonego koniecznością – wyjazdu z kraju R. Langego (w 1967 r.), a co za tym idzie niemożnością bezpośredniego jego udziału w pracach redakcyjnych, nie we wszystkich opublikowanych tomach udało się zrealizować ogólny zamysł koncepcyjny serii. Mimo to seria regionalnych monografii folklorystycznych, wydawana w oparciu o te same założenia przez centralny ośrodek kultury w latach 1967-1990 (w sumie 15 obszernych tomów), należy do szczególnych osiągnięć polskiej folklorystyki tanecznej i nie posiada swoich odpowiedników w perspektywie międzynarodowej.

Tom kujawski jest publikacją wyróżniającą się z całej serii – jednym z nielicznych, w których udało się w pełni zrealizować zamysł koncepcyjny jej inicjatora. Część dotycząca folkloru tanecznego opracowana została przez Roderyka Langego w oparciu o rezultaty jego badań terenowych przeprowadzonych w latach 1954-1965, a cały tom został przygotowany przez autorów już w roku 1965. Niestety, monografia *Folklor Kujaw* mogła się ukazać w druku dopiero czternaście lat później. Drugie – starannie poprawione, poszerzone o dodatkowe materiały ilustracyjne, nieznacznie zmienione pod względem redakcyjnym – wydanie tej pracy opublikowane zostało bez zasadniczych zmian w jej treści, ale – co trzeba wyraźnie podkreślić – w znaczne udoskonalonej i szczególnie dopracowanej pod względem edytorskim formie. Drugie wydanie *Folkloru Kujaw* jest kolejną publikacją Instytutu Choreologii w Poznaniu, opracowaną pod redakcją naukową R. Langego i przygotowaną do druku przez poznańskie wydawnictwo „Rhythmos”.

Zasadniczo publikacja składa się z pięciu części. Tom otwiera część zawierająca ogólną charakterystykę regionu autorstwa R. Langego, w której znalazło się krótkie omówienie geografii Kujaw i zamieszkujących je grup etnicznych, dziejów historycznych tego regionu oraz dokonujących się tu współcześnie przeobrażeń społecznych, a także wybranych dziedzin dawnej kultury wsi kujawskiej, m.in. budownictwa, sztuki zdobniczej i stroju. Druga część pracy – zatytułowana *Folklor taneczny* – przygotowana została również przez R. Langego. Zgodnie z ogólnymi założeniami całej serii ma ona znaczenie kluczowe i dlatego jest najobszerniej oraz najdogłębniej opracowana. Znalazły się tu: wnikliwe charakterystyki źródeł do badania folkloru tanecznego Kujaw; ogólne omówienie tańca i zwyczaju tanecznego tego regionu; szczegółowe studium analityczne dotyczące kujawiaka jako jednego z tańców o rytmice mazurkowej; a także opisy słowne, notacje kinematograficzne i muzyczne reprezentatywnych tańców kujawskich w ujęciu repertuarowym. Trzecia część tomu – opraco-

wana przez Aleksandra Pawlaka – stanowi dopełnienie części drugiej w zakresie muzycznym i zawiera krótkie omówienie ogólnych właściwości melodii kujawskich, a następnie obszerny zbiór tanecznych melodii instrumentalnych oraz melodii i tekstów przyśpiewek i zabaw tanecznych.

Kolejne dwie części opracowane zostały przez Barbarę Krzyżaniak. I tak, czwarta część tomu poświęcona została opisowi kujawskich obrzędów i zwyczajów dorocznych oraz dodatkowo obrzędu weselnego, a także charakterystyce pieśni kujawskiej, natomiast w piątej – zamieszczono dziewięć tekstów opowiadań i bajek kujawskich, zaczerpniętych ze źródeł etnograficznych. Poszczególne części zaopatrzone zostały w stosowne indeksy, wykazy informatorów, bibliografie czy wykazy źródeł i zostały bogato zilustrowane odpowiednio dobranymi mapami, reprodukcjami ikonografii, fotografiami muzealnymi i zdjęciami z badań terenowych, a także specjalnie wykonanymi ujęciami fotograficznymi opisywanych momentów tanecznych oraz rysunkami.

Na szczególną uwagę zasługuje część druga monografii na temat folkloru tanecznego Kujaw, bowiem autor (R. Lange) zastosował w niej oryginalne, pionierskie w etnochoreologii polskiej (choć nie tylko) sposoby analizy materiału tanecznego. Przede wszystkim folklor taneczny jest tu analizowany holistycznie, to znaczy w ujęciu kontekstualnym, diachronicznym, funkcjonalnym. Taniec opisywany jest bowiem w kontekście tradycyjnej kultury dawnej wsi kujawskiej oraz na tle dokonujących się stopniowo przemian kulturowych. Przy dociekanii proveniencji udokumentowanych form tanecznych zastosowana została metoda retrogresywna w odniesieniu do zidentyfikowanych typów tańca. Poczynione przy tej okazji spostrzeżenia i uwagi stanowią istotny przyczynek do historii i typologii tańca tradycyjnego w Polsce.

Tradycyjny repertuar taneczny Kujaw omówiony został w ujęciu hierarchicznym, to znaczy z podziałem na tańce pierwszoplanowe, z dominującym wśród nich kujawiakiem w różnych wariantach, oraz na tańce drugoplanowe, a także z określeniem znaczenia każdego z nich w całokształcie tradycyjnej kultury tanecznej tego regionu. Ponadto została zastosowana zaawansowana pod względem metodologicznym analiza morfologiczna form ruchowych i muzycznych kujawiaka, połączona z odkrywczą analizą porównawczą kujawiaka w jego postaci wiejskiej i jako tańca narodowego, wyrażoną m.in. w licznych zestawieniach kinematograficznych oraz tablicy synoptycznej (s. 47).

Formy ruchowe reprezentatywnych tańców kujawskich zostały udokumentowane w postaci bardzo szczegółowych zapisów kinetograficznych. Zauważyć w tym miejscu należy, że tylko kinetografia umożliwia pełną notację ruchu tanecznego, co jest niemożliwe przy posłużeniu się wyłącznie opisem słownym. Wszystko to złożyło się na wysoki standard naukowy opracowania Roderyka Langego.

Recenzowana monografia posiada również szczególne walory opracowania materiałowego, mogącego służyć praktykom – nauczycielom tańca ludowego, kierownikom zespołów folklorystycznych, wychowawcom tanecznym. Pozwala bowiem przede wszystkim poznać i zrozumieć idiom kultury tańca dawnej wsi kujawskiej, a szerzej folkloru Kujaw. Zastosowany profil prezentacji materiału tanecznego eksponuje cechy istotne tejże kultury tańca i tegoż folkloru. Stąd – omówienie kluczowych elementów zwyczaju tanecznego oraz charakterystycznych zjawisk folklorystycznych; stąd – szersza charakterystyka kujawiaka jako tańca dominującego na tym terenie i przez to określającego stylizykę całego regionalnego folkloru tanecznego i muzycznego; stąd – marginalne potraktowanie tańców o rytmach polkowych i walcerkowych jako drugoplanowych, napyłwowych, mniej chętnie tu tańczonych itd.

Podkreślić należy, że omawiany tu profil zastosowany został w ramach całej serii wyłącznie w tej monografii. W pozostałych zastosowano omówienie wszystkich udokumentowanych form tanecznych w obrębie prostych podziałów klasyfikacyjnych, a nie funkcjonalnej systematyki wewnątrzrepertuarowej. Praktyk korzystających z takich opracowań nie może w pełni zorientować się w istocie i stylizyce folkloru tanecznego danego regionu skoro nie eksponuje się wyraźnie w jego charakterystyce tańców pierwszoplanowych.

Przykładowo, w zespołach tańca ludowego może to prowadzić do opracowań suit regionalnych na zasadzie dowolnych „składanek” melodii, pieśni i tańców, a nie – jak to być powinno – do prób odtworzenia tradycyjnego repertuaru w formach i proporcjach właściwych dla danego regionu. Dobrą podstawę do takiej właśnie pracy stwarza *Folklor Kujaw*, przez co monografia ta wyróżnia się nie tylko istotnymi walorami naukowymi, ale również posiada wybitne walory edukacyjne, w szczególności zaś etnopedagogiczne.

Roderyk Lange, Aleksander Pawlak, Barbara Krzyżaniak, *Folklor Kujaw* (wydanie drugie), Fundacja Instytut Choreologii w Poznaniu, Wyd. Rhythmos, Poznań 2001, ss. 310.

AGNIESZKA KUCZYŃSKA

Jeszcze o wystawie „Szopki świata”

Święta Rodzina z lamą

Wystawa „Szopki świata”, którą w styczniu i lutym 2002 roku można było zwiedzać w Muzeum Lubelskim, cieszyła się bardzo dużym powodzeniem. Kilkakrotnie przesuwano termin jej zamknięcia. Dzieci z rodzicami, wycieczki z przedszkoli i szkół tłumnie ciągnęły do muzeum. Słowem sukces. Wystawę zorganizowała spółka M.G. Poland, „inicjatorem i koordynatorem” ekspozycji było UNESCO.

I muszę przyznać, że mam poważne wątpliwości, czy wypada wybrzydzać na taką udaną imprezę i jej ściśle komercyjny charakter, kiedy coraz częściej słyszy się o tym, że kultura ma finansować się sama. Ale cóż, ta wystawa była po prostu niedobra. Zastrzeżenia dotyczą zarówno doboru ekspozatów, jak i sposobu ich prezentacji.

Ekspozycję podzielono na trzy części. W pierwszej, stanowiącej rodzaj prologu, znalazły się współczesne rzeźby w drewnie Mauro Bernardiego i Berzo Dono. Żadnego katalogu nie było, toteż jedynym źródłem informacji o artystach i ich dziełach były podpisy, no i oczywiście same ekspozaty. Rzeźby były nieporadne i nijakie, zdominowane mocną fakturą drewna. Przy odrobinie dobrej woli można w nich było rozpoznać powtarzające się przedstawienia matki z dzieckiem. Więcej dobrej woli trzeba było, żeby uznać zasadność umieszczenia tych rzeźb na wystawie szopek. Na trop naprowadzała charakterystyczna dla międzynarodowych instytucji frazeolo-

gia i specyficzny sposób rozumowania, tym bardziej rażące, że zupełnie nieadekwatne do jakości artystycznej prezentowanych obiektów.

W tym miejscu należy zaznaczyć, że podpisy występowały w dwóch wersjach językowych i że obydwie wersje były równie absurdalne. Trudno się powstrzymać od cytowania. I tak na przykład wystawę otwierał obiekt o tajemniczej nazwie: „Team composition in sculptured (sic!) – Zespołowa kompozycja w drewnie”, tuż obok mieliśmy „Sculpture which summon a common tradition – Rzeźba odwołująca się do wspólnej tradycji”, potem jeszcze „Indywidualna interpretacja więzi macierzyńskich” i tak dalej. Bez trudu można wyobrazić sobie gładki dokument wyprodukowany na użytek UNESCO, w którym podkreślano zawarte w tych dziełach uniwersalne wartości (matka, dziecko, miłość) i kontekst wspólnego dziedzictwa kulturowego.

Kiedy czekałam przed wejściem w tłumie zmarzniętych pierwszo- i drugoklasistów miałam sporo czasu, żeby zastanowić się, czego właściwie spodziewam się po tej wystawie. Sądziłam, że zobaczę efekty przyswajania chrześcijańskich tematów ikonograficznych przez kultury tradycyjne w różnych częściach świata. Jako historyk sztuki z ciekawością czekałam na jakieś interesujące kombinacje i mutacje klasycznych tematów.

Nic z tego. Gabloty zajmowały dziesiątki figurek, rzeczywiście zebranych z całego świata, ale zebranych w sklepach z pamiątkami. Na pierwszy rzut oka widać było znamiona szybkiej



Figurki z Peru



Szopka z Niemiec

i taniej masowej produkcji. Widać też było ciężką pracę specjalistów od marketingu, dzięki którym w odpowiedzi na potrzeby rynku Matka Boska, święty Józef i Dzieciątko bez względu na miejsce pochodzenia prezentowali podobne uśmiechnięte buzie z oczami pożyczonymi od postaci z kreskówek Disneya. Do tego jeszcze kokie-tujący egzotyka sztafaż, np. w postaci lamy zastępującej osiołka (Peru) albo kostium czy typ fizjonomiczny zmieniony na typowy dla regionu (np. skośnooka święta Rodzina z Chin). Raczej nie kontekst wspólnego dziedzictwa kulturowego, ale kontekst handlowego wymiaru świąt Bożego Narodzenia, kontekst czekoladowych Mikołajów przychodził tutaj na myśl.

Dzieci były zachwycone, a mnie zgryźliwą męczyło pytanie, czy to dobrze, że przyzwyczajają się, że poziom artystyczny eksponatów na sali muzealnej zbliżony jest do poziomu artystycznego przeciętnego straganu z pamiątkami?

Inna sprawa, że zdałam sobie sprawę z tego, jak naiwne i nierozsądne były moje oczekiwania. Czy w ogóle można jeszcze mówić o jakichś kulturach tradycyjnych, jeżeli, jak wskazuje moje ograniczone doświadczenie w tym zakresie, łatwiej znaleźć dom bez bieżącej wody, niż bez anteny telewizyjnej na dachu? Tak po prostu wygląda świat i nie ma co obruszać się na kulturę masową i specjalistów od marketingu. Tylko, czy na pewno trzeba ją pokazywać w muzeum i garnirować górnolotną frazeologią?

Na tle przykładów ze świata zupełnie niezwykła wydawała się polska szopka z Janowa Lubelskiego. Najwyraźniej kto inny ją wybierał. Zanim trafiła do muzeum wiele razy przy jej pomocy odgrywano historię Narodzenia. Nie była na sprzedaż i – nie obędzie się chyba bez przywołania trudnej do zweryfikowania kategorii – była bardzo prawdziwa.

Zdecydowanie najciekawsza była trzecia część wystawy. O ile w poprzedniej zebrano po prostu figurki przedstawiające Matkę Boską z Dzieciątkiem i św. Józefem, z pasterzami lub bez, to tutaj znalazły się obszernie kompozycje, często zawierające akcenty współczesne, czasem rodzajowe. Te szopki nie były ze sklepu, a przynajmniej większość z nich.

Rodzina Widauer z Norymbergi dosyć jednostronnie, ale bardzo obficie reprezentowała Niemcy. Rodzina ma wyraźnie zacięcie modelarskie i warsztat w garażu. Zwraçały uwagę z pietyzmem wycięte szczegóły – okiennice, tralki balustrady tarasu porządnej niemieckiej willi, a na trawniczku przed domem zamiast mercedesa stały gotowe figurki z burego plastiku. Całość podpisano: „Alegoria religijnego tematu Narodzenia”. I jeszcze siedem razy wariacje na ten sam temat. Entuzjazm

wzbudzała szopka z Filipin – bo Madonna piękna była jak anioł i podpis „Szopka w cennym materiale” nie kłamał o tyle, że materiał na szacie Madonny rzeczywiście błyszczał.

Jednak pozostałe przykłady były naprawdę ciekawe. Większość z nich pochodziła z Włoch, gdzie tradycja budowania szopek powstała. Tradycja, dzięki której historia Narodzenia Pańskiego zyskiwała bardziej ludzki i aktualny wymiar. Scenę Narodzenia Chrystusa przenoszono do włoskiego miasteczka, dodawano czasem papieża z procesją, a czasem orkiestrę – taką jaką grywała na pogrzebach i weselach w okolicy. Zdarzało się, że Matkę Boską pokazywano przy praniu. Dzieciątkiem zajmował się wtedy Anioł Stróż. Zaprezentowane szopki powstały zapewne niedawno – papież miał rysy twarzy Jana Pawła II. Szczególnym przypadkiem uaktualnienia tradycyjnego tematu była szopka, w której Narodzenie Chrystusa połączono w alegorycznej kompozycji z upadkiem muru berlińskiego.

Wydaje mi się, że wystawa nic by nie straciła, gdyby ograniczyć ją tylko do ostatniej części. Pewnie nie byłaby wtedy tak atrakcyjna dla szerokiej publiczności. Można zapytać, czy lepiej, żeby ludzie przychodzili do muzeum na złe wystawy, czy lepiej, żeby nie przychodzili wcale? Jestem jednak przekonana, że jest to złe zadane pytanie i że przyzwoity poziom i atrakcyjność wcale nie muszą się nawzajem wykluczać. Upierać się będą także, że mimo wszystkich eksperymentów, jakie mamy dzisiaj za sobą, nie nadaje się do przyjęcia taki na serio i bez cudzysłowu podany kicz, który przez szacowne ramy instytucji kultury zyskuje rangę sztuki.

Fot. Piotr Maciuk



Szopka z Filipin

Laureaci Nagrody im. Oskara Kolberga

Pomysł ustanowienia Nagrody im. O. Kolberga „Za zasługi dla kultury ludowej” narodził się w 1974 roku w redakcji płockiego miesięcznika „Barwy”. Od 1986 do 2001 roku sprawy organizacyjne związane z przyznawaniem tego wyróżnienia prowadziło Mazowieckie Towarzystwo Kultury. Od 2002 roku decyzją patronującego imprezie Ministerstwa Kultury zajmuje się tym Muzeum im. Oskara Kolberga w Przysusze. Współorganizatorami są MTK, Fundacja „Cepelia” Polska Sztuka i Rękodzieło, Oddział Muzeum Ziemi Radomskiej w Radomiu oraz Stowarzyszenie Twórców Ludowych.

Tak więc nagrody laureatom tegorocznego XXVII Ogólnopolskiego Przeglądu Dorobku Twórców Ludowych i Popularyzatorów Kultury Ludowej im. O. Kolberga wręczano w siedzibie muzeum w Przysusze. Za zasługi dla kultury ludowej w 2002 roku uhonorowani zostali:

Twórcy ludowi

Honorata Bloch – hafciarka z Kcyni;
Adam Gluszek – rzeźbiarz z Dąbrowic;
Aniela Gmoch – śpiewaczka z Bełcza;
Władysław Gruszczyński – rzeźbiarz z Radomia;
Anna Ficoń – rzeźbiarka z Wieprza;
Józef Janczak – skrzypek z Baszkowa;
Alicja Kochanowska – tkaczka z Janowa;
Jan Kowalski – pisarz z Iławy;

Stefan Sidoruk – pisarz ze Stawek;
Roman Sledź – rzeźbiarz z Malinówki;
Piotr Woliński – rzeźbiarz z Kcyni.

Zespoły

Kapele – Jana Gacy z Przysławowic Małych, Władysława Zarzyckiego z Maciejowic oraz „Marciny” z Marcinowa.

Zespoły – obrzędowy ze Strykowic Górnych, śpiewaczy KGW z Łukowej I oraz Zespół Pieśni i Tańca Uniwersytetu Warszawskiego „Warszawianka”.

Popularyzatorzy

Dr Jan Łuczowski – badacz i popularyzator kultury ludowej z Opoczna

Prof. Teresa Smolińska – badacz i popularyzator folkloru z Opola

Nagrody honorowe

„Dom Tańca”. Stowarzyszenie na rzecz kultury tradycyjnej

Tadeusz Bukowski-Groska

Stanisław Kulawiak

Jan Stodyczka-Maśniak.

Fundatorami nagród byli: Ministerstwo Kultury, Polskie Radio S.A., Fundacja „Cepelia” Polska Sztuka i Rękodzieło oraz Urząd Marszałkowski Województwa Mazowieckiego.

(XL)

Współtwórczyni janowskiego zagłębia folkloru

W 1948 roku 18-letnia Alina Dudzic została członkinią Zespołu Pieśni i Tańca Ziemi Lubelskiej im. Wandy Kaniorowej w Lublinie; była solistką, chórzystką i tancerką. W ciągu 7 lat wykazała się dużym poświęceniem w tej pracy.

Od 1956 roku zamieszkała w Janowie Lubelskim, by tu pracować jako kierownik zespołu artystycznego przy Prezydium Powiatowej Rady Narodowej. Prowadziła też zespół taneczny w Ośrodku Kulturalno-Oświatowym w Dąbiu, gm. Modliborzyce. Przed 40 laty, z chwilą powołania Powiatowego Domu Kultury w Janowie Lubelskim, pani Alina związała swoją pracę z tą placówką. Przeprowadziła w niej równo 30 lat. Przez cały czas zajmowała się kulturą ludową, prowadząc wiele zespołów folklorystycznych, m.in. Zespół Pieśni i Tańca „Janowiacy”. W latach 1961–1988 otrzymała wiele nagród i wyróżnień w przeglądach i konkursach, uczestniczyła w kolejnych centralnych dożynkach w latach 1973–1980.

Będąc instruktorem A. Dudzic organizowała seminaria z tańca ludowego dla nauczycieli szkół podstawowych całego powiatu janowskiego. Opracowywała i realizowała scenariusze imprez, różnych obrzędów; były to m.in.

„Sobótki” w Wierchowiskach i Janowie, „Wigilia” czy „Wieńczyny”. Widowiska były prezentowane podczas Ogólnopolskiego Sejmiku Teatrów Wiejskich w Tarnogrodzie.

Od 1976 roku pani Alina najwięcej pracy poświęciła autentycznemu folklorowi zakładając i przygotowując do Festiwalu Kapel i Śpiewaków Ludowych w Kazimierzu nad Wisłą różne zespoły z regionu janowskiego. Była poszukiwaczem i odkrywcą wielu autentycznych instrumentalistów, śpiewaków i kapel ludowych ze wsi janowskich. Dzięki temu dzisiaj powiat janowski jest prawdziwym zagłębiem folkloru. Bo sukcesy janowskich artystów ludowych są imponujące, m.in.: kapela Dziadoszów z Bilska na festiwalu w Kazimierzu otrzymała I nagrodę, została też uhonorowana Nagrodą im. Oskara Kolberga; kapela Józefa Góry z Krzemienia jest laureatką kazimierskiej Złotej Baszty i Nagrody im. O. Kolberga; instrumentalista Leon Widz z Węglisk i śpiewaczka ludowa Krystyna Placha z Janowa zdobyli Złote Baszty w Kazimierzu i nagrodę Kolberga; kapela z Kocudzy przywozła z kazimierskiego festiwalu I nagrodę. To tylko niektórzy laureaci przygotowani przez panią Alinę. Od



Alina Dudzic. Fot. Zbigniew J. Nita

1984 r. rozpoczęła wyszukiwanie i przygotowywanie par tanecznych do Ogólnopolskiego konkursu na tradycyjny taniec ludowy w Rzeszowie.

W tej dziedzinie również były sukcesy. Udział w konkursie brały zespoły i pary taneczne z Janowa, Białej, Wólki Ratajskiej. Zdobywały nagrody i wyróżnienia.

Alina Dudzic działała przy weryfikacji artystów ludowych z rejonu janowskiego do Stowarzyszenia Twórców Ludowych utrzymując z STL (w latach 1984–1990) stały kontakt.

Mimo przejścia w 1991 r. na emeryturę nadal współpracuje z domem kultury, służy radą i pomocą.

Andrzej Wojtan

W 20. rocznicę śmierci Stanisława Buczyńskiego

„Ziemia-matka śpiewała mu najpiękniejsze hymny” – tak napisała Zofia Szwał we wstępie do zbioru wierszy pt. *Pokłosie 8 konkursów poetyckich im. Stanisława Buczyńskiego*. Chciałbym więc przypomnieć sylwetkę tego wybitnego poety.

Urodził się 23 lipca 1912 r. na Mazowszu w rodzinie chłopskiej, zmarł 23 lutego 1982 r. w Hrubieszowie. Wiersze pisał i drukował od młodości. Od 1939 r. zamieszkał w Kotorowie na ziemi hrubieszowskiej, gdzie prowadził gospodarstwo rolne. W czasie okupacji za działalność patriotyczną był dwukrotnie aresztowany.

W jego dorobku literackim pozostały setki wierszy wydane w tomikach indywidualnych i antologiach. Stanisław Buczyński był mistrzem słowa poetyckiego, nazwaliśmy go nawet „chłopskim Broniewskim”, utrzymywał bliskie kontakty korespondencyjne z wieloma kolegami po piórze, w tym z Janem Pockiem. Należał do współzałożycieli Stowarzyszenia Twórców Ludowych w 1968 r., pełnił funkcję sekretarza pierwszego Zarządu Głównego.

22 lutego 2002 r. w Hrubieszowskim Domu Kultury odbyło się spotkanie poświęcone 20. rocznicy śmierci poety, z udziałem przedstawicieli władz administracyjno-kulturalnych Zamościa, Hrubieszowa i Werbkowic, twórców ludowych oraz wielbicieli jego poezji. Przybyła córka poety Mieczysława i syn Maciek, który pełni funkcję soltysa w Kotorowie. Młodzież szkolna recytowała wiersze, były wspomnienia przyjaciół. W muzeum ks. Stanisława

Staszica Helena Bojarczuk przygotowała wystawę „Buczyński – poeta Ziemi Hrubieszowskiej”.

Odbyła się także promocja tomiku poetyckiego Lili Buczyńskiej, córki Stanisława, która z powodu niedomagań zdrowotnych w spotkaniu nie mogła wziąć udziału.

W zbiorze *Pokłosie 8 konkursów...* znalazło się 50 wierszy. Tomik wydany z inicjatywy Zamojskiego Domu Kultury i Zamojskiego Oddziału STL sfinansowali Urząd Gminy w Werbkowicach i Starostwo Powiatowe w Hrubieszowie. Organizatorami spotkania byli Hrubieszowski Dom Kultury, Towarzystwo Regionalne Hrubieszowskie, muzeum oraz Miejska Biblioteka.

Organizatorom i uczestnikom tej uroczystości składam przyjacielskie podziękowania.

Władysław Sitkowski



Przy grobie Stanisława Buczyńskiego – Hostynne, 22 lutego 2002 roku. Od lewej: Władysław Sitkowski, Zofia Szwał, Irena Kozubowska i Stanisław Rudy. Fot. Ryszard Kamiński

Poetyckie „Wrzeciono” w Nowej Sarzynie

Na ziemi leżajskiej, a konkretnie w Nowej Sarzynie na Podkarpaciu, od ośmiu lat z coraz większym rozmachem kręci się poetyckie wrzeciono, którego nitki oplatają niespokojne dusze poetów mniej i bardziej znanych w światku poezji polskiej. Poezji ludowej tudzież. A wszystko to za sprawą jednego człowieka – Romana Kostyry, prezesa Stowarzyszenia Folklorystycznego „Majdaniarze”, założyciela kapeli ludowej o tej samej nazwie, znanego i cenionego animatora kultury i wreszcie pomysłodawcę oraz doskonałego organizatora dorocznych konkursów na poezję (wcześniej wyłącznie na ludową). Poezję rodzącą się w różnych środowiskach zamieszkania twórców z terenu całej Polski i ostatnio nawet z zagranicy. Wśród uczestników konkursów spotykamy debiutantów i autorów, którzy uzyskali już status literata, ale połączonych wspólnotą tworzenia pięknego poetyckiego słowa.

W dniach 28–29 stycznia każdego roku w gościnnych progach Domu Techniki Zakładów Chemicznych „Organika – Sarzyna” w Nowej Sarzynie organizowane są Spotkania Poetów, ostatnio o zasięgu międzynarodowym, będące podsumowaniem ogłaszanych konkursów poetyckich. Tak też było i w tym roku. Zjechali się poeci nie tylko z ziemi rzeszowskiej, ale i z wielu różnych zakątków kraju, by na miejscu doświadczyć wspaniałej gościnności i życzliwości tutejszych gospodarzy. Międzynarodowe Spotkania Poetów „Wrzeciono 2002” stały się też okazją do zaprezentowania poetom i licznie przybyłym gościom dodatkowych atrakcji z dziedziny folkloru i sztuki ludowej.

I tak z koncertem koled i pastorałek wystąpił zespół „Sarzynianki” z Sarzyny Wsi pod kierunkiem Marii Półćwiartek. Wystąpiła też kapela ludowa „Graboszczanie” z Grabownicy i kapela ludowa „Majdaniarze” z Nowej Sarzyny pod kier. Romana Kostyry. Widowisko folklorystyczne „Prządki” wystawił zespół obrzędowy „Graboszczanie” z Grabownicy prowadzony przez Zofię Olejko. Obejrzeć można było wystawę prac malarskich Stanisława Pudefkiewicza z Krzeszowa, jak również wystawę fotograficzną Romana Michny dokumentującą bożonarodzeniowy „Pośnik u Sarzynianek” w 2001 r. Był też koncert piosenkarki – amatorki Magdaleny Czechowicz. Wieczorem przygrywała do tańca znana kapela ludowa rodziny Kurasiów z Lubziny.

Miło mi poinformować Czytelników „Twórczości Ludowej”, że od początku trwania nowosarzynskich konkursów poetyckich związanych z nimi jest kilku twórców ze Stowarzyszenia Twórców Ludowych. Są to m.in. Stanisława Pudefkiewicz z Krzeszowa, Maria Tomasiak z Sądkowej, Józefa Uryć z Harty k. Dynowa, Maria Ostasz z Nowin Horynieckich, Jan Polit z Brodziej, Anna Bogucka z Zakopanego, Teresa Teter ze Snopkowa, Elżbieta Motyl z Nienadówki czy Franciszka Ogonowska z Dobużka oraz niżej podpisany.

Na zakończenie należałoby wymienić laureatów tegorocznego konkursu poetyckiego „Wrzeciono”. Są to: Małgorzata Zwierzczońska z Biedaczowa, Dorota Ryst z Warszawy i Bogdan Stangrodzki ze Stalowej Woli. Były też i wyróżnienia. Natomiast w konkursie jednego wiersza zwyciężyła Anna Kycia z Nowej Sarzyny.

Organizacja poetyckiego „Wrzeciona” w Nowej Sarzynie jest możliwa dzięki wsparciu finansowemu ze strony Ministerstwa Kultury, władz Rzeszowa i Leżajska, a nade wszystko z ogromnego uporu miłośnika kultury ludowej – Romana Kostyry.

Władysław Koczot

59 rzeźbiarzy – 253 prace

Rzeźby wzbudziły podziw jury

Posiedzenie jury konkursu „Rzeźba ludowa i nieprofesjonalna w województwie łódzkim” odbyło się 20 marca 2002 roku w Łódzkim Domu Kultury. W konkursie udział wzięło 59 rzeźbiarzy z terenu województwa łódzkiego, ogółem przedstawiono 353 prace.

Jury w składzie: dr Magdalena Liberska – Muzeum Archeologiczne i Etnograficzne w Łodzi, mgr Danuta Wachowska – Łódzki Dom Kultury, mgr Paweł Szymczak – Muzeum Regionalne w Kutnie, mgr Andrzej Białkowski – Łódzki Dom Kultury, art. plastyk Zbigniew Placzyński po zapoznaniu się z dziełami i ustaleniu ich wartości etnograficznych i artystycznych przyznało następujące nagrody i wyróżnienia:

I nagrody w wys. 400 zł: Tadeuszowi Kacalakowi z Kutna, Zbigniewowi Fabijańskiemu z Białynina Podboru (pow. skierniewicki), Henrykowi Adamczykowi z Łęczycy.

II nagrody w wys. 300 zł: Henrykowi Abramczykowi z Kutna (nagrada MAiE w Łodzi), Antoniemu Baranowi z Opoczna, Andrzejowi Dębowskiemu z Piątku (pow. łęczycki), Adamowi Głuszkowi z Dąbrowic (pow. skierniewicki), Henrykowi Hernantowi z Wierzchlasu (pow. wieluński), Jerzemu Kaczmarkowi z Wróblewa (pow. sieradzki), Małgorzacie Tomaszkiwicz-Kosińskiej z

Zabostowa Małego (pow. łowicki) – ze wskazaniem na „Chrystusa Ukrzyżowanego”, Stanisławowi Włostkowi z Albinowa (pow. zgierski), Jerzemu Zandarowskiemu z Gostynina – ze wskazaniem na „Pietę”.

III nagrody w wys. 200 zł: Antoniemu Kamińskiemu z Kutna, Wojciechowi Nagórskiemu ze Zduńskiej Woli – ze wskazaniem na „Św. Franciszka”, Małgorzacie Skibińskiej z Kutna, Józefowi Stańczykowi z Kutna (nagrada MAiE w Łodzi), Zbigniewowi Szczepańskiemu z Kutna, Stanisławowi Szymczykowi z Karkos (pow. łęczycki), Henrykowi Tarce z Zychlina (pow. kutnowski), Andrzejowi Wojtczakowi z Kutna.

Przyznano też 15 wyróżnień w postaci albumów pt. „O rzeźbach i rzeźbiarzach” Aleksandra Jackowskiego.

Ponadto jury postanowiło uhonorować Bolesława Grabskiego z Leśmierza (pow. zgierski) – nagrodą specjalną w postaci alumu pt. „O rzeźbach i rzeźbiarzach” Aleksandra Jackowskiego – za podtrzymywanie tradycji rzeźby ludowej.

Pierwsze nagrody przyznano za twórcze potraktowanie tematów i wysoki poziom warsztatowy prac. Nagrody drugie i trzecie – za dobry poziom artystyczny rzeźb, natomiast wyróżnienia – za twórcze poszukiwania dla jednych i kontynuację tradycji rzeźby ludowej dla drugich.



Ucieczka z Egiptu Tadeusza Kacalaka

Komisja wyraża zadowolenie z tak liczego udziału twórców w ogłoszonym konkursie oraz podziw dla poziomu przedstawionych prac.

Prezentowane dzieła nawiązują do chlubnych tradycji w rzeźbie ludowej i świadczą o żywym zainteresowaniu tą dziedziną sztuki ludowej.

Cieszy fakt liczego udziału młodych rzeźbiarzy, którym umiejętności przekazują doświadczeni twórcy.

Jury pragnie serdecznie podziękować wszystkim uczestnikom konkursu i życzyć dalszych sukcesów w działaniach artystycznych.

Komisja dziękuje fundatorom nagród: Łódzkiemu Domowi Kultury (5000 zł), Muzeum Archeologicznemu i Etnograficznemu w Łodzi (500 zł) oraz Stowarzyszeniu Twórców Ludowych w Lublinie (albumy Aleksandra Jackowskiego „O rzeźbach i rzeźbiarzach”).

(XL)

Fot. Andrzej Białkowski



Grający Żyd Zbigniewa Fabijańskiego



Bednarz Henryka Adamczyka



Rzeźba Małgorzaty Skibińskiej

Kolędowanie wiosenne z „Konopielką”

6-7 kwietnia 2002 roku odbyły się czwarte (a pierwsze międzynarodowe) Spotkania zespołów kolędowania wiosennego z „Konopielką”. Organizatorzy – Knyszyński Ośrodek Kultury, Wojewódzki Ośrodek Animacji Kultury w Białymstoku i Podlaskie Stowarzyszenie Twórców i Animatorów Kultury w Białymstoku – poprosili o honorowy patronat marszałka województwa podlaskiego Sławomira Zgrzywę, chcąc podkreślić wysoką rangę tych spotkań. Trudności budżetowe ograniczyły jednak zasięg imprezy – udało się tylko zasygnalizować „międzynarodowość” udziałem dwóch zespołów z Białorusi – „Memoria” z Lidy i „Mieczyna Prosenka” z Taniewicz oraz jednego z Litwy – „Rudniczan” z Rudnik w rejonie solecznickim. Nie stawiły się też wszystkie zgłoszone zespoły z województwa podlaskiego (20) jednak i tak spotkania wypadły barwnie, szumnie, okazałe.

Radością organizatorów jest fakt, zdawałoby się zaskakujący, że pomimo zaniku zwyczaju wiosennego kolędowania już w latach 50. ubiegłego wieku – co odnotowuje literatura naukowa (np. Janina Szymańska, *Podlaskie pie-*



Na scenie zespół „Klekociaki” z Bociek Fot. Adam Ślęfarski

śni wólczebne, „Etnolingwistyka” nr 5, Lublin 1992) – ciągle ujawniają się zespoły bazujące na repertuarze czerpanym z przekazu bezpośredniego. Jedyną zmianą w kolędowaniu jest niemal całkowity brak mężczyzn w zespołach („partiach”, „kompaniach”), widać tradycja stoi kobietami. A stoi dobrze, co widać w repertuarze, powtarzających się wersjach pieśni życzeniowych, a także rzadko wplatanych pieśniach z repertuaru kościelnych pieśni wielkanocnych.

Wykonane pieśni i życzenia oscyływały od powagi popartej dużą kulturą śpiewaczą zaprezentowaną przez „Rudniczan” z Litwy, do prawdziwie żywiołowej zabawy zaproponowanej przez zespół z Taniewicz na Białorusi. Nasze podlaskie zespoły stanowiły ten mocny środek wyjąwszy jeden – z Jasionówki, który zasugerował się zbyt mocno „szołmeńskimi” zachowaniami rodem z programów komercyjnej estrady. Ten mocny (to jest dobry repertuarowo i wykonawczo) środek stanowiły zespoły: „Pogodna jesień” z Moniek; „Zastoczanki” z Zastocza; „Pogodne lato” z Krypna; „Góranki” z Góry – zasługujący na szczególną uwagę (głosy); „Długolęczanki” z Długolęki – znane już z festiwalu w Kazimierzu; „Narwianki” z Kruszewa – śpiewające bardzo „energetycznie” – że użyję młodzieżowego określenia; „Klepaczanki” z Klepacz; „Kołowrotki” z Knyszyna – z nieodwołaną Elżbietą Daniszewską; „Hetmanki” z Tykocina, „Krosienko” z Janowa.

Osobno wymienię zespół „Klekociaki” z Bociek – od lat działający pod opieką merytoryczną Mikołaja Turkowicza – wytrawnego folklorysty. Kolęda gospodarska w ich wykonaniu została obudowana innymi pieśniami łącznie z „zelmanem” służącym dobrej zabawie. „Klekociaki” dały swój mini-koncert niejako „po drodze” na jarmark w Kiermuzach.

I Międzynarodowe spotkania zespołów kolędowania wiosennego z „Konopielką” potwierdziły założenia organizatorów: że warto w praktyce kulturalnego działania sięgać do tradycji – nawet już naukowo pogrzebanej; że poza granicą państwową na terytorium o potwierdzonym naukowo zasięgu pieśni wólczebnych trwają one w pamięci miejscowej ludności równie mocno jak i u nas oraz że zespoły z Rudnik (Litwa) i Taniewicz (Białoruś) są świadomymi kontynuatorami tej pięknej tradycji, ożywionej przez nie także w formie odwiedzania domów wiejskich. Rudniczanie czynią to już od 12 lat.

Dwudniowe spotkanie zakończyły się wymianą poglądów w gronie zainteresowanych – kierowników zespołów, folklorystów, etnografów. Tę rozmowę, szumnie nazwaną w programie „seminarium”, z satysfakcją prowadziłem.

Zygmunt Ciesielski

Twórcy ludowi prowadzą zajęcia

5 czerwca tego roku w Gminnym Ośrodku Kultury w Hańsku na Lubelszczyźnie odbyły się zajęcia edukacyjne dla dzieci i młodzieży z SP w Hańsku z twórcami ludowymi. Takie zajęcia GOK prowadzi już od pięciu lat. Tematem było „Wicie wianuszków na oktawę Bożego Ciała”. Pod okiem twórczyni Jadwigi Krzesiak z Hańska młodzież mogła wicie wianuszek z ziół i kwiatów.

Uczniowie mieli okazję poznać ziola, o których nigdy nie słyszeli np.: grzmotnik, błyskawica, Matki Boskiej lzy, Boże drzewko i te bardziej zna-

ne: rozchodnik, macierzanka, dziki bez, piołun, krwawnik, lipa, dziurawiec, rumianek itp.

Jadwiga Krzesiak opowiedziała o roli tych ziół w medycynie ludowej, a także o magicznym znaczeniu w środowisku wiejskim. Na koniec zajęć zaśpiewała piosenkę o wiciu wianuszków:

Uwinem, uwinem
Wiunka licznicygo.
Uświęcim my już, uświęcim
czwartku zilunego.

Macierzanki wunny
i ruzchodnik pulny,

Od bólu zgunego
moru wszyłakiego.

Wiunki ušwincune
dadzo pumyślność,
W ubóreczce, na grzundeczce,
latoš lepszo przyszłość.

Powrócim z niesporów,
powiesim nad drzwiami
I nie będzie złe już wincy
nam zagrody mamić.

Do końca 2002 roku w GOK w Hańsku zaplanowano zajęcia na temat: Kozy i wieńce dożynkowe, Pająki, Wikliniarstwo i Zabawki na choinkę i stroiki wigilijne.

Na zajęcia z twórcami ludowymi do GOK przyjeżdżała młodzież ze szkół podstawowych z Chelma i Urszulina. **Barbara Puacz-Mazurek**

Uczniowie recytowali poezję ludową

8 maja br. w Publicznej Szkole Podstawowej w Czarnymstoku (gm. Radecznicza na Zamojszczyźnie) odbył się III Szkolny Konkurs Recytatorski Poezji Ludowej, w którym wzięło udział 17 uczniów z klas IV-VI. Dobrym „duchem” tej pozytywnej w środowisku szkolnym imprezy jest od 3 lat miejscowa nauczycielka języka polskiego mgr Maria Łosiewicz.

Zgodnie z regulaminem każdy uczestnik konkursu recytował obowiązkowo 2 utwory wybranych przez siebie poetów ludowych. Największym „wzięciem” cieszyły się wiersze Władysława Koczoła i Władysława Sitkowskiego, ale wykorzystano też utwory Ireny Butkiewicz, Władysławy Głodowskiej, Alfredy Magdziak, Marii Kozaczkowej i Czesława Wendera. Kilko uczniów zaprezentowało całkiem niezłe próbki własnej twórczości poetyckiej.

Komisja konkursowa w składzie: Maria Łosiewicz i Ewa Huber (nauczycielki) oraz Władysław Koczol jednogłośnie stwierdziła, iż tegoroczna edycja stała na bardzo wysokim i wyrównanym poziomie wykonawczym. I tak decyzją jury I miejsce przyznano: Annie Mazurek z kl. VI, zaś II nagrody otrzymali: Aneta Mazur i Paweł Jarosławski także z kl. VI. Natomiast III nagrody otrzymały: Justyna Malec i Milena Mazurek z kl. IV i Agata Sitarz z kl. V. Zdobywcy złotych miejsc w konkursie jak i pozostali jego uczestnicy otrzymali okolicznościowe dyplomy oraz nagrody rzeczowe i książkowe ufundowane przez organizatorów.

Spośród twórczości własnej zaprezentowanej przez niektórych uczniów jury zwróciło uwagę na wiersze: „Jesiń” autorstwa Karoliny Pacyk z kl. IV, „Mama” Aleksandry Abramek z kl. V i „Noc” napisaną przez Barbarę Łosiewicz z kl. VI.

Dobrze byłoby gdyby i inne szkoły i nie tylko na Lubelszczyźnie poszły za przykładem nauczycielek z Czarnogostoku i wydatnie przyczyniły się do upowszechnienia twórczości poetów chłopskich wśród swoich wychowanków. Naśladownictwo dozwolone od zaraz! Jedno jest piękne i pocieszające: młodzież ze Szkoły Podstawowej w Czarnymstoku zna twórczość poetów ludowych, stara się ją rozumieć i upowszechniać, chociażby poprzez szkolne konkursy recytatorskie. A to jest już naprawdę dużo.

(WK)

78. Walne Zgromadzenie Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego w Cieszynie



Uczestnicy zjazdu PTL obejrżeli chałupę z 1739 roku w Milówce.

Ludoznawcy obradowali i zwiedzali

7-9 czerwca 2002 roku w Cieszynie nad Olzą odbyło się 78. Walne Zgromadzenie polskich ludoznawców połączone z sesją naukową oraz interesującą wycieczką etnograficzną. Obrady miały miejsce w Filii Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie, w której od pewnego czasu kształcą się także etnologowie.

Podczas Walnego Zgromadzenia dokonano kompleksowego podsumowania działalności Zarządu Głównego PTL za okres lipiec 2001 - maj 2002 oraz działalności kilkunastu oddziałów terenowych, wytyczono główne kierunki pracy na najbliższy rok oraz dokonano wyboru nowych władz naczelnych na kolejną, 3-letnią kadencję. Prezesem ponownie wybrano prof. dr hab. Dorotę Simonides, wiceprezesami zostali profesorowie: Bronisława Kopczyńska-Jaworska, Teresa Smolińska i Zygmunt Kłodnicki. W składzie 12-osobowego Zarządu Głównego PTL znalazł się również niżej podpisany.

Wśród palących problemów omawianych i dyskutowanych przez ludoznawców najczęściej emocji i niepokoju wzbudzały kłopoty finansowe, z którymi w ostatnich latach boryka się Polskie Towarzystwo Ludoznawcze. Głównie brakuje pieniędzy na wydawanie publikacji naukowych oraz na... wypłatę uposażeń dla kilku etatowych pracowników biura Zarządu Głównego. Ważą się także losy dotychczasowej siedziby biura i niezwykle bogatej biblioteki naukowej przy ul. Szewskiej we Wrocławiu, z której

od kilkudziesięciu lat często korzystali studenci i pracownicy naukowi Uniwersytetu Wrocławskiego. Ważnym problemem jest zmniejszająca się liczba członków towarzystwa, mimo iż ostatnio corocznie przybywa kilkuset absolwentów etnologii, opuszczających polskie uniwersytety. Ze sporym trudem udaje się wydawać „Lud”, organ PTL założony 107 lat temu oraz poczytny kwartalnik „Literatura Ludowa”, wydawany od 45 lat.

W czasie zjazdu reaktywowano Oddział PTL w Cieszynie, mający długą historię, gdyż powstał w 1899 roku, a więc cztery lata po utworzeniu Towarzystwa Ludoznawczego we Lwowie. Dyskutowana przez ostatnie lata sprawa zmiany nazwy towarzystwa została definitywnie zamknięta. Dotychczasowa nazwa pozostaje bez zmian.

Pierwszy dzień zjazdu zakończyły występy Zespołu Folklorystycznego „Wilamowice” z pow. bielskiego, którzy swoimi śpiewami, tańcami, scenkami humorystycznymi i strojami urzekli ludoznawców.

Zjazdowi towarzyszyła sesja naukowa „Pogranicza kulturowe i pogranicza etniczne w środkowej Europie”, której obrady odbyły się podczas sesji plenarnej oraz w czterech sekcjach. Oprócz 5 referatów natury ogólnej, znalazło się aż 26 wystąpień, prezentujących problemy kulturowe przygranicznych terenów Zaolzia, Śląska, Karpat, Lubelszczyzny, Ziemi Lubuskiej i Mazur. Wprowadzeniem

do poruszanych problemów i zagadnień były interesujące referaty: *Jedność w różnorodności. Z problematyki pogranicz kulturowych* (Dorota Simonides); *Współczesne pogranicza europejskie – nowe oblicza sąsiedztwa* (Halina Rusek); *Osobowości kulturowe na pograniczach* (Anna Szyfer); *Problemy tożsamości grupowej na polskich pograniczach kulturowych w XX wieku* (Wojciech Olszewski); *Dabrumet (Mówcie prawdę). Przełomowy krok w kierunku dialogu między judaizmem i chrześcijaństwem. Komentarz etnologa* (Iwona Kabzińska).

Każdy zjazd ludoznawców kończy się wycieczką etnograficzną, która tym razem składała się z dwóch części. Pierwszą był wyjazd o Milikowa

w Republice Czeskiej, gdzie w Domu Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego, oprócz kolacji regionalnej, odbyły się występy zespołu folklorystycznego „Nowina” (laureata Grand Prix „Śląskiego Śpiewania” w 2000 r.) oraz wernisaże wystaw: obrazów na szkłe Antoniego Szpryca i rzeźby w drewnie Alojzego Kufy.

Druga wycieczka wiodła trasą Cieszyń – Wisła – Istebna – Koniaków – Milówka – Żywiec – Bielsko-Biała. Była więc doskonałą okazją do obejrzenia interesujących wystaw w muzeach w Wiśle, Żywcu i Bielsku-Białej oraz podziwiania starych chałup *in situ* w Istebnej (dom Kawuloka z 1882 r.) i Milówce (chałupa z 1739 r.).



Wystawa rzeźby Alojzego Kufy w Milikowie

Kolejny doroczny zjazd znawców i miłośników ludowej kultury odbędzie się w Gorzowie Wielkopolskim w woj. lubuskim.

Tekst i zdjęcia
Alfred Gauda



Ludoznawców bawili Zespół Folklorystyczny „Wilamowice”



W chałupie Jana Kawuloka w Istebnej

Międzynarodowe Warsztaty Garncarskie

Tradycje garncarskie w Urzędowie na Lubelszczyźnie sięgają odległej przeszłości. Najstarsza wzmianka o tym rzemiośle pochodzi z 1565 roku i znajduje się w materiałach z lustracji województwa lubelskiego. Wymienia się tu trzech garnarzy królewskich i dwóch wójtowskich. W 1570 roku było już 7 garnarzy. Największy rozkwit garnarstwa notowany jest w XIX wieku. Wtedy pracowało tu 40 garnarzy.

Od 1994 roku organizowane są w Urzędowie Międzynarodowe Warsztaty Garncarskie. Głównym celem imprezy jest wymiana doświadczeń i integracja środowiska garncarskiego.

Tegoroczne, IX warsztaty, odbyły się na początku września. Wzięła w nich udział m.in. 6-osobowa grupa garnarzy węgierskich z zaprzyjaźnionego z Urzędowem miasta Nadudvar. Przybyli oczywiście garnarze z różnych regionów kraju, ze znanych ośrodków garncarskich.

Po raz pierwszy w warsztatach uczestniczył Andrzej Kłosek z Celestynowa koło Otwocka. Jego pradziadek był też garnarzem. Od początku w organizowanych w Urzędowie warsztatach uczestniczył Adam Żelazko z Łązka

Garncarskiego koło Janowa Lubelskiego. Garnarstwem zajmuje się już trzecie pokolenie w jego rodzinie, a on sam od 25 lat. Prowadzi szkółkę garnarstwa w swoim warsztacie oraz ośrodku kultury w Janowie Lubelskim. Twierdzi, że młodzież interesuje się ceramiką.

Warsztaty jak co roku odbywały się w ośrodku garncarskim w Bęczynie k. Urzędowa w pracowni Zygryda i Cezarego Gajewskich. Na zakończenie była wystawa i kiermasz wyrobów garncarskich zorganizowane podczas Dożynek Wojewódzkich w Gościeradowie.

Andrzej Wojtan



Zygryd Gajewski i jego syn Cezary prezentują zwiedzającym zbiory garncarskie

Fot. Andrzej Wojtan

XVII Międzynarodowe Spotkania Folklorystyczne – Lublin 2002



Grupa Folklorystyczna „Zori Maykopa” z Adygei



Artyści z zespołu z Portugalii

Folklor wyróżnia i łączy narody

Przez pięć festiwalowych dni (29 VI – 3 VII 2002 roku) odbywały się w Lublinie Międzynarodowe Spotkania Folklorystyczne pod patronatem Międzynarodowej Rady Stowarzyszeń Folklorystycznych, Festiwalu i Sztuki Ludowej (CIOFF) oraz prezydenta Lublina Andrzeja Pruszkowskiego.

W tegorocznym festiwalu uczestniczyło 10 zespołów dorosłych wykonawców z 8 krajów. Nie przybyły zapowiadane zespoły z Jugosławii i Turcji. W gronie wykonawców znalazły się uznane na arenie międzynarodowej zespoły i grupy folklorystyczne: „Zori Maykopa” z Adygei (autonomicznej republiki z Kaukazu w Rosji), Koło Nauki i Tańca Polskiego „Wisła” z Japonii, Tuna Akademia Infantuna Cidade de Viseu z Portugalii (z Viseu – partnerskiego miasta Lublina), „Ural Vechora” z Rosji, „Lipa” ze Słowacji, „Viking” ze Szwecji, „Zagrava” z Ukrainy, „Gergent” z Sycylii (Włochy) oraz gospodarze imprezy: Zespół Pieśni i Tańca „Lublin” im. Wandy Kaniorowej oraz Zespół Tańca Ludowego Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej z Lublina.



Dziewczęta z ukraińskiego zespołu „Zagrava”

Główne koncerty odbywały się tradycyjnie na estradzie w Ogrodzie Saskim w Lublinie, inne zaś miały miejsce w Dziecięcym Szpitalu Klinicznym, w supermarkecie Leclerc (będącym jednym z głównych sponsorów imprezy), w Nałęczowie, Gardzienicach, Lubartowie oraz gościnie (co było nowością – oby kontynuowaną!) na scenie Ogólnopolskiego Festiwalu Kapel i Śpiewaków Ludowych w Kazimierzu nad Wisłą.



Koncert galowy na zakończenie Międzynarodowych Spotkań Folklorystycznych w Lublinie

Różnorodne i charakterystyczne stroje poszczególnych zespołów, śpiewy, muzyka i tańce prezentowane na wysokim poziomie artystycznym świadczyły o różnorodności i odrębności folkloru w poszczególnych krajach, zaś wspólne występy, zabawa, serdeczność były widocznym przykładem, że folklor wyróżnia i łączy narody (mimo różnic wyznaniowych i ustrojowych).

Miłym akcentem każdego Międzynarodowych Spotkań Folklorystycznych w Lublinie jest spotkanie przedstawicieli zespołów, sponsorów, organizatorów i władz miasta. Podczas spotkania odbywa się obdarowywanie upominkami, następują podziękowania artystom, sponsorom i ludziom, którzy wnoszą konkretny i wymierny wkład w realizację tej międzynarodowej imprezy.

Widzowie festiwalowi najbardziej cenią sobie parady zespołów na trasie plac Litewski – Ratusz (z prezentacją krótkich programów) oraz wspaniałe koncerty galowe kończące się zazwyczaj wspólnym wykonaniem jednego z polskich tańców ludowych, w tym roku tańców sądeckich.

Niespodzianką tegorocznej imprezy był niewątpliwie hymn festiwalu „Krag”, stworzony i zaśpiewany przez Jana Kondraka, szybko podchwycony przez artystów z różnych stron świata i publiczność.

(Dorf)
Fot. Alfred Gauda

Wieńce żniwne i inne

8 września br. w Gościeradowie, w powiecie krańcickim odbyły się Dożynki Wojewódzkie Ziemi Lubelskiej. Jak większość tego typu imprez w kraju składały się z kilku zasadniczych części: mszy świętej, przemówień przedstawicieli władz wojewódzkich i lokalnych, występów ludowych zespołów śpiewaczych i muzycznych oraz zespołów młodzieżowych, wystawy nowoczesnego sprzętu rolniczego, stoisk reklamujących poszczególne powiaty oraz instytucje związane z rolnictwem, kilku stoisk ze sztuką ludową oraz sporą ilością przeróżnych kramów typu odpuścowego, nie licząc obleganych stoisk z napojami (głównie z piwem).

Tradycyjnie częścią dożynek był pokaz i konkurs wieńców żniwnych, na który zgłoszono znacznie mniej wieńców niż w poprzednich latach – bo tylko 40 – z różnych (ale nie wszystkich) powiatów woj. lubelskiego.

Zgodnie z regulaminem konkursu, wieńce podzielono na dwie grupy: tradycyjne (było ich znacznie mniej) i współczesne. W grupie pierwszej dominowały różnego rodzaju i formy korony, zaś w grupie współczesnych występowała duża różnorodność form i treści, często nie mających wiele wspólnego z zakończeniem żniw.

Wśród kompozycji o tematyce religijnej znalazły się ludzie z postaciami Chrystusa, jedna ciągnięta przez dwa łabędzie oraz rodzaje kolistych feretronów z napisami: „Jezu ufam Tobie” lub „Bóg bogaty w miłosierdzie”. Były również kompozycje przedstawiające pracę rolników i młynarza przy wiatraku z pisemnym komentarzem: „Rolnicy zawierają swoją dolę miłosierdziu Bożemu” albo: „Przyszłość Polski” z tradycyjnym sierpem, cepami oraz kołyską połową z płachty – co było aluzją do powrotu do zamierzonych czasów.

W grupie wieńców współczesnych widzieliśmy także okazałe postaci żeńców z sierpem i kosą, zbudowany z kłosów i kwiatów motyw słońca czy wreszcie wieńce w kształcie plastra miodu. Trzy wieńce reprezentowały tematykę narodową. Jeden z globusem, krzyżem i traktozem zawierał napis: „Do godnych siewów i żniw i zagospodarowania zboża nikt rolników nie przekona jak Samoobrona”. Drugi zaś to słomiane działo z dwiema postaciami po jego bokach: mężczyzna w parciach z bochnem chleba w dłoniach oraz krakowski koszyk, a przed nimi, na biało-czerwonej fladze, napis: „Żywią i bro-

nią”. Trzeci wieńec symbolizował ochronę życia poczętego.

Przewaga wieńców o współczesnych formach i przedstawieniach zauważana jest na Lubelszczyźnie (choć nie tylko) od kilkunastu lat, stąd niepokój etnografów, że w niedalekiej przyszłości najważniejszy atrybut dożynek może w niczym nie przypominać swojej pierwotnej formy i symboliki, którą prawdziwy wieńec w sobie zawierał. Może więc warto zmodyfikować regulamin konkursu, by kolejna jego edycja nie wypaczyła dawnych, ludowych tradycji w tym zakresie.

Komisja konkursowa w składzie: Laura Strzelecka – dyrektor GOK w Gościeradowie, Alfred Gauda – dyrektor Krajowego Domu Twórczości Ludowej w Lublinie, Dariusz Korol – przedstawiciel WDK w Lublinie i Andrzej Wojtan – członek Komisji Kultury Powiatu Krańcickiego przyznała następujące nagrody i wyróżnienia:

W kategorii wieńców tradycyjnych

I nagroda (500 zł) – Zespół Szkół w Sobieszynie, pow. rycki; II (350 zł) – KGW Korzeniów, pow. rycki; III (po 300 zł) – gmina Firlej, pow. lubartowski, Laski, pow. parczewski; sześć wyróżnień (po 150 zł) – gm. Józefów, pow. opolski, KGW Ryki, Mniszek, pow. krańcicki, Ciechanki Krzesimowskie, pow. łęczyński, pow. janowski i KGW Brzeźce, pow. rycki.

W kategorii wieńców współczesnych

I nagroda (500 zł) – Zdziłowice, pow. janowski; II (350 zł) – gm. Firlej, pow. lubartowski; III (po 300 zł) – Mocówka, pow. zamojski, Zespół Szkół w Kijanach, pow. łęczyński; osiem wyróżnień (po 150 zł) – pow. tomaszowski, Antoniów, pow. łęczyński, gm. Żyrzyn, pow. puławski, KGW Olbiecin, pow. krańcicki, Siewalka, pow. opolski, Szpikołosa i Dziekanów, pow. hrubieszowski oraz Dominów, pow. świdnicki.

Tekst i fot. Alfred Gauda

PS. Miło nam poinformować, że w ogólnopolskich dożynkach prezydenckich największe uznanie Aleksandra Kwaśniewskiego zyskał wieńec dożynkowy z Kamienia, pow. chełmski, woj. lubelskie. Gratulacje!

Nagrodzone wieńce dożynkowe prezentujemy też na IV stronie okładki.



Korzeniów (gm. Ulęż) – II nagroda w kategorii wieńców tradycyjnych



Uczniowie Zespołu Szkół w Kijanach i ich wieńec – II nagroda wśród wieńców współczesnych



Wieńec ze wsi Laski (gm. Parczew) – III nagroda w kategorii wieńców tradycyjnych

Wojciech Błaszowski nie żyje

Urodził się 27 lutego 1908 roku w Gowidlinie na Ziemi Kartuskiej. Od 1915 do 1919 roku chodził do szkoły powszechnej (Volksschule) w swojej rodzinnej wsi. W 1927 r. ukończył Państwowe Gimnazjum Klasyczne w Wejherowie. W latach 1929–1932 studiował w Zaocznym Studium Budownictwa Lądowego w Warszawie. Od tej pory pracował jako projektant budynków mieszkalnych i gospodarczych, czynił przygotowania do powszechnej klasyfikacji gruntów. Po wojnie studiował na Uniwersytecie M. Kopernika w Toruniu na Wydziale Sztuk Pięknych (historia sztuki, zabytkoznawstwo i konserwatorstwo) oraz na Humanistycznym (etnografia z etnologią oraz archeologia). W Błaszowski w latach 1957–1958 był kierownikiem Pracowni Etnografii przy Gdańskim Towarzystwie Naukowym (badania terenowe), a potem do 1968 r. kierownikiem Zakładu Etnografii przy Wyższej Szkole Pedagogicznej w Gdańsku. W latach 1968–1970 współtworzył projekt i program Kaszubskiego Parku Etnograficznego we Wdzydżach Kiszewskich w oparciu o materiały osobiście zdobyte w czasie badań terenowych. Po zatwierdzeniu projektu, zostaje powołany na kustosa i kierownika działu budowy KPE we Wdzydżach, gdzie realizuje kształt i program muzeum aż do czasu przejścia na emeryturę w 1973 r.

Jego działalność pozaetatowa to ponad 300 wykładów, odczytów i ćwiczeń, m.in. w szkołach średnich, domach kultury, świetlicach, na zjazdach twórców ludowych. Działalność w Towarzystwie Kaszuboznawczym i Towarzystwie Rozwoju Ziemi Zachodnich. Był czynnym działaczem Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego. Od 1963 r. pracował w komisjach weryfikacyjnej i klasyfikacyjnej Cepelii i Art-Regionu. Opracował projekt miniskansenu w Nadolu koło Zarnowca oraz rekonstrukcję ludowego stroju powiślańskiego i haftu żuławskiego. Był honorowym członkiem Oddziału Gdańskiego Stowarzyszenia Twórców Ludowych.

Jego ważniejsze publikacje to: *Geograficzne i ludowe nazwy miejscowości na Kaszubach* (1959), *Regiony i grupy etniczne i ich kultura na Pomorzu Gdańskim* (1960), *Tradycyjna ludowa kultura Kaszub i Kociewia* (1963), *Sztuka ludowa Ziemi Wejherowskiej* (1964), *Specyfika kulturowa Kaszub* (1972), *Hafty ludowe na Kociewiu* (1974), *Hafty*

BRONISŁAWA FĄSTOWIEC

Talerz miłosierdzia

- Dobra zupa – powiedziała
pani Zosia
w kuchni miłosierdzia
księdza Winiarskiego.
- Dobra i ciepła
- pan Piotruś ogrzewał ręce
nad parą.
- Dobrzy są ludzie – westchnęła skulona pani,
którą dzieci zostawiły na
samotną starość.
- Tylko dobrzy ludzie są dobrzy
- pani Ewa uśmiechnęła się
przez łzy.
Zrobiło się rzewnie,
każdy z jedzących przeżywał
swoje opuszczenie.
A Matka Teresa
obracała w palcach
odwieczne nadzieje.

ODESZLI OD NAS

regionalne na Pomorzu Gdańskim (1983). Ponadto liczne recenzje, biografie, katalogi i foldery.

Był wspaniałym konsultantem twórców ludowych. Jego subtelne uwagi podczas wizyt u rzeźbiarzy czy hafciarek były cennymi wskazówkami w pracy twórczej, czego sam doświadczyłem w ciągu mej 40-letniej działalności.

Wojciech Błaszowski był najpierw Polakiem, a potem Kaszubą. W rozmowach, jakie miałem szczęście z nim prowadzić, zawsze to podkreślał. Jeszcze dwa lata temu, kiedy wracaliśmy ze spotkania muzealników we Wdzydżach, tak mi powiedział: „Ja to mówię, a potwierdził to ks. Bernard Sychta, wielki znawca kaszubszczyzny: nie ma języka kaszubskiego, jest tylko gwara”.

W. Błaszowski zmarł 27 grudnia 2001 roku. Był bardzo skromnym człowiekiem. Nie ubiegał się o zaszczyty, a zasługi miał ogromne. Mnóstwo skupionych żałobników podążało za trumną na wejherowskim cmentarzu. Były krótkie mowy pożegnalne w imieniu muzealników, etnografów, Kaszubów, podkreślające zasługi nestora etnografów pomorskich – Wojciecha Józefa Błaszowskiego.

Edmund Zieliński

Odeszły w wieczność

31 grudnia 2001 r. odbył się pogrzeb naszej koleżanki Kazimiery Wiśniewskiej. Urodziła się 30 lipca 1921 r. w Sławęcinie koło Hrubieszowa (obecnie dzielnica tego miasta) i tam całe swoje życie mieszkała prowadząc gospodarstwo rolne. Pisała wiersze i opowiadania, zdobywając nagrody i wyróżnienia, wydała kilka tomików poezji i prozy. Wykonywała także pisanki, wycinanki i pajaki, które znajdują się w muzeach i zbiorach prywatnych. W 2000 r. otrzymała nagrodę im. Oskara Kolberga.

Karolina Łągowska z miejscowości Paary (pow. Tomaszów Lubelski) zmarła 11 kwietnia 2002 r. w wieku 82 lat. W czasie okupacji należała do ruchu oporu i wtedy poczuła potrzebę pisania wierszy. Kilka z nich znalazło się w antologii poezji ludowej Zamojszczyzny „Złote ziarna”. Zajmowała się też plastyką obrzędową. Była również utalentowaną śpiewaczką, otrzymała liczne nagrody, a w 1983 r. przyznano jej pierwszą nagrodę na festiwalu w Kazimierzu.

Władysław Sitkowski

Prezes Zamojskiego Oddziału STL

FLORIANNA KISZCZAK

Tak bardzo pragnę...

Tak bardzo pragnę jeszcze raz zobaczyć
Prawdziwą wioskę pod słomianą strzechą,
Z omszałym płotem, po którym dzieciaki
Pasając bydło stapały z uciechą.

Tak bardzo pragnę jeszcze raz usłyszeć.
Jak chłopska kosa tnie złoty łąn żyta,
Jak koń rozmawia ze skibami,
Gdy pług ze stali o kamień zagrzyta.

Tak bardzo pragnę jeszcze raz odpocząć
Na wąskiej miedzy, w cieniu polnej gruszy,
Upić się słodką wonią koniczyny
I wzrok utopić w płatkach dzikiej róży.

Wtedy to widzę, jak wszystko się mieni
Czerwienią, srebrem i wtapia się w zorze,
I wierzę, że to barwne szczęście ziemi
Może być tylko dziełem ręki Bożej.

ZAPROSILI NAS

- W południe 12 lutego na pl. 500-lecia w Radziłowie (woj. podlaskie) rozpoczął się „Zapust radziłowski”. Imprezie towarzyszyły: kiermasz sztuki i rękodzieła ludowego, konkursy przebrań i dziecięcych grup obrzędowych oraz potraw regionalnych.

- 17 marca w Gminnym Ośrodku Kultury w Krzczonowie (woj. lubelskie) odbył się III Jarmark Sztuki Ludowej, na który złożyły się: IV Konkurs Pisanek Wielkanocnych, pokazy i kiermasz twórczości ludowej oraz występy uczniów miejscowej szkoły podstawowej.

- „Moje krzyże” – to tytuł wystawy rzeźby Szczepana Ignaczyńskiego z Kraśnika (woj. lubelskie). Przy okazji jej wernisażu (24 marca) w Muzeum Regionalnym w Kraśniku przygotowano kiermasz pisanek i stroików wielkanocnych.

- Fundacja „Cepelia” – Polska Sztuka i Rękodzieło zorganizowała wystawę „Gliniany świat”, którą otwarto 18 kwietnia w pawilonie „Cepelii” w Warszawie.

- 19 kwietnia w Muzeum Lubelskim w Lublinie odbyło się otwarcie wystawy „Trzy spojrzenia...” * Władysława Walczaka-Banieckiego * Barbary Banieckiej-Dziadzio * Bogdana Dziadzio”. Trójka artystów z Zakopanego zaprezentowała swoje obrazy na szkle i rzeźby.

- Od 30 kwietnia do końca września w Muzeum Etnograficznym w Toruniu można było oglądać wystawę „Sztuka koronki. Strój i wnętrza”. Jej twórcy zgromadzili eksponaty z Muzeów Etnograficznych w Toruniu, w Krakowie i Warszawie, Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego w Łodzi oraz z Muzeum Kultury Kurpiowskiej w Ostrołęce.

- W ogrodzie jordanowskim w Kozienicach (woj. świętokrzyskie) 2 czerwca rozpoczął się V Plener Rzeźbiarsko-Malarski „Twórcy – dzieciom”. 14 czerwca w tym samym miejscu nastąpiło otwarcie wystawy poplenerowej. Jednym z organizatorów imprezy był Oddział Radomski STL.

- 15 czerwca w GOKSiR w Kadzidle (woj. mazowieckie) rozpoczął się III Ogólnopolski Przegląd Obrzędów Weselnych. Następnego dnia w Zagrodzie Kurpiowskiej w Kadzidle bawiono się na „Weselu kurpiowskim”.

- VIII Ogólnopolskie Warsztaty Kowalskie, Ogólnopolskie Targi Sztuki Kowalskiej oraz IX Ogólnopolskie Spotkania Kowali odbywały się w dniach 11-14 lipca w Wojciechowie na Lubelszczyźnie. Program tych imprez był bardzo bogaty. I tak, uczestnicy Warsztatów – adepci sztuki kowalskiej zdobywali wiedzę teoretyczną i praktyczną pod okiem najlepszych polskich artystów kowali.

Podczas czterodniowych Spotkań kowale artyści z całej Polski i z zagranicy rywalizowali w konkursach: kowalstwa artystycznego oraz kucia konia. Imprezom towarzyszyły występy zespołów oraz sympozjum „Kowalstwo artystyczne szansą na rozwój wsi”.

- I Plener Rzeźbiarski Twórców Ludowych im. Augusta Zamojskiego zorganizowano w dniach 2-14 lipca w Jabloniu (woj. lubelskie). Zakonczyła go wystawa prac wykonanych podczas pleneru oraz występy zespołów ludowych.

- Od 20 do 22 lipca trwała w Poroninie (woj. małopolskie) XXVIII Poroniańskie Lato. W programie znalazły się: kiermasz twórczości ludowej, otwarcie trzech wystaw, promocja książki Zofii Gracy-Gobery, korowód weselny ulicami Poronina, przegląd zespołów regionalnych i koncerty zaproszonych zespołów.

- Wystawę prac członków Lubelskiego Towarzystwa Fotograficznego „Festiwal – Kazimierz 2002” otwarto 23 lipca w Galerii Wojewódzkiego Domu Kultury w Lublinie.

- Jubileusz XX-lecia obchodził 28 lipca znakomity zespół śpiewaczy z Rudy Solskiej na Lubelszczyźnie. Był koncert jubilatki i prezentacja ich dorobku artystycznego, przygotowano też promocje płyty zespołu z Rudy Solskiej i tomiku poezji Romana Grabiasa.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Aleksander Błachowski, *Zapomniane skarby. Stroje ludowe Polski i Ukrainy w rysunkach J. Głogowskiego i K. W. Kielisńskiego* (informatoryjny wystawy), Lwów-Toruń 2002, ss. 48, fot., (plus wersja w języku ukraińskim).

Bukowińskie Spotkania (XIII Międzynarodowy Festiwal Folklorystyczny), Piła 2002, s. 178, fot.

Anna Cyfrowicz Tabaczyńska, *Dłoń życia* (tomik wierszy), Lublin 2002, s. 52.

Stanisław Dawidczyk, *70 lat śpiewania i tańczenia w Zawadach*, Zawady 2000, s. 112, fot.

Leon Dyczewski, *Trwałość i zmienność kultury polskiej*, Lublin 2002, s. 240.

Dziedzictwo kulturowe Lubelszczyzny. Kultura ludowa, pod redakcją Alfreda Gaudy, Lublin 2001, s. 188, fot.

Aleksander Jackowski, *Cepelia – tradycja i współczesność*, Warszawa 1999, s. 80, fot.

Maria Lipok-Bierwiaczonek, *Sztuka ludowa w woj. śląskim* (katalog wystawy), Bielsko-Biała 2001, s. 16, fot. „Literatura Ludowa” (dwumie-

sięcznik), numery 1, 2, 3, 4, 5, 6 z 2001 r., Wrocław 2001, objętość 60-108 s.

XVII Międzynarodowe Spotkania Folklorystyczne – Lublin 2002 (informatoryjny) Lublin 2002, s. 16, fot.

Muzea na szlakach turystycznych regionu lubelskiego, Lublin 2001, s. 20, fot.

Donat Niewiadomski, *Gdzie pył chlebowy słońca sięga. Motyw małej ojczyzny w poezji ludowej Ziemi Lubelskiej* (antologia), Biblioteka „Dzieciństwo” STL, Lublin 2001, s. 244, fot.

36 Ogólnopolski Festiwal Kapel i Śpiewaków Ludowych, Kazimierz nad Wisłą 2002, Lublin 2002, s. 58, fot.

XXXI Ogólnopolski Konkurs Literacki im. Jana Pocha, Lublin 2002, s. 8.

XVIII Ogólnopolski Sejmik Teatrów Wsi Polskiej (biuletyn), Tarnogród 2001, s. 28.

XXXV Ogólnopolskie Targi Sztuki Ludowej – Kazimierz nad Wisłą 2002, Lublin 2002, s. 4 (folder).

Parada rzemiosł Lublina i Lubelszczyzny 100 lat temu i dzisiaj, czyli ginące i nie ginące zawody, Lublin 2001, s. 32, fot.

„Polski Uniwersytet Ludowy” (kwartalnik), nr 1/52, Warszawa 2002, s. 150, fot.

Przyjaciele naszego dzieciństwa (katalog wystawy zabawek), Bielsko-Biała 2001, s. 8, fot.

18^a Rassegna Internazionale del Presepio Nell'arte e Nella Tradizione, Verona (Włochy) 2001, s. 96, fot., (katalog międzynarodowej wystawy szopek bożonarodzeniowych).

Wiesława Szymoniak, *Mogę barwić tęczę* (tomik wierszy), Lublin 2002, s. 78.

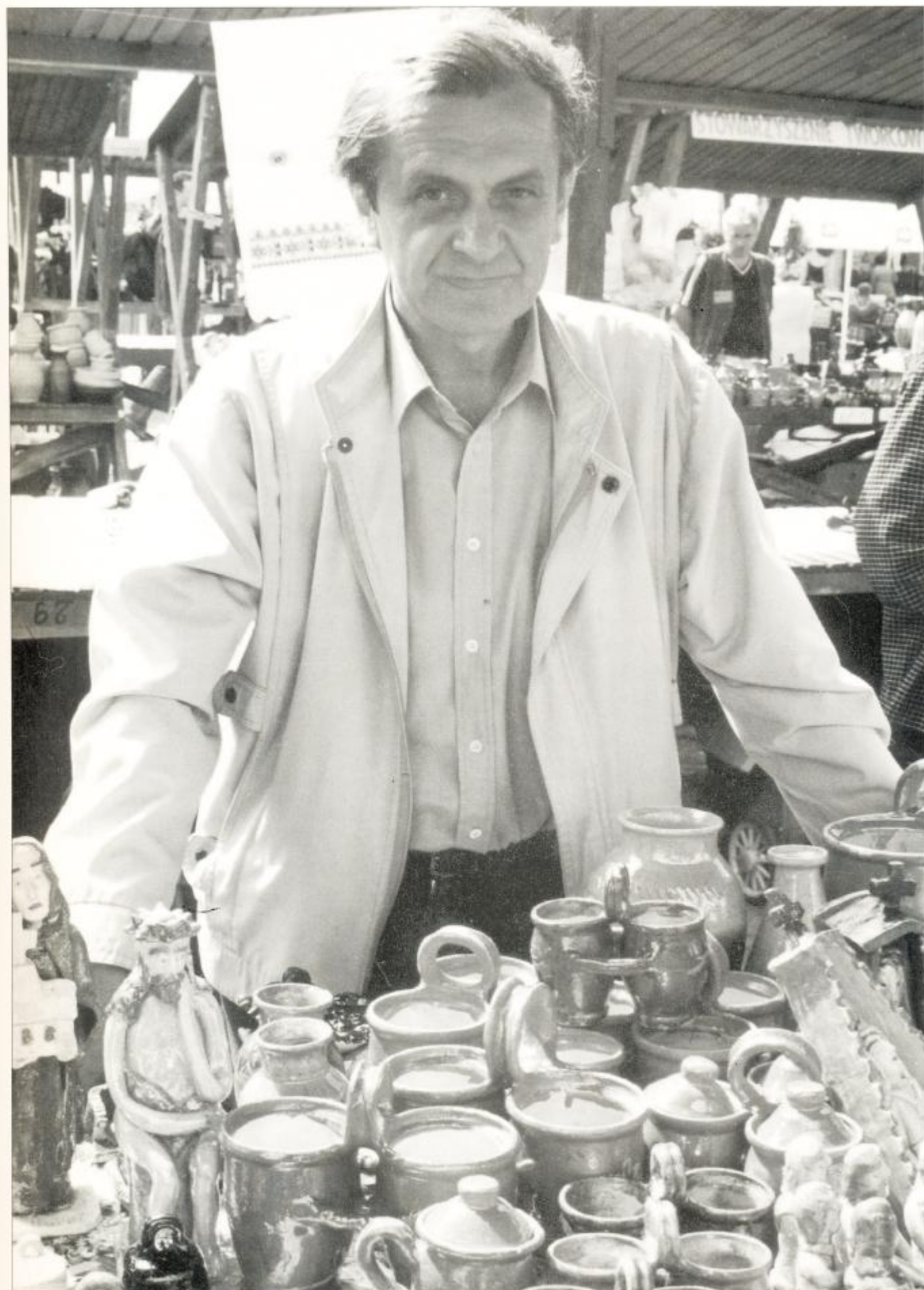
Violetta Tkacz, *Ja sam i mój dom służyć chcemy Panu. Tradycje religijności ludowej na Pomorzu* (katalog wystawy), Kluki 2000, s. 50, fot.

Uczestnicy 36. Ogólnopolskiego Festiwalu Kapel i Śpiewaków Ludowych – Kazimierz nad Wisłą 2002, Lublin 2002, s. 22.

Wesele kurpiowskie w Kadzidle (informatoryjny), Kadzidło 2002, s. 8, fot.

Jerzy Zieliński, *Święta polskie w malarstwie i grafice 1900-1939*, Lublin 1999, s. 168, fot.

(Derf)



Czesław Seweryński, garncarz z Odrowąża na tegorocznych Targach Sztuki Ludowej w Kazimierzu.

Fot. Alfred Gauda

